KULISY KAMPANII PREZYDENCKIEJ

Ostatni bój Korwin-Mikkego – Ziemkiewicz o Konfederacji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 5/358 27 STYCZNIA–2 LUTEGO 2020

Lisicki ostro o sędziokracji

SEMKA WPROST Z PETERSBURGA – O WYSTAWIE O SOCREALIZMIE

Koszmarnie bezkarni hejterzy

KTO JEST MÓZGIEM OPERACJI PRZECIW POLSCE

Sylwetka Wiaczesława Mosze Kantora – organizatora konferencji w Yad Vashem w Izraelu

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 05 >

Nakład: 71 tys. egzemplarzy

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER
„ŚWIĘTA PO POLSKU – TRADYCJE I SKANDALE"

~~619 ZŁ~~ > 238,00 ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 381 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2509c326de

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

W obliczu buntu

Niemal jak w filmach grozy, gdzie każda następna scena wydaje się jeszcze bardziej straszna niż poprzednie, rozwija się spór o polskie sądownictwo. W zeszłym tygodniu kluczowe były: uchwała trzech izb Sądu Najwyższego, z której wynika, że powołani przez nową KRS sędziowie nie mają prawa orzekać, oraz – co jest reakcją na nią – decyzja premiera Mateusza Morawieckiego, by uchwałę tę zaskarżyć do TK. Nigdy wcześniej różnice nie były równie głębokie. To, co dla jednych, sędziów SN, jest wiążącą wykładnią, dla drugich, ministra Zbigniewa Ziobry, nie rodzi żadnych skutków prawnych. Dlatego można usłyszeć opinię, że spór dotyczący sądownictwa jest zbyt zawikłany, by zrozumieć, o co w nim chodzi. Nic bardziej błędnego. Rzecz jest wyjątkowo prosta i jasna: chodzi o to, kto podejmuje ostateczną decyzję w kwestii prawowitości powołania polskich sędziów.

Czy wystarczającą podstawą prawną są polska konstytucja i polski system prawny, czy konieczna jest jeszcze zgoda innych, pozapolskich, instancji. Czy w Polsce obowiązuje polskie prawo, zgodnie z którym o legalności ustaw – również ustawy określającej sposób powołania sędziów – decyduje parlament, czy przeciwnie, w roli prawodawcy będzie występował Sąd Najwyższy. Czy ostateczną instancją w sytuacjach wątpliwych jest Trybunał Konstytucyjny, czy odwołujący się do ponadnarodowej instytucji Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej Sąd Najwyższy. Jak już zatem wiele razy pisałem, stawką w tej grze nie jest kształt tej lub innej ustawy – reformy przygotowane przez rząd można uważać za słuszne, niepotrzebne, pożyteczne bądź szkodliwe – lecz suwerenność. Gdyby miało się bowiem okazać, że sędziowie są w stanie zablokować przyjętą legalnie przez Sejm i niepodważoną ani przez prezydenta, ani przez Trybunał Konstytucyjny ustawę, oznaczałoby to, że dotychczasowy suweren utracił władzę. Okazuje się bowiem, że nawet złożona wobec prezydenta przez kandydata przysięga i powołanie przez niego na urząd, po wcześniejszym wskazaniu przez KRS, nie są wystarczające, by uznać taką osobę za sędziego. W tym sensie uchwała SN nie dotyczy jedynie sędziów, ale podważa w ogóle cały system władzy w Polsce. Nie tylko podkopuje prawo Sejmu do stanowienia ustaw, lecz także pozbawia kompetencji prezydenta – tych, które przecież jasno przyznaje mu konstytucja. Prowadzi do uznania Polski za państwo kadłubowe, za państwo, w którym suweren nie jest w stanie narzucić posłuszeństwa podjętym przez siebie decyzjom.

Cała sytuacja, mimo że na razie walka toczy się na słowa, pisma i oświadczenia, ma w istocie charakter rewolucyjny. Zachowanie polskich sędziów przypomina do złudzenia postępowanie tych przedstawicieli francuskiego stanu trzeciego, którzy – zebrawszy się w sali gry do piłki w 1789 r. – ogłosili, że sami są reprezentantem całego narodu. Złamali dotychczasowe prawo i ustanowili nowe. Różnica jednak jest też istotna: o ile w 1789 r. buntownicy mogli powołać się na wolę narodu, o tyle dzisiejsi sędziowie SN uzasadniają swoje nieposłuszeństwo ustawom, odwołując się do Trybunału Sprawiedliwości Unii. To on jest dla nich, znowu wbrew wszelkim regułom polskiego prawa, właściwą instancją odwoławczą. To on jest dla nich prawdziwym suwerenem. To on wskazał, że to SN, wbrew polskiemu prawu, sam będzie decydować we własnej sprawie i sam orzekać o słuszności oraz legalności zarówno nowo powołanych sędziów, jak i nowych izb.

Jak można wyjść z obecnego pata? Nie jest to łatwe. Obawiam się, że polski rząd nie docenił wcześniej ani skali oporu sędziów, ani zaangażowania na ich rzecz ze strony organów Unii. Od kilkunastu miesięcy słyszałem bez przerwy o negocjacjach, rozmowach, zbliżeniu stanowisk, ustępstwach itd., itp. Tymczasem okazało się, że mimo zmiany na stanowisku szefowej Komisji Europejskiej presja na Polskę nie zmalała. Żadnego porozumienia nie ma. Przeciwnie, przekonani o swej sile przedstawiciele unijnych instytucji idą coraz dalej. Każde ustępstwo traktują nie jako znak chęci do rozmowy, ale jako zapowiedź ostatecznej kapitulacji.

Można też przewidzieć, jakie byłyby konsekwencje obecnej batalii, gdyby rząd ją przegrał. Jeśli władze ustąpią i wycofają się pod naciskiem sędziów i unijnego trybunału z obecnych zmian, to Polskę czekają następne niespodzianki. Być może Polska będzie musiała przyjąć narzucone jej przez unijne organy prawo dotyczące zmian obyczajowych. Kto wie, czy nie okaże się, że trzeba będzie zliberalizować ustawę o ochronie życia? Albo wprowadzić specjalne przywileje dla LGBT? I wszystko to będzie się odbywało tylnymi drzwiami, bez zgody polskiego Sejmu i polskiego społeczeństwa. Wystarczy, że tak orzeknie unijny Trybunał i znowu powierzy interpretację polskiemu Sądowi Najwyższemu. Skoro można obalić legalne ustawy dotyczące ustroju sądów, to dlaczego nie narzucić Polakom innych, niechcianych przez nich praw? To tylko kwestia czasu.

Dlatego najważniejszą rzeczą jest obecnie obrona polskiej niepodległości. Ustępstwo wobec buntu może tylko zachęcić do kolejnych. W tej walce zakładnikami sędziów stali się zwykli obywatele: to oni najwięcej na sędziowskim rokoszu mogą stracić. Obrona interesu publicznego wymaga zatem stanowczości. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 2509c326de

TEMAT TYGODNIA

18 JAKUB WOZINSKI
OLIGARCHA NA STRAŻY TOLERANCJI
Kim jest Mosze Kantor, organizator Światowego Forum Holokaustu?

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
KAMPANIA NA TWARDO
Kampania prezydencka będzie odbywać się w cieniu sporów o sądy w kraju i w Brukseli

26 KAMILA BARANOWSKA
NOWE SZATY BIEDRONIA

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
OSTATNI BÓJ KORWIN-MIKKEGO

30 WOJCIECH WYBRANOWSKI
BEZKARNA NIENAWIŚĆ

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
MALI DOROŚLI

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
U PROGU ŻYCIA
„Małe kobietki" Grety Gerwig to zwiewna i piękna adaptacja powieści Louisy May Alcott

37 WIESŁAW CHEŁMINIAK
O DOROTCE, KTÓRA SPADŁA Z TĘCZY

40 PIOTR SEMKA
O DWÓCH TAKICH, KTÓRYCH DOCENIŁ STALIN

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 ŁUKASZ WARZECHA
EUROPEJSKI ZIELONY ŁAD
Rządy PiS nigdy nie przeciwstawiły się frontalnie idei polityki klimatycznej

52 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
BÓG W PŁYNNYM ŚWIECIE

56 TOMASZ ROWIŃSKI
PAPIESTWO DO REMONTU

58 LIST WYKŁADOWCY KATECHETYKI UKSW
W OBRONIE LEKCJI RELIGII

HISTORIA

68 SEBASTIAN LIGARSKI
JANEK
Jan Stawsiński miał 21 lat, gdy zginął od kuli podczas pacyfikacji kopalni Wujek

ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI
IMPEACHMENT OSŁABIA AMERYKĘ
Impeachment Trumpa może mieć o wiele większe konsekwencje dla świata niż impeachment Clintona

74 MACIEJ PIECZYŃSKI
PUTIN ODEJDZIE, ALE ZOSTANIE

77 ŁUKASZ CZARNECKI
MĘCZENNICY PAŃSTWA ŚRODKA

EKONOMIA

80 MAREK LUSZTYN
CHCEMY ZBUDOWAĆ NAJLEPSZY BANK W POLSCE
Rozmowa z prezesem Banku Pekao SA

84 ŁUKASZ ZBORALSKI
GORZKA PRAWDA

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK
DAWID WYTRWAŁY
Jak Dawid Kubacki wygrał Turniej Czterech Skoczni i został jednym z narciarskich trzech królów

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
ZA PANCERNĄ SZYBĄ
Rzadkie choroby – mukowiscydoza

FELIETONY:
SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (60), ZYCHOWICZ, KOPER (67), WARZECHA (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (86), KOMUDA (92), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (96), SIEDLECKA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl 2509c326de

Drodzy Czytelnicy,

Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Zaczynamy walczyć z antypolonizmem", rozmowa z premierem Mateuszem Morawieckim, „DRz" 4/2020

To dobrze, że premier z okładki „Do Rzeczy" mówi, że nie ma zgody na dyskryminację Polski, a w samym wywiadzie zapowiada walkę z antypolonizmem, którego przejawów w ostatnim czasie niestety nie brakuje. [...]

Na prowokacje Rosji i jej próby pisania historii na nowo musimy reagować natychmiast. Na razie mamy do tego korzystny grunt. Ciekawy sondaż przeprowadził niedawno United Survey. Wynika z niego, że większość Brytyjczyków, Francuzów, Włochów i Niemców uważa Polskę za ofiarę drugiej wojny światowej. O ile jednak wynik 85 proc. w Wielkiej Brytanii i we Francji możemy uznać za zadowalający, o tyle informacja, że 71 proc. respondentów w Niemczech czy 68 proc. we Włoszech uważa Polskę za ofiarę drugiej wojny światowej, powinna już zapalać czerwoną lampkę. Trzeba robić wszystko, by odsetek ludzi niemających wątpliwości co do tego, że Polska była ofiarą tej wojny, rósł. Gdy przybywać będzie osób, które mają co do tego wątpliwości, głos Rosji stawać się będzie coraz bardziej wiarygodny. A podsypany milionami rubli na internetową propagandę (która już działa jak opętana, wystarczy poczytać komentarze również na portalach informacyjnych), może odnieść skutek.

Co więcej – Rosjanom pomaga brak wiedzy historycznej. Przykładowo tylko co czwarty respondent z Niemiec we wspomnianym sondażu uważa, że druga wojna światowa rozpoczęła się od ataku Niemiec i ZSRS na Polskę... Musimy działać.

Z poważaniem
Michał Kowal

„Rugi uczelniane", Agnieszka Niewińska, „DRz" 4/2020

Kiedy o podobnych przypadkach czyta się w dziale „Świat", ma się wrażenie, że to szaleństwo jest gdzieś daleko. Opisana przez Was sprawa prof. Ewy Budzyńskiej, widmo nagany dla wykładowcy m.in. za „definiowanie płodów jako dzieci" czy „rodziny jako związku kobiety i mężczyzny", to dla mnie wstrząs. Z żalem przeczytałem, że Pani Profesor zdecydowała się odejść z uczelni. Polskie szkoły i uczelnie wyższe potrzebują takich ludzi jak Pani Profesor.

P.M.

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Sergey Guneev/Sputnik/AFP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

FIRMA RODZINNA

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 71 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

REKLAMA

Instytut Pamięci Narodowej zaprasza na dyskusję wokół publikacji

Moja służba Niepodległej. Wspomnienia pułkownika dyplomowanego Józefa Szostaka „Filipa" (1897–1984)

w opracowaniu naukowym Daniela Koresia

29 stycznia 2020 (środa) godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

W dyskusji udział wezmą:

DR DANIEL KOREŚ
Instytut Pamięci Narodowej
Uniwersytet Wrocławski

PŁK DR HAB. JULIUSZ TYM
prof. Akademii Sztuki Wojennej

Prowadzenie:
DR HAB. JERZY KIRSZAK
Instytut Pamięci Narodowej

Organizatorzy: Instytut Pamięci Narodowej, Przystanek Historia

Patroni medialni: TVP Historia, Do Rzeczy, Dzieje.pl, Biuletyn IPN

eprasa.pl 2509c326de

NA PIERWSZY OGIEŃ

Cień Putina nad Jerozolimą

PIOTR SEMKA

Tak, to prawda. Mogło być gorzej. W Jerozolimie Władimir Putin wstrzymał się z kolejnym atakiem historycznym na Polskę. Być może, gdyby prezydent Andrzej Duda zgodził się na siedzenie bez prawa głosu na sali w instytucie Yad Vashem, władca Kremla nie cofnąłby się przed próbą upokorzenia Polski. Bez głowy polskiego państwa cios trafiłby w próżnię.

Bilans wizyty prezydenta Rosji w stolicy państwa żydowskiego musi budzić jednak niepokój. Bardzo dużo mówi o wzroście wpływów Rosji w Izraelu.

Wielu komentatorów zachęca, by patrzeć na jerozolimskie obchody jedynie jako na tło gry dyplomatycznej wobec planu rozwiązania sporu żydowsko-palestyńskiego. Izrael miałby się zgodzić na powstanie państwa palestyńskiego, a Palestyńczycy mieliby wyzbyć się pretensji do Jerozolimy i uznać zabór doliny Jordanu. Ponoć nastawienie Putina do tego planu było dla gospodarzy najważniejsze.

Nie zmienia to jednak sytuacji – to Putin był witany nad Cedronem jako protektor bytu Izraela, a nie wiceprezydent Pence. To Izrael żyrował rosyjskie wizje ostatniej wojny, według których to Armia Czerwona pokonała w pojedynkę nazizm i uratowała byt narodu żydowskiego, tylko przy niewielkiej pomocy aliantów. Izrael pozwolił Putinowi grać pamięcią ofiar Holokaustu – tym, co, zdawałoby się, powinno być dla Żydów najświętsze.

To nie koniec ofensywy Putina. W trakcie odsłonięcia pomnika ofiar blokady Leningradu rosyjski lider zrównał rusofobię z antysemityzmem. Wezwał też, by znów wielkie mocarstwa – stali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ – negocjowały na specjalnym szczycie ład globalny. A w swej mowie przypomniał białoruską wieś Chatyń (w angielskiej transkrypcji pisanej Khatyn), której straszny los – wymordowanie jej mieszkańców przez Niemców w 1943 r. – Sowieci wylansowali w epoce Breżniewa, by przykryć mord polskich oficerów w lasku katyńskim.

Rosja jak zwykle gra ponad swoje realne możliwości, bo inni są bierni lub boją się powiedzieć „nie". Uległość Izraela wobec intryg Kremla jest jednak czymś nowym.

My musimy płacić swoją cenę za niepodległość od Moskwy.

Nie miejmy złudzeń – wojna historyczna z Rosją będzie długa i niewdzięczna, ale wyboru nie mamy, bo inaczej stracimy szacunek do samych siebie. Zauważajmy, że szybkość, z którą Putin chce pisać historię na nowo, budzi niepokój i sprzeciw w rozmaitych miejscach na Zachodzie, a czapkowanie Rosji nie podoba się części środowisk żydowskich.

Dowodem tego była absencja w Jerozolimie szefa Światowego Kongresu Żydów Ronalda Laudera i zięcia Trumpa Jareda Kushnera. Ileś tekstów w izraelskiej prasie wzywało do ostrożności wobec Putina po decyzji polskiego prezydenta, by powiedzieć „nie" rosyjskiej wizji historii. Cierpliwie szukajmy sojuszników w tej rozgrywce i nie dajmy sobie wmówić, że szanowanie swojej godności to tromtadracja. Przeciwników Putin nienawidzi i walczy z nimi, ale tchórzy po prostu upokarza i niszczy. ©℗

FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

POLSKI LOT PRZEJMUJE NIEMIECKIEGO CONDORA

Polska Grupa Lotnicza (PGL), właściciel PLL LOT, przejmuje niemieckie czarterowe linie lotnicze Condor – ogłosił w piątek premier Mateusz Morawiecki, chwaląc menedżerów za „bardzo odważny, ale zarazem rozważny ruch". Flota Condora składa się z airbusów i boeingów. O kupno przewoźnika, należącego niegdyś do upadłego touroperatora Thomasa Cooka, rywalizowali z Polakami m.in. Amerykanie i Brytyjczycy. ***(jap)*** ©℗

KATARZYNA PINKOSZ ZNÓW NAGRODZONA

Nasza redakcyjna koleżanka otrzymała I nagrodę w konkursie na Dziennikarza Medycznego Roku 2019. Konkurs organizuje stowarzyszenie Dziennikarze dla Zdrowia. Jury w uzasadnieniu podkreśliło, że nagroda została przyznana w uznaniu wysokiej wartości edukacyjnej oraz rzetelności dziennikarskiej w podejmowaniu trudnych tematów prozdrowotnych, w oparciu o najnowszą naukową wiedzę medyczną. To już kolejne wyróżnienie dla Katarzyny Pinkosz, która wcześniej dostała m.in. Nagrodę Specjalną Kryształowe Pióro, a także Srebrny Krzyż Zasługi i Nagrodę św. Kamila. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 2509c326de

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE KSIĄŻKA ANNA POPEK „PIĘKNA 50-TKA"

~~619 ZŁ~~ > **235,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 384 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 2509c326de

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Niedobra Nancy

Przyjazd do Polski przewodniczącej amerykańskiej Izby Reprezentantów, formalnie trzeciej najważniejszej osoby w sojuszniczym mocarstwie, media związane z opozycją zapowiadały przez kilka dni jako wizytę interwencyjną. Pani Nancy Pelosi miała wedle tych zapowiedzi oderwać się od swych pilnych zajęć – a ma przecież na głowie cały proces usuwania z urzędu prezydenta Trumpa – by zająć się problemem łamania w Polsce praworządności. W tym celu chciała się spotkać (to z jej strony miała wyjść inicjatywa tego spotkania, podkreślano) z marszałkissimusem Grodzkim. Po czym oboje, zapowiedział marszałkissimus, mieli wygłosić wspólne oświadczenie dotyczące ustawy, zwanej w propagandzie opozycji „kagańcową".

To swoisty „american dream" lewoliberalnej opozycji, żeby jakiś ważny Amerykanin powiedział coś złego o „państwie PiS"

Te informacje, oparte głównie na enuncjacjach pana Grodzkiego, w zderzeniu z rzeczywistością wypadły blado. Pani Pelosi nie dała się użyć jako narzędzie w polityce PO, wizyta okazała się mieć charakter prywatny, przewodnicząca odwiedziła muzeum w Auschwitz, zresztą oprowadzana, bez żadnej pompy, przez marszałek Sejmu, a w swych wypowiedziach starannie unikała jakiegokolwiek odnoszenia się do bieżącego, politycznego konkretu. Biedny marszałkissimus, żeby ratować twarz, umówił się z Nancy Pelosi na krótkie spotkanie w tzw. saloniku VIP-owskim lotniska Balice, gdzie znalazła ona dla niego chwilę podczas czekania na samolot. Rozmowa okazała się dotyczyć „podstawowych wartości demokracji", czyli był to tzw. small talk, a „Wiadomości" TVP z lubością pokazywały paździerz wyłażący z dekoracji mającej stworzyć pozory ważności spotkania i, przede wszystkim, z tabliczki, którą prof. Grodzki postawił był dumnie przed sobą i na której prezentował się jako „Marshal of Senate".

Trochę przypominało to żałosną próbę zwabienia przed paru laty prezydenta Obamy na manifestację KOD, pod pozorem nadawania trawnikowi przy rondzie ONZ imienia Martina Luthera Kinga. To swoisty „american dream" lewoliberalnej opozycji, żeby jakiś ważny Amerykanin powiedział coś złego o „państwie PiS" i o polskim jej rządzie. Albo przynajmniej milcząco coś takiego zaaprobował. Sen wciąż niespełniony. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Czwarty jeździec opozycji

Co prawda nie Sąd Ostateczny, ale Trybunał Stanu, no w najlepszym razie „niezależny sąd" pod przewodem sędziów Tulei czy Juszczyszyna – taką polityczną przyszłość politykom PiS prorokują działacze opozycji i związani z nią publicyści. Jeźdźcami apokalipsy, którzy zmiotą „obóz dobrej zmiany", miały być: konstytucja, demokracja i wolne sądy. Trzech pierwszych już poległo w starciu ze społeczną obojętnością. Teraz pojawił się czwarty – polexit – i prawdopodobnie będzie on jedną z głównych opozycyjnych opowieści w wyborach prezydenckich.

Od kiedy kilkanaście dni temu sygnał dał Donald Tusk, opowiadając w jednym z wywiadów, że będzie to wręcz „wypierpol", podobny przekaz pojawia się regularnie. Poseł Marcin Kierwiński z PO groził nim, komentując mocne słowa prezydenta Andrzeja Dudy o polskich sędziach, publicystka „Newsweeka" Aleksandra Pawlicka w histerycznym komentarzu przekonywała, iż „[...] wkrótce nikt we wspólnocie nie będzie Polski chciał", a Lech Wałęsa napisał list do Klausa Schwaba, prezesa Światowego Forum Ekonomicznego, stwierdzając w nim, że Polska „stoi u progu wypadnięcia poza nawias rule of law Unii Europejskiej".

Lubi się te piosenki, które się zna. Straszak polexitem przyniósł efekt w wyborach samorządowych, kiedy to dzięki niemu udało się opozycji w stolicy zmobilizować do głosowania przeciw Patrykowi Jakiemu ok. 3 proc. dodatkowych wyborców. Sęk w tym, że jest to już melodia zgrana i nic nie wskazuje na to, by była ona w stanie przyciągnąć kolejnych wyborców. W dodatku po brukselskich wojażach opozycji wdarł się w nią fałsz. Jednak tak się gra, jak dyrygent pozwala, a przywódcy opozycji jakby dawno zapomnieli politycznych nut. ©℗

eprasa.pl 2509c326de

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

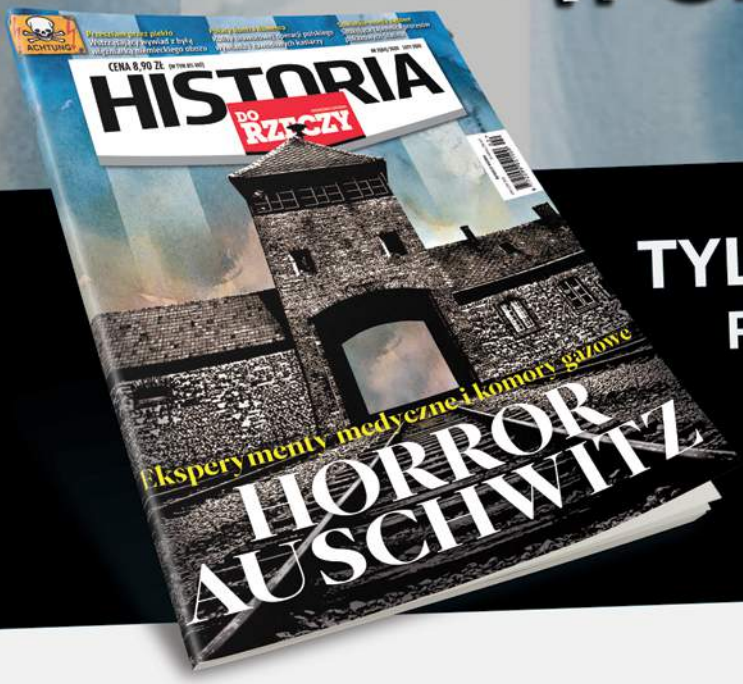

TYLKO U NAS!
Przeżyłam piekło – szokujący wywiad z więźniarką Auschwitz

Piotr Cywiński – **Fabryka śmierci**
Piotr Zychowicz – **Eksperymenty doktora Mengele**
Mikołaj Iwanow – **Sowieckie psy kamikadze**
Grzegorz Janiszewski – **Wywiad II RP kontra Abwehra**
Jochen Böhler – **Zabójcza machina Waffen-SS**
Sławomir Koper – **Swawole Cata-Mackiewicza**
Leszek Lubicki – **Krwawe porachunki Kazimierza Wielkiego**
Tomasz Stańczyk – **Spór o mordy rytualne dzieci**
Sławomir Cenckiewicz – **Polska wiktoria 1920**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 2509c326de

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O schizofrenii politycznej

We Włoszech komisja senacka zaleciła odebrać immunitet senatorowi Matteo Salviniemu, do niedawna szefowi MSW, któremu prokuratura postawiła zarzut ubezwłasnowolnienia 131 migrantów. W lipcu ubiegłego roku, gdy Salvini był ministrem, przez cztery dni czekali na zezwolenie wejścia do portu na Sycylii. Grozi mu 15 lat więzienia.

Komisja wydała taką decyzję głosami senatorów Ligi, bo tak im polecił ich szef, Salvini. Senatorowie lewicy i Ruchu 5 Gwiazd (koalicja rządząca), promotorzy pomysłu, by pozbyć się rywala przy pomocy politycznie motywowanych sędziów, nie stawili się na obrady komisji. Dlaczego? Bo naród stoi murem za Salvinim. Obawiali się, że głosując przeciw Salviniemu, sześć dni później przerżną wybory w Emilii-Romanii i Kalabrii.

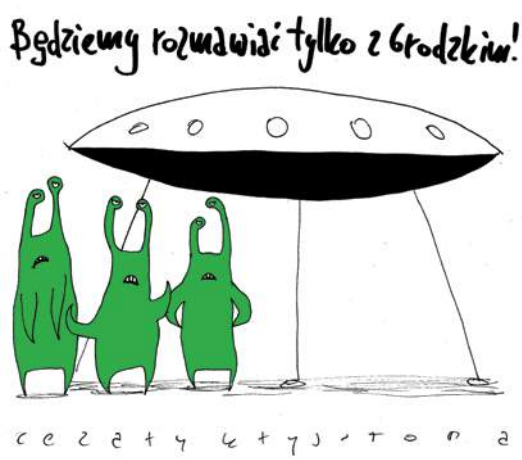

Salvini liczył, że jeśli będzie występował przed głosowaniem w charakterze ofiary koalicjantów, jego Liga te wybory wygra. Gdy się okazało, że przeciwnicy zrejterowali, w desperacji postanowił, że mają ich zastąpić jego ludzie. Odgrywanie roli ofiary może się jeszcze przydać. W lutym na proces skaże go w głosowaniu senat, bo rządzący mają w nim większość.

Nieco wcześniej w identycznej sytuacji Ruch 5 Gwiazd w głosowaniu w senacie Salviniego bronił i wybronił. Teraz wraz z premierem Giuseppe Contem politycy Ruchu twierdzą, że wówczas ubezwłasnowolnienie migrantów było decyzją całego rządu, a później Salvini działał sam i musi za to ponieść karę. Co przeszkadzało premierowi Contemu zmienić decyzję Salviniego, nie wiadomo. Miał na to cztery dni i nie zrobił nic. Powinien iść razem z Salvinim pod sąd.

Jeszcze trudniej pojąć, dlaczego obecnemu rządowi uszło na sucho trzymanie na statku migrantów u wybrzeży Lampedusy przez 11 dni w październiku ubiegłego roku. Statek stał na redzie, bo w perspektywie były wybory w Umbrii. Rząd się bał, że przyjmując migrantów, przegra wybory, które i tak przegrał. To już nawet nie farsa. To schizofrenia, a przy okazji całkowita kompromitacja całej klasy politycznej i wymiaru sprawiedliwości. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Jaka piękna mogła być Polska

Bardzo lubię te momenty na Twitterze, w których widać, jak wiele jako naród straciliśmy na jakości rządzenia, odsuwając od władzy centrolewicę oraz wrażliwych społecznie liberałów. „Wyprowadzają Polskę z Unii, niszczą sądy, by bezkarnie kraść, szczują jednych Polaków przeciw drugim. Głosujesz na nich? Masz prawo. Ale nie masz prawa udawać, że tego nie widzisz. Bo widzisz" – unaocznił tę prawdę Donald Tusk.

Równocześnie tak wiele na jakości debaty tracimy, nie słuchając autorytetów dziennikarstwa. Subtelnych i wrażliwych. „Ten groteskowy człowiek chce »oczyścić do końca nasz polski dom, tak żeby był czysty, porządny i piękny«. Pogromowy język, Moczarowski styl, Gomułkowska mentalność. Jego skromny umysł nie ogarnia, że prowadzi Polskę ku tragedii. Prezydent..." – napisał Jarosław Kurski, komentując prezydenta, cytującego... Tuwima. „Tony pachnące klimatami faszystowskimi coraz wyraźniejsze w jego wystąpieniach" – zauważył przytomnie Tomasz Lis.

Jak wiele straciliśmy również na wojnie z sądami. „Panie Duda! Piszę to z całą odpowiedzialnością. Jest pan złym człowiekiem, marnym prezydentem, ziejącym nienawiścią w imię swoich doraźnych i partyjnych, politycznych celów. Szkodzi pan Polsce!" – stwierdził sędzia Jarosław Ochocki. Człowiek ponad podziałami.

I jeszcze jeden przykład empatii. „Nie żyje sędzia Trybunału Konstytucyjnego Grzegorz Jędrejek" – podała „Gazeta Wyborcza". „To wygląda na klątwę Dublera" – napisała rzecznik SLD Anna Maria Żukowska. „Człowiek umarł. W takich chwilach się milczy albo pisze kondolencje" – odparłem. „W pana prawicowej głowie tylko. W wielu krajach na świecie się żartuje, opowiada anegdoty o zmarłym. Gdyby pan się ruszył ze swojego zadusznego zaścianka za granicę, toby pan o tym wiedział" – przywołała mnie do porządku dziennikarka Aneta Mościcka.

Przy okazji: jak piękne życzenia dostaliśmy na siódme urodziny. „Jedno z tych pism, które wprawiają tradycyjnych ekonomistów w osłupienie: im mniej czytelników neomoczarowskiego tygodnika, tym więcej dochodów z reklam" – napisał Wojciech Sadurski. Dziękujemy, profesorze. ©℗

eprasa.pl 2509c326de

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl 2509c326de

FOT. PAWEŁ GROMADA

TYLKO SIĘ CIESZYĆ

Aktor Waldemar Obłoza poskarżył się w wywiadzie dla „Faktu", że ludzie mylą go z graną przez niego w serialu „Na Wspólnej" postacią. Od 17 lat Obłoza wciela się tam w rolę Romana Hoffera. – Zdarzyła mi się sytuacja, że w galerii handlowej podeszła do mnie pani, oburzona spojrzała na mnie z pogardą i mówi: „Co Roman? Pije się, co? Przestań chlać tę wódę, bo wpędzisz tę swoją ukochaną do grobu!" – opowiada aktor. Zamiast narzekać, powinien się cieszyć i podziękować miłej pani. Trudno o wyższą formę uznania dla jego umiejętności aktorskich.

W DRODZE DO HOLLYWOOD

Młoda celebrytka Julia Wieniawa uznała, że w Polsce osiągnęła już prawie wszystko, co było do osiągnięcia, i teraz rusza na podbój świata. A konkretnie – Hollywood! Na razie wspomina swoją wizytę na Festiwalu w Cannes, gdzie zetknęła się z gwiazdami światowego formatu i zamarzyła, by być jak one! – Minęłam w windzie Penélope Cruz, jadłam lunch obok Julianne Moore, a Amber Heard pochwaliła moją sukienkę – opowiada w wywiadzie dla „Gali". – Pomyślałam wtedy, że skoro znalazłam się w takim miejscu, to wszystko jest możliwe, a marzenie o Hollywood nie jest nierealne. Trzeba się tylko do niego dobrze przygotować – wyznała celebrytka. Czyżby te przygotowania do hollywoodzkiej kariery wiązały się z wyjazdem Wieniawy za ocean? Jeśli tak, to trzymamy kciuki. By trwały jak najdłużej.

SŁOWA KONTRA RZECZYWISTOŚĆ

Julia Wieniawa w tych nielicznych momentach, w których nie planuje kariery za oceanem, myśli o tym, jak bardzo nie przystaje do współczesnej rzeczywistości. – Bliżej mi do czasów młodości mojej mamy, a nawet babci – wyznała. – Kiedy nie było telefonów, ale za to relacje międzyludzkie były silniejsze. Kiedy miłość była piękniejsza, a mężczyzna, żeby zdobyć dziewczynę, musiał dać z siebie więcej, niż tylko lajkować jej zdjęcia i napisać wiadomość. Czasem żartuję, że mam ciało z XXI w., a duszę z innej epoki – stwierdziła w wywiadzie dla „Gali". Celebrytka, która istnieje tylko dzięki Instagramowi i wrzucanym tam non stop selfikom z telefonu, twierdzi, że bliżej jej do czasów bez telefonów? My jej wierzymy.

JAKOŚ CZY JAKOŚĆ

Serialowa aktorka Anna Powierza, znana głównie ze swojej wieloletniej roli w „Klanie", opowiedziała tygodnikowi „Rewia", że w dzieciństwie była nieśmiała i małomówna i nic nie zapowiadało, że pójdzie w kierunku aktorstwa. – Byłam bardzo wycofana, lubiłam być sama i nie miałam potrzeby integrowania się z rówieśnikami. Po pierwszej klasie chcieli mnie wyrzucić z podstawówki, bo

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

w ogóle się nie odzywałam. Nauczycielka uznała, że jestem niedorozwinięta i trzeba mnie wysłać do szkoły specjalnej – wspomina swoje szkolne lata. – Na szczęście zmienił się wychowawca i moja edukacja jakoś się potoczyła – wyznała. Z naciskiem na „jakoś". Nie mylić z jakością.

NA TRZEŹWO SIĘ NIE DA

Dramatu pisarki Marii Nurowskiej ciąg dalszy. Widać, że nadal nie potrafi sobie poradzić z rzeczywistością. Nie tak dawno pisaliśmy, jak z tęsknotą wspominała, że wolałaby żyć pod protektoratem rosyjskim niż z obecną władzą, i myśleliśmy, że trudno będzie to przebić. A jednak! „Nie wiem jak wy, ale ja już nie wytrzymuję tego, co się dzieje. Z jednej strony mafia, która rujnuje to wszystko, na co pracowaliśmy 30 lat, na szacunek i godne miejsce wśród wolnych narodów Europy, a z drugiej podzielona, bezradna opozycja!" – żali się na swoim Facebooku. „W czasie wojny moi rodzice, oboje byli w podziemiu, a ponadto w lesie, w tunelach do przechowywania sadzonek (ojciec był leśnikiem) ukrywało się kilka rodzin żydowskich. Aby przetrwać, rano wypijali szklankę samogonu. Może pójdę w ich ślady..." – zapowiedziała. Jak to? To dotychczas te wszystkie bzdury były na trzeźwo? ©℗

eprasa.pl 2509c326de

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, głupia sprawa. Małgorzata Kidawa-Błońska powiedziała, iż Kaczafiemu zależy tylko na dobru Polski, a nie świata i Europy. Of kors my dobrze rozumiemy przekaz: Kaczafi jest zaściankowy, ksenofobiczny, boi się innych kultur i narodów, stąd skupia się na tym kraju.

Jednakowoż Nowy z Tarnowa na tę okazję przyniósł nowe święte obrazki z Kaczafim do korpo i – cytując Kidawę-Błońską – pytał, czy jest lepszy dowód na to, iż Kaczafi jest ostatnim prawdziwym mężem stanu, któremu zależy na Polsce.

No cóż, kandydatka na prezydentkę mogła zostać źle zrozumiana, ale przecież słysząc opinię, iż Kaczyńskiemu zależy tylko na Polsce, każdy wykształcony człowiek wie, co powinien o tym myśleć!

To uczucie, kiedy nadchodzi wieczór, chcielibyście z kieliszkiem chardonnay usiąść przed jakimś netflixowym serialem, żeby się wychillować na koniec dnia, ale chwileczkę przed tym jeszcze scrollujecie Fejsa, iżby się dowiedzieć, że kandydatem Konfederacji na prezydenta został Krzysztof Bosak. Smakujemy więc powoli chardonnay jak ostatnie łyki normalności.

W ogóle co to za kandydaci: Duda, Bosak, Hołownia, Kosiniak-Kamysz?! Wszystko to biali heteroseksualni mężczyźni w wieku 35+. Polskie partie polityczne nie mają zupełnie odwagi w poszukiwaniu kandydatów różnorodnych, niehomogenicznych etnicznie, wyróżniających się z tłumu. Ci wymienieni to tacy kandydaci współczesnego tego kraju: zupełnie przeciętni, bez pomysłu na siebie, autokreacji.

Na szczęście są jeszcze Kidawa-Błońska i Biedroń, więc nasz głos musimy teraz dobrze zważyć i zastanowić się, czy więcej punktów przyznajemy za bycie waginoosobą czy osobą waginosceptyczną, czy Koalicja Obywatelska znaczy dla nas więcej niż Zjednoczona Lewica i kto ma większe szanse na pokonanie rywala w drugiej turze. To będzie niezwykle trudny wybór, czujemy się odpowiedzialni za ten kraj, ale ufamy (choć to trochę churching), iż razem dokonamy najlepszego wyboru.

Już mieliśmy się oburzyć, iż zobaczyliśmy, że parlamentarzyści dostaną 1 tys. zł podwyżki na pokrycie kosztów funkcjonowania biur poselskich i senatorskich. Wnerwiła nas bowiem, brutalnie mówiąc, ta pisowska rozrzutność.

Jednak doczytaliśmy, iż zarządzenie o podwyżkach podpisali marszałkowie Sejmu i Senatu, a więc również pan profesor marszałek Grodzki. Wnerwiło nas więc to, iż drążyliśmy temat, iżby dociec jego obiektywnego obrazu, zamiast po prostu poprzestać na jednostronnym oburzeniu. Teraz zaś nie wiemy, co o tym myśleć, i nie możemy zasnąć, iż szukamy odpowiedzi. Więc to jednak prawda: im mniej się wie, tym śpi się spokojniej. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Zła odpowiedź

Robert, musimy jakoś zalegendować twój układ ze Spurek.
Włodku, ja nie wiem, o czym mówisz. Ja nie mam z tą panią żadnego układu. Ja ją właściwie ledwo znam.

O, o, właśnie o to mi chodzi. W tę stronę trzeba iść, bo to ty ją wpuściłeś do europarlamentu, a teraz ta wariatka odwala maniany z tymi krowami w pasiakach. To nam może zaszkodzić.
Ale ja z nią naprawdę prawie nie mam kontaktu! Przedwczoraj nawet się minęliśmy na korytarzu bez przywitania.

Z powodu tej grafiki z krowami?
No... nie. Ona się gapiła w komórkę i ja też.

Zła odpowiedź. Jak cię będą pytać, to mów, że z powodu jej antysemickiej działalności przestałeś jej nawet mówić „dzień dobry".
A co mam mówić, jak mnie będą pytać, dlaczego ją wziąłem na listę?

Mów, że cię oszukała. Że wydawała się normalna. Możesz też powiedzieć, że oszukała wcześniej wiele innych osób, np. Bodnara. Też myślał, że jest normalna. A skoro zdołała oszukać nawet jego, to co dopiero ciebie.
Co chcesz przez to powiedzieć?

Nic. Aha, i powiedz, że nigdy nic nie wspominała o krowach. Że w ogóle nigdy o nich nie rozmawialiście. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS zamilczany w Jerozolimie. Szkoda, że u nas tak się nie da".

TOMASZ LIS, *publicysta na Twitterze, o uroczystościach w Izraelu, na których nie przyznano prawa do zabrania głosu prezydentowi RP i które w związku z tym Polska zbojkotowała*

eprasa.pl 2509c326de

FOT. STRINGER/ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

CHINY W STANIE WOJNY Z WIRUSEM

2019-nCoV. To robocza nazwa nowego koronawirusa, który określany jest też po prostu wirusem z Wuhan. To właśnie w tej chińskiej metropolii, zamieszkanej przez 11 mln ludzi, odnotowano pierwszy przypadek zachorowania. Gdy zamykaliśmy ten numer tygodnika „Do Rzeczy", wirus z Wuhan tylko w Chinach zabił już co najmniej 26 osób w wieku od 48 do 89 lat. Lekarze szacują, że doszło do ok. 2 tys. przypadków zachorowań, a sam wirus rozprzestrzenił się już poza granice Państwa Środka. Osoby zarażone zdiagnozowano już m.in. w Tajlandii, Japonii, Singapurze, Korei Południowej, Wielkiej Brytanii oraz w USA.

Odizolowana została również jedna z kobiet, która niedawno wróciła z Państwa Środka na Białoruś, a której objawy mogą świadczyć o tym, że zaraziła się nowym wirusem.

Aby ograniczyć ryzyko groźnej epidemii, chińskie władze ogłosiły, że służba zdrowia jest „w stanie wojny" z 2019-nCoV. W stolicy Chin do odwołania zamknięte będzie Zakazane Miasto – główna atrakcja turystyczna Pekinu. W wielu miastach odwołano również lub ograniczono liczbę uroczystości z okazji Chińskiego Nowego Roku.

Lokalne władze wstrzymały komunikację miejską w Wuhan. Z metropolii nie wyjeżdżają również pociągi oraz autobusy, nie wylatują samoloty ani nie wypływają promy. Mieszkańcom zalecono, aby zmniejszyli do minimum obecność w miejscach publicznych. Działalność ograniczyły muzea, biblioteki oraz teatry. Podobne środki zapobiegawcze podjęło także siedem mniejszych miast. W strachu przed wirusem w weekend zamknięto również szanghajski Disneyland.

Na wszelki wypadek obostrzenia na lotniskach wprowadziły już też Stany Zjednoczone, a także niektóre europejskie porty lotnicze. Nowe środki bezpieczeństwa obowiązują też na lotniskach w Polsce. Wirus w organizmie człowieka rozwija się w ciągu pięciu–sześciu dni od zarażenia. Potrafi też przechodzić z człowieka na człowieka.

Symptomy choroby są podobne do wirusa SARS (Syndrom Ostrej Niewydolności Oddechowej), który na początku XXI w. zabił niemal 800 osób na całym świecie. Wśród objawów pojawiają się: trudności w oddychaniu, gorączka, kaszel oraz nacieki na płucach. Obawy związane z rozprzestrzenianiem się wirusa doprowadziły nie tylko do wyprzedaży maseczek – obowiązkowych dla wszystkich mieszkańców Wuhan – lecz także zaczęły negatywnie wpływać na azjatyckie rynki finansowe. ©℗ ***(jap)***

dwaj panowie g

Kaczor Dyktator znów pracuje, drżyjcie więc chucherka z Eine Totalopposition. Na razie nie w pełnym wymiarze, bo to jednak rehabilitacja po operacji kolana, ale po kilka godzin na Nowogrodzkiej już spędza. W związku z tym płyną z kwatery głównej PiS nowe, ciekawe informacje.

Najważniejsza z nich brzmi: idzie rewolucja. Jeszcze jej nie widać, ale już się zaczęła. Tak czy inaczej wybory prezydenckie będą początkiem nowej epoki. Jeśli prezydent Andrzej Sebastian wygra, to nadchodzą wielkie i szybkie zmiany. W czym? A we wszystkim. Jeśli zaś przegra, to zmiany będą równie wielkie, bo wtedy jedynie ostrym kursem będzie można pokazać, jak wiele dobrego dla ludzi chce zrobić dobra zmiana, ale zła pani prezydent z Peło nie pozwala. Ot, taka recepta na wygranie wyborów 2023 r.

Dzięki PiS znów czujemy się młodzi. Ach, cóż za radość! Tak się bowiem składa, że nasza młodość upłynęła na lekturze rozważań z podziemnej prasy na temat różnic zdań między partyjnymi jastrzębiami i gołębiami. Teraz jest jeszcze lepiej, bo nie musimy czytać. Gołębie i jastrzębie same nam wszystko opowiadają. Tak, chodzi nam o reformę sądów.

No więc z reformą sądów jest tak, że gołębie są w depresji. Uważają, że kurs na zderzenie i zaostrzenie retoryki skończy się, no cóż, zderzeniem, w którego efekcie prezydent Andrzej Sebastian nie zostanie wybrany na drugą kadencję. Co ciekawe, skład gołębi jest ponadpartyjny, to znaczy za głowę łapią się przedstawiciele wszystkich części składowych Zjednoczonej Prawicy.

Jastrzębie tymczasem mówią, że mają analizy, z których wynika, iż to właśnie wokół gonienia precz złych sędziów da się zbudować większość 50 proc. plus 1 głos, gdyż Polacy cięci są na kastę bardzo. Komunikują się z nami także realiści. Oni, w odróżnieniu od jastrzębi i gołębi, mówią, że to, co się straci na sądach, odzyska się na przypominaniu przez prezydenta Andrzeja Sebastiana, iż nie będzie nam Rusek, Szkop, Żydowin, Amerykan ani Walon czy inny bruksel pluł w twarz.

Inna sprawa, że kasta wiele robi, by reelekcję Andrzeja Sebastiana uprawdopodobnić. Pamiętacie gang przebierańców? Taka ekipa gości, którzy podawali się za agentów służb, żeby wyłudzać kasę od naiwnych. To już nieaktualne. Teraz mamy Sąd Najwyższy. Taka ekipa gości, która przebiera się w fartuszki przedszkolne, czyli togi, i spotyka się na dziwnych zgromadzeniach, żeby pokazać, że ma w nosie prawo, konstytucję, a w szczególności Trybunał Konstytucyjny. Kiedy już Andrzej Sebastian zostanie prezydentem ponownie, proponujemy postawienie popiersia Małgorzaty Gersdorf w pałacu.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Potwierdzamy. Jojo Brudziński tudzież ekspremier Bełata Szydło wzmacniają sztab wyborczy prezydenta Andrzeja Sebastiana. Co jest naturalne, gdyż jako europosłowie na brukselskim wygnaniu nudzą się niemiłosiernie. Jednak nie tak bardzo jak inna Bełata, czyli Kempa, która opowiada, jak bardzo brak jej krajowej polityki. Fakt, tu mogła pokrzyczeć na Biedronia częściej niż raz na pół roku.

Wracając na Nowogrodzką. Pamiętacie hiobowe wieści o tym, że PiS musi się wyprowadzić, bo w miejscu siedziby będzie budowany wieżowiec? No więc nie musi się wyprowadzić, gdyż nikt na razie niczego nie buduje. Co w sumie trochę nas martwi. Chcieliśmy wziąć aktywny udział w poszukiwaniu nowej siedziby i wskazać miejsca wygodne dla naszych wiewiórek.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Gdy czytają państwo te słowa, wiedzą już, czy w Peło wybrano na szefa Borysława Budkę. My jeszcze nie wiemy, więc czytamy z nudów sondaż, z którego wynika, że zdaniem wyborców Peło szefem powinien być właśnie Budka. To dla niego dobra wiadomość. Z tego samego sondażu wynika, że także zdaniem wyborców PiS szefem Peło powinien być Budka. Nad tą wiadomością Platforma powinna jednak zasiąść do refleksji.

Z pewnym opóźnieniem dotarła do nas wiadomość, że była posłanka Peło Bożena Sławiak zarabia dziś na życie poza polityką w Niemczech, gdzie opiekuje się starszymi osobami i sprząta. Co chwalimy jako ludzki gest. W odróżnieniu od innych mediów nie jesteśmy zaszokowani. Pamiętamy czasy, kiedy Paweł Graś robił u Niemca za stróża. Co więcej, pamiętamy też, jak niedawno Donald Tusk robił u Niemca za kołonotatnik. Dokładnie u Niemki, miłej starszej osoby imieniem Angela. Gest Donalda był jednak nieco mniej ludzki, bo akurat Frau Angela nie potrzebowała pomocy.

Sensacja, rewelacja, nagłówek z portalu Die Interia: „Brutalny atak na byłą gwiazdę Wisły Kraków i jej dzieci". Przeczytaliśmy i jesteśmy lekko zaskoczeni. Rzecz jest o tym, że w Internecie źli ludzie krytykują byłego piłkarza Tomasza Frankowskiego za to, że jako europoseł

epprasa.pl

głosował za rezolucją Parlamentu Europejskiego uderzającą w Polskę. Nasze zaskoczenie nie wynika z tego, że wielki portal odkrył istnienie hejtu w Internecie. Raczej z tego, że w sążnistym artykule ani razu nie zauważył, iż Frankowski jest europosłem Platformy Łobywatelskiej i że to właśnie ludzie Peło tudzież Wiosny rzeczoną rezolucję wsparli.

My w sprawie kandydatów bezpartyjnych. Polecamy wszystkim odwiedzenie oficjalnego kanału Hołowni Szymona na YouTube. Można tam znaleźć aż cztery filmy. Jeden z nich to orędzie wigilijne Hołowni. Drugi to krótka relacja ze spotkania z wyborcami, trzecim jest manifest Piotra Kuczyńskiego, analityka i ekonomisty, który dołączył do sztabu Szymona. Wszystkie są zabawne, ale nie tak bardzo jak czwarty.

Czwarty filmik jest bowiem klipem godnym najlepszych speców od psychomanipulacji, a jego treść sprowadza się do przesłania: jeśli płakałeś na „Królu Lwie", to powinieneś głosować na Szymona. Nie płakaliśmy, nie będziemy głosować.

Idzie rewolucja. Jeszcze jej nie widać, ale już się zaczęła. Tak czy inaczej wybory prezydenckie będą początkiem nowej epoki

McDonald's rezygnuje z plastikowych słomek. Niebezpieczny trend. No bo co się wydarzy, kiedy inne bezideowe korporacje pójdą jego śladem? Na przykład Platforma Łobywatelska – zakaz używania plastikowych polityków to jej bezwzględny koniec. No i także koniec kampanii Szymona Hołowni.

Przy okazji przypomniało się nam, jak Hołownia opowiadał, że ostatni raz widział się z Donaldem Tuskiem w Afryce. Czy nie można by zrobić tak, żeby każdy, kto chce z Tuskiem porozmawiać, musiał jechać właśnie tam?

Na koniec będzie pikantnie. Otóż na osiedlu Grzesiuka w Warszawie napięcie sięga zenitu. Najpierw jednak musimy wytłumaczyć, co to za osiedle. Zamieszkują je prawie wyłącznie najwyżsi przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości – sędziowie Sądu Najwyższego czy prokuratorzy Prokuratury Krajowej. To miejsce, gdzie dobra zmiana mieszka przez ścianę z najgorszym sortem. Jak się domyślacie, obie strony bacznie się obserwują.

To jeszcze nie jest pikantne, ale ciąg dalszy będzie. Najgorszy sort odkrył, że jeden z głównych przedstawicieli dobrej zmiany ma upodobania godne najgorszego sortu. A mianowicie jest zdeklarowanym gejem. W dodatku niespecjalnie się kryje, że jego współlokator nie jest wyłącznie kolegą, ale łączy go z nim płomienne uczucie. Początkowo najgorszy sort rozważał, czy w ramach obnażania hipokryzji nie podkablować pary do „Der Faktu" lub „GazWybu", co w sumie na jedno wychodzi. Ostatecznie zrezygnowano pod naporem argumentów. Najważniejszy brzmiał: jeśli my wiemy, z kim oni sypiają, to oni pewnie też wiedzą, z kim sypiamy my. ©℗

REKLAMA

Ubezpiecz mieszkanie od pożaru, zalania i innych zdarzeń losowych

już od 122 zł rocznie!

Sprawdź 22 444 44 44

www.link4.pl lub zapytaj Agenta

Składka 121,22 zł: mieszkanie własnościowe 50 m², Orzechowo, lata budowy 1970-1990, brak szkód w ostatnich 3 latach. Ubezpieczenie od zdarzeń losowych - suma ub. murów i el. stałych mieszkania 204 tys. zł, mienia ruchomego 10 tys. zł. Cena zawiera zniżkę za zakup przez Internet. Oferta dla nowych Klientów LINK4. Szczegóły i wyłączenia znajdziesz w OWU.

REKLAMA

LINK4

eprasa.pl 2509c326de

Oligarcha na straży tolerancji

Wiaczesław Mosze Kantor w ostatnich latach stara się mieć dobre relacje z Władimirem Putinem FOT. MIKHAIL METZEL/TASS/FORUM

eprasa.pl 2509c326de

Jakub Wozinski

Żydowski biznesmen z Rosji chciał kiedyś przejąć polskie zakłady azotowe. To on stoi za organizacją Światowego Forum Holokaustu w Jerozolimie, na którym nie chciano dać głosu prezydentowi Polski

Wiaczesław Mosze Kantor nie interesuje się piłką nożną jak wielu innych rosyjskich oligarchów. Jego wielką pasją jest kolekcjonowanie dzieł malarstwa awangardowego, lecz największą ze wszystkich – działalność publiczna.

O zajmującym 27. miejsce na liście najbogatszych Rosjan biznesmenie w Polsce zrobiło się ponownie głośno za sprawą odbywającego się w ubiegłym tygodniu w Jerozolimie V Światowego Forum Holokaustu. Kantor, który od 2007 r. pełni funkcję prezesa Europejskiego Kongresu Żydowskiego (EJC), poprzednie forum zorganizował w 2015 r. w Teresinie w Czechach, lecz stosunkowo niewielkie zainteresowanie mediów i polityków najwyraźniej podrażniło jego ambicje.

NAUKOWIEC, BIZNESMEN, OLIGARCHA

Szacuje się, że tylko od 2015 r. z Rosji wyjechało już niemal 40 tys. Żydów (czyli więcej niż przez całą poprzednią dekadę). Emigranci jako przyczynę wskazują najczęściej ograniczanie swobód obywatelskich, choć wielu z nich zwyczajnie decyduje się na emigrację do Izraela z przyczyn ekonomicznych. Na swego rodzaju emigracji przebywa także Wiaczesław Kantor, który większość czasu spędza w Londynie, a także w Szwajcarii i Izraelu. W Rosji bywa tylko w interesach, choć te coraz częściej stara się prowadzić także poza granicami kraju. Oprócz obywatelstwa rosyjskiego posiada także brytyjskie oraz izraelskie.

Jako młody naukowiec, który w latach 70. XX w. kończył Moskiewski Instytut Lotnictwa, Kantor nie mógł chyba przypuszczać, że będzie kiedyś zaliczany do najbardziej wpływowych osób w Rosji oraz społeczności żydowskiej na całym świecie. Planował karierę naukową, zdobył nawet tytuł doktora jako specjalista z zakresu systemów kontroli statków kosmicznych, lecz w 1986 r. stracił posadę dyrektora laboratorium, gdy z placówki wyciekły za granicę ważne informacje. W 1989 r. został dyrektorem w amerykańsko-rosyjskim przedsiębiorstwie informatycznym. Miał w ten sposób uczestniczyć w tworzeniu pierwszych nowoczesnych sieci komputerowych w Rosji, a jednocześnie zdobył niezwykle cenne doświadczenie w biznesie oraz – co najważniejsze – kapitał.

W drugiej połowie 1992 r. rosyjskie władze zdecydowały się uruchomić program prywatyzacji na podstawie bonów. Rosyjska gospodarka znalazła się w stanie wielkiego chaosu, a na sprzedaż było łącznie ok. 80 tys. przedsiębiorstw. Na początku 1993 r. Wiaczesław Kantor nabył za zaledwie ok. 200 tys. dol. ponad 30 proc. akcji znajdujących się w złej kondycji zakładów Azot w Nowogrodzie Wielkim (które później przemianowano na Acron), w których tuż przed prywatyzacją przeprowadzał specjalną ekspertyzę. Jako główny udziałowiec doprowadził specjalizującą się w produkcji nawozów dla rolnictwa firmę do rozkwitu. W 2000 r. przedsiębiorstwo weszło m.in. na rynek chiński. W 2018 r. firma wygenerowała aż 1,8 mld dol. przychodu.

W zdobywaniu pozycji oraz rozwoju chemicznego biznesu Kantorowi z pewnością pomagała znajomość z bliskim doradcą Borysa Jelcyna, Giennadijem Burbulisem. Według niektórych relacji to właśnie jemu zawdzięczał przejęcie nowogrodzkich zakładów azotowych, a następnie także zlokalizowanych w Smoleńsku zakładów Drohobuż.

NIEUDANE WROGIE PRZEJĘCIE

O Acronie było swego czasu bardzo głośno również w Polsce. W 2012 r. firma należąca do Kantora podjęła bowiem próbę przejęcia Zakładów Azotowych w Tarnowie. Rosjanie ogłosili chęć zakupu aż 66 proc. akcji, a jak przypomniał niedawno „Dziennik Gazeta Prawna" w ich imieniu działał wówczas Dom Maklerski BZ WBK. Oferta była atrakcyjna z czysto finansowego punktu widzenia (proponowano cenę o 20 proc. wyższą od rynkowej), lecz ówczesny rząd Donalda Tuska podjął działania mające na celu pozostawienie zakładów chemicznych w polskich rękach.

Batalia o Zakłady Azotowe w Tarnowie miała bardzo dramatyczny przebieg. W imieniu Acronu działała spółka Norica Holding z siedzibą w Luksemburgu, a ponadto skupywaniem akcji zajmowały się niezależnie powiązane z nią Vertigo Ventures i Omana Holdings zarejestrowane na Cyprze. Jak można przeczytać w komunikacie Komisji Nadzoru Finansowego z 2015 r. o nałożeniu kary na Noricę, firma ta nie informowała w porę o zwiększonym stanie posiadania akcji, czym naruszyła obowiązujące w Polsce przepisy. Do przejęcia Zakładów Azotowych w Tarnowie ostatecznie nie doszło, gdyż rząd w porę zaplanował połączenie ich z Zakładami Azotowymi Puławy. W ten sposób w styczniu 2013 r. powstała Grupa Azoty, w której rosyjska spółka ma dziś prawie 20 proc. akcji.

Przejęcie tarnowskich zakładów wiązałoby się z niebezpieczną dla Polski sytuacją. Nie można dziś wykluczyć, że wykupienie ich mogłoby posłużyć rosyjskiemu producentowi do zneutralizowania konkurencji, wygaszenia produkcji w Tarnowie i jednoczesnego zwiększenia mocy przerobowych rosyjskich zakładów. W czasie, gdy spółce groziło przejęcie, jej władze alarmowały, że Rosjanie najprawdopodobniej zdecydowaliby się na zamknięcie polskich wytwórni amoniaku. Ponadto, w okresie, gdy Acron planował przejęcie kontroli nad Zakładami Azotowymi w Tarnowie, w Polsce trwały intensywne poszukiwania złóż gazu łupkowego, który docelowo miał być masowo wykorzystywany w przemyśle chemicznym (rocznie zużywa się w nim nawet 20 proc. gazu dystrybuowanego w Polsce). Chociaż dziś wiadomo już, że do „rewolucji łupkowej" niestety nie doszło, to przed ośmioma laty wizja zmniejszonego zapotrzebowania na gaz sprowadzany z Rosji była jak najbardziej prawdopodobna.

Pomijając jednak nawet powyższe zagrożenia, przejęcie bardzo dochodowej firmy przez obcy podmiot stwarzałoby także potencjalnie kłopotliwą sytuację dla całego polskiego rolnictwa. Obecnie Grupa Azoty jest niekwestionowanym liderem sprzedaży nawozów w całym kraju, a jej przejście pod rosyjski zarząd wiązałoby się z oddaniem kontroli nad rynkiem wartym kilka miliardów złotych. Największa polska grupa z branży chemicznej regularnie (pomijając słabszy nieco rok 2018) generuje zysk rzędu 400–600 mln zł rocznie. Rosjanie przejęliby jedno z najbardziej rentownych przedsiębiorstw w Polsce.

W czasie próby przejęcia Zakładów Azotowych w Tarnowie głośno było także o lobbingu, który w imieniu Wiaczesława Kantora miał prowadzić utrzymują-

eprasa.pl 2509c326de

cy z nim dobre kontakty Aleksander Kwaśniewski. Informacje o tym publikował w 2013 r. m.in. „Newsweek", którego dziennikarze sugerowali, że osoby powiązane z byłym prezydentem miały kontaktować się w tej sprawie m.in. z premierem oraz lokalnymi politykami. Sprawa ta nie została nigdy w pełni wyjaśniona.

Kantor z Kwaśniewskim znają się od lat. Pierwsze zorganizowane przez Kantora Światowe Forum Holokaustu odbyło się w styczniu 2005 r. w Krakowie, gdy Kwaśniewski pełnił jeszcze urząd prezydenta (w Polsce gościli wówczas m.in. Władimir Putin oraz wiceprezydent USA Dick Cheney). Następnie właściciel Acronu powierzył mu w 2008 r. funkcję prezesa Europejskiej Rady Tolerancji i Pojednania (ECTR), na której czele stał do 2013 r. Wówczas miejsce Kwaśniewskiego zajął były brytyjski premier Tony Blair. Oprócz nich do organizacji należą m.in. były premier Hiszpanii José María Aznar oraz były wicepremier Austrii Erhard Busek. Skład osobowy ECTR jedynie potwierdza to, że Wiaczesław Kantor stara się zawsze dobierać do swoich inicjatyw bardzo wpływowe postaci.

WALKA Z NIETOLERANCJĄ I KSENOFOBIĄ

Działalność prowadzonej przez Kantora ECTR skupia się przede wszystkim na walce z „rasizmem, antysemityzmem i ksenofobią", a także na monitorowaniu „zachowań szowinistycznych i proponowaniu inicjatyw na rzecz tolerancji". W tym celu przed dwoma laty rosyjsko-żydowski oligarcha ufundował specjalną nagrodę – 1 mln euro dla osób zaangażowanych w „zwalczanie nietolerancji". Oprócz tego od 10 lat przyznawane są specjalne Medale Tolerancji, które w przeszłości otrzymywali m.in. król Hiszpanii Juan Carlos I, książę Monako Albert II czy piłkarz Samuel Eto'o.

Działalność Europejskiej Rady Tolerancji i Pojednania nie ogranicza się jednak wyłącznie do przyznawania nagród. O wiele bardziej istotne są jej wysiłki na rzecz dokonywania zmian w europejskim prawie, mające na celu m.in. ograniczenie wzrostu antysemityzmu i zwalczanie ksenofobii. Rada współpracuje w tym zakresie z zarządzanym przez Kantora Europejskim Kongresem Żydowskim, a owocem ich współdziałania jest tzw. Ramowy Statut Promocji Tolerancji w krajach członkowskich Unii Europejskiej, który miałby zostać docelowo przyjęty przez wszystkie 27 krajów członkowskich. Statut ten zawiera wiele kontrowersyjnych zapisów, przewidujących m.in. objęcie obywateli podejrzewanych o „nietolerancję" specjalnym nadzorem państwa, otoczenie członków grup słabszych i pokrzywdzonych „szczególną ochroną", uruchomienie programów reedukacyjnych dla nieletnich osób szerzących mowę nienawiści oraz finansowe wsparcie z pieniędzy podatników dla mediów promujących „kulturę tolerancji". Od kilku lat jego założenia są forsowane m.in. na forum Parlamentu Europejskiego.

Po raz ostatni Kantor odwiedził Brukselę w grudniu ubiegłego roku, biorąc udział w spotkaniu pod nazwą: „Po ataku w Halle. Od słów do działań przeciwko antysemityzmowi". Oligarcha przekonywał, że antysemityzm jest dziś problemem całego społeczeństwa, a nie tylko samych Żydów. Organizatorem wydarzenia była Robocza Grupa Parlamentu Europejskiego ds. Antysemityzmu, a o jego randze świadczy chociażby to, że pojawiła się na nim nawet przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Współorganizatorem spotkania było także żydowskie stowarzyszenie B'nai B'rith International, a obecni na nim europarlamentarzyści z Austrii, Hiszpanii czy Niemiec prześcigali się w deklaracjach walki z antysemityzmem. Incydent w Halle, w którym zginęły dwie osoby, skłonił von der Leyen do podjęcia decyzji o powołaniu specjalnego zespołu ds. walki z antysemityzmem.

Wiaczesław Mosze Kantor to osoba niezwykle ambitna i wykazująca niemałe zdolności przywódcze. Świadczy o tym chociażby to, że jako rosyjski Żyd zdołał

Jak uczczono rocznicę w Izraelu

W ramach obchodów 75. rocznicy wyzwolenia obozu koncentracyjnego Auschwitz zorganizowanych 23 stycznia w Jerozolimie pojawiło się blisko 50 delegacji państwowych z całego świata, a wśród nich aż 41 głów państw. Nad bezpieczeństwem gości czuwało ok. 10 tys. policjantów. Prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin, który wcześniej tego samego dnia odsłonił niedaleko Knesetu pomnik upamiętniający ofiary bitwy o Leningrad, opisując zbrodnię Holokaustu, stwierdził, że „to przestępstwo miało swoich pomocników, którzy w okrucieństwie przewyższali swoich panów". Jednocześnie zobowiązał się do walki z „historycznym rewizjonizmem" za pomocą wszelkich dostępnych środków.

Premier Izraela Beniamin Netanjahu wykorzystał uroczystości do ataku na Iran, który nazwał „najbardziej antysemickim reżimem na całej planecie", pragnącym przy użyciu broni nuklearnej zniszczyć państwo żydowskie. W podobnym duchu wypowiadał się prezydent Izraela Reuven Rivlin, który stwierdził tego dnia, że z antysemityzmem i ksenofobią zawsze trzeba walczyć. Głowa izraelskiego państwa przypisała także żołnierzom Armii Czerwonej ujawnienie światu tragedii obozów koncentracyjnych: „Opisali, co zobaczyli na własne oczy. To była ziemia przeklęta w historii ludzkości". Pozytywnie na temat Armii Czerwonej wyraził się również prezydent Francji Emmanuel Macron, który w swoim przemówieniu wspominał, jak „75 lat temu bohaterscy żołnierze Armii Czerwonej przeszli przez bramę Auschwitz".

Winę swojego narodu za Holokaust po raz kolejny podkreślił prezydent Niemiec Frank-Walter Steinmeier. Przemawiając w Yad Vashem, stwierdził: „Chciałbym móc powiedzieć, że Niemcy nauczyli się z historii, lecz nie mogę". O globalnym problemie z antysemityzmem mówił za to wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Mike Pence: „Musimy być gotowi na konfrontację z rosnącą falą antysemityzmu, która podsyca nienawiść i przemoc na całym świecie". Surowej krytyce poddał w szczególności Iran, który uczynił z zaprzeczania Holokaustowi element swojej oficjalnej polityki. Na uroczystości do Jerozolimy nie przybył jednak ani Donald Trump, ani jego zięć i doradca Jared Kushner, który wymówił się złą pogodą panującą w Davos. Nieobecny był także prezes Światowego Kongresu Żydów Ronald Lauder, który zdecydo-

eprasa.pl 2509c326de

Prezydent Federacji Rosyjskiej Władimir Putin i premier Izraela Beniamin Netanjahu z żoną Sarą podczas ubiegłotygodniowych uroczystości w Jerozolimie FOT. ALEXEI NIKOLSKY/TASS/GETTY IMAGES

przejąć przywództwo w Europejskim Kongresie Żydowskim (EJC) pomimo wcześniejszego zdominowania tej organizacji głównie przez jego rodaków żyjących we Francji i w innych krajach Europy Zachodniej. Ambicje Kantora budzą nawet do pewnego stopnia zaniepokojenie wśród przywódców Światowego Kongresu Żydowskiego (WJC). Gdy w 2016 r. wybierano przewodniczącego EJC, właściciel Acronu w zasadzie nie miał kontrkandydata.

RELACJE Z KREMLEM

Pominięcie polskiego prezydenta wśród mówców V Światowego Forum Holokaustu przy jednoczesnym udostępnieniu mównicy Władimirowi Putinowi mogłoby sugerować, że Wiaczesław Kantor ma od lat świetne relacje z rosyjskim prezydentem. Jednak w ciągu ostatnich 20 lat Kantor nie zawsze prezentował polityczny kurs mile widziany przez Putina (tak było chociażby w czasach pomarańczowej rewolucji na Ukrainie, gdy został doradcą ukraińskiego prezydenta Wiktora Juszczenki). W ostatnich latach właściciel Acronu wydaje się mieć jednak bardzo dobre relacje z prezydentem, o czym mógłby świadczyć chociażby przyznany mu w 2016 r. państwowy medal zasługi. Oligarcha poparł aneksję Krymu, a tuż po jej sfinalizowaniu zorganizował w Sankt Petersburgu konferencję Europejskiego Kongresu Żydowskiego ostrzegającą

wał się przybyć na obchody rocznicowe wyzwolenia Auschwitz do Polski. W Jerozolimie pojawiła się za to przewodnicząca Izby Reprezentantów Nancy Pelosi. Przed przybyciem do Izraela gościła w Polsce, a w zamieszczonej później na jej oficjalnej stronie internetowej relacji z wizyty w Auschwitz można było przeczytać o poruszeniu złem, które spotkało „Żydów, Romów, osoby LGBTQ, osoby niepełnosprawne i inne".

W dzień obchodów wywiadu dla „The Jerusalem Post" udzielił przewodniczący Europejskiego Kongresu Żydowskiego Wiaczesław Mosze Kantor, który stwierdził, że najbardziej niepokoi go wzrost antysemityzmu w USA, szczególnie na uniwersyteckich kampusach. Jego zdaniem „jest to bardzo problematyczne, ponieważ mentalność i ideologie przyszłych liderów tworzą się właśnie tam". Tak ostra ocena antysemityzmu w Stanach Zjednoczonych miała zapewne swoje źródło w nieobecności amerykańskiego prezydenta, gdyż w swoim wystąpieniu w Yad Vashem Kantor za przeciwdziałanie antysemityzmowi pochwalił Rosję: „W Rosji widzimy niski poziom antysemityzmu, dzięki bezkompromisowej polityce, zakładającej walkę z tym zjawiskiem. Traktowany jest z najwyższą surowością, przez co udało się go pozbyć z przestrzeni publicznej niemal w całości". Lider europejskiej społeczności żydowskiej przekonywał także, że bez Żydów trudno sobie wyobrazić światowy porządek: „Żydzi byli od zawsze najbardziej wiernymi obywatelami krajów, byli filarem społeczeństw we wszystkich dziedzinach życia".

Na uroczystościach w Jerozolimie oprócz Andrzeja Dudy zabrakło też prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego, który przekazał swoje miejsce osobom ocalałym z Zagłady. Do Izraela nie przyjechał także prezydent Litwy Gitanas Nausėda, który zdecydował się uczcić ofiary zbrodni podczas obchodów zorganizowanych w Polsce.

W czasie uroczystości w Yad Vashem wybuchł skandal związany z zaprezentowaną multimedialną prezentacją. Ujęcia ukazujące Marsz Niepodległości z polskimi flagami posłużyły jako ilustracja współczesnego antysemityzmu. Z kolei przy prezentacji niemieckiej agresji na kolejne państwa Polska nie została przedstawiona w granicach sprzed 1939 r. ani z 1945 r., a całe Kresy zostały ukazane jako osobne państwo i opisane jako Białoruś. Dodatkowo materiał sugerował, jakoby niemiecka inwazja zaczęła się tak naprawdę dopiero w... 1942 r. ©℗

eprasa.pl 2509c326de

przed wzrostem popularności neofaszyzmu. Izraelski dziennik „Haaretz" zidentyfikował Kantora jako członka Grupy Alfa, czyli grupy oligarchów żydowskiego pochodzenia, którzy w przeciwieństwie do Michaiła Chodorkowskiego nie podejmują kursu konfrontacyjnego względem Putina, lecz stawiają przede wszystkim na prowadzenie biznesu.

O znaczeniu Wiaczesława Mosze Kantora dla rosyjskiej polityki i gospodarki wiele mówi bez wątpienia także to, że jego nazwisko pojawiło się na opublikowanej w styczniu 2018 r. przez Departament Skarbu USA „liście oligarchów" powiązanych z Putinem. Gdy jednak kilka miesięcy później ogłoszono listę biznesmenów i przedsiębiorców objętych przez Amerykanów sankcjami, Kantor i Acron już się na niej nie znaleźli.

Zdaniem senatora PiS Jana Marii Jackowskiego pozycja Kantora na Kremlu wynika przede wszystkim ze szczególnych korzyści, jakie zapewnia rosyjskim elitom władzy. Mówi „Do Rzeczy": „O Wiaczesławie Mosze Kantorze krąży taka anegdota autorstwa Bierezowskiego, że gdy podajesz mu rękę, to później policz, czy masz wciąż wszystkie pięć palców. Choć to tylko anegdota, dość dobrze oddaje chyba charakter tego biznesmena. Kantor jest używany do odwrócenia uwagi od antysemityzmu znacznej części elit rosyjskich oraz antysemityzmu w całej Rosji. Jest osobą ze wszech miar potrzebną władzom na Kremlu. Działa tu swego rodzaju mechanizm wzajemnych usług: rosyjskie elity są zwalniane z zarzutów antysemityzmu, a Kantor ma zapewnione odpowiednie warunki do prowadzenia swoich biznesów. Kreml dzięki współpracy z Kantorem ma możliwość polepszania swojego propagandowego wizerunku. (...) Kantor ma dobre relacje z kręgiem polityków blisko związanych z Putinem zasiadających w Dumie i Radzie Najwyższej, a także Komisji Spraw Zagranicznych i Radzie Federacji. To właśnie tym kontaktom zawdzięcza swoją silną pozycję".

ROSNĄCE WPŁYWY

Mająca swoją siedzibę w Wielkim Nowogrodzie spółka Acron w ostatnich latach wciąż się rozwija. W ubiegłym roku trzy wiodące rosyjskie banki – Sbierbank, Gazprombank oraz Wnieszekonombank – wyraziły zgodę na sfinansowanie budowy nowej kopalni potażu w Kraju Permskim na Uralu. Koszt inwestycji ma wynieść 1,35 mld dol. Oprócz udziałów w Grupie Azoty Acron posiada m.in. także własne szyby w kopalniach potażu w Kanadzie oraz trzy terminale portowe w bałtyckich portach. Spółka należąca do Kantora jest notowana na giełdzie w Londynie.

Wiaczesław Kantor nieustannie powiększa swoją kolekcję sztuki awangardowej, która uchodzi za jedną z największych na świecie. Jego zbiory współtworzą Muzeum Awangardy (MAGMA), które prezentuje dzieła w wielu różnych lokalizacjach. Biznesmen postawił sobie za cel przede wszystkim sprowadzenie do Rosji dzieł, które tworzyli rosyjscy Żydzi tacy jak Marc Chagall czy Jacques Lipchitz.

Wydaje się, że z równą pasją Kantor kolekcjonuje także funkcje publiczne. Oprócz przewodniczenia Europejskiemu Kongresowi Żydowskiemu oraz Europejskiej Radzie Tolerancji i Pojednania Kantor pełni także funkcję m.in. prezesa Europejskiego Funduszu Żydowskiego (EJF) oraz zasiada w zarządzie instytutu Yad Vashem w Jerozolimie.

Osobną „kolekcję" tworzą także odznaczenia państwowe i nagrody, które w ostatnich latach otrzymał. Jednym z pierwszych odznaczeń, które uzyskał, był przyznany mu w 2005 r. przez Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyż Oficerski Orderu Zasługi RP. Oprócz tego od prezydenta Francji otrzymał Narodowy Order Legii Honorowej (2015), od władz Florencji – klucze do miasta (2018), od belgijskich władz – Order Leopolda (2009), a od prezydenta Włoch – Rycerski Wielki Krzyż (2013). Za swoją działalność Kantor otrzymał także m.in. doktorat honoris causa od Uniwersytetu w Tel Awiwie w 2004 r.

KRYTYKA POD ADRESEM POLSKI

Kierowany przez Kantora Europejski Kongres Żydowski od lat prowadzi politykę opartą na zarzucaniu Polsce wzrostu nastrojów antysemickich (ten sam zarzut stawia zresztą praktycznie wszystkim krajom). Było tak choćby w 2013 r., gdy przedstawiciele organizacji dopatrywali się przejawów antysemityzmu w stadionowych przyśpiewkach. Zabierając wówczas głos w tej sprawie, Wiaczesław Kantor narzekał, że reakcja władz państwowych jest minimalna.

Krytyka ze strony najważniejszej organizacji zrzeszającej europejskich Żydów pojawiała się także w 2017 r., gdy w Polsce miało rzekomo dochodzić do niepokojącego wzrostu „antysemickich incydentów". Za takie uznano wtedy m.in. pojawienie się flagi ONR w telewizyjnej relacji z oficjalnych uroczystości państwowych oraz niepokojące uwagi w mediach społecznościowych (chodziło głównie o wpis posła PiS Bogdana Rzońcy na Twitterze dotyczący poparcia Żydów dla aborcji). Wyraźnie poirytowany Kantor wypominał przy tej okazji polskiemu rządowi, że od ponad roku żaden wysokiej rangi urzędnik nie znalazł czasu na spotkanie z przedstawicielami środowisk żydowskich w Polsce.

Wielka kampania przeciwko antysemityzmowi, którą od 2008 r. prowadzi zarządzany przez Kantora Europejski Kongres Żydowski, ma jego zdaniem uzasadnienie w rzekomej eksplozji nastrojów antysemickich w ostatnim czasie. W wywiadzie udzielonym niedawno agencji AFP oligarcha stwierdził, że jeszcze 16 lat temu problem nienawiści do Żydów był „mikroskopijny". Sytuację radykalnie zmienił dopiero kryzys finansowy z 2008 r., który uderzył w klasę średnią i zradykalizował jej postrzeganie świata. Przewodniczenie największej europejskiej organizacji żydowskiej Kantor traktuje więc jako swoją wielką dziejową misję na rzecz powstrzymania nastrojów antysemickich. Jego zdaniem skala emigracji Żydów z Europy jest dziś tak wielka, że wkrótce na całym kontynencie może nie być już żadnego z jego rodaków.

Według Kantora globalny wzrost nastrojów antysemickich zauważalny jest przede wszystkim w Ameryce Północnej oraz Europie. W czasie zorganizowanego w maju 2019 r. Dnia Pamięci o Holokauście w Jerozolimie stwierdził, że „antysemityzm nie ogranicza się już wyłącznie do skrajnej lewicy, skrajnej prawicy i radykalnych islamistów, wszedł już do mainstreamu i często został zaakceptowany przez społeczeństwo obywatelskie". Funkcjonujące przy Uniwersytecie w Tel Awiwie Centrum Kantora na rzecz Współczesnych Studiów Żydowskich publikuje co roku specjalne raporty ukazujące skalę antysemickich ataków na całym świecie. Zdaniem autorów dokumentu na wzrost tego typu incydentów największy wpływ mają m.in. problem z masową imigracją oraz zła sytuacja gospodarcza, a w przypadku Wielkiej Brytanii – brexit. Chociaż do największej liczby „antysyjonistycznych" incydentów dochodzi regularnie we Francji i w Niemczech, to raport

eprasa.pl 2509c326de

z 2019 r. zarzucił m.in. polskim urzędnikom, że promują nienawiść do Żydów.

W specyficznej krucjacie przeciwko antysemityzmowi sojusznikiem inicjatyw Wiaczesława Kantora pozostaje zarządzana przez José Bergoglia Stolica Apostolska. W 2018 r. oligarcha na specjalnej konferencji zorganizowanej w Wiedniu przedstawił program całkowitej eliminacji antysemityzmu (sprawę na łamach naszego tygodnika opisywał Piotr Włoczyk – „Do Rzeczy" nr 19 z 6 maja 2019 r.). Sporządzony z tej okazji dokument zatytułowany „Koniec z antysemityzmem!" przeciwstawiał „przyjaciela Żydów" papieża Franciszka rzekomo antysemickiemu Radiu Maryja. Zastrzeżenia co do funkcjonowania toruńskiej rozgłośni nie ograniczały się wyłącznie do słów krytyki, gdyż w raporcie znalazło się zalecenie, aby rozgłośnia została zamknięta.

Według przedstawicieli Europejskiego Kongresu Żydowskiego walka z antysemityzmem powinna mieć odpowiednie podstawy finansowe, dlatego autorzy publikacji zalecali, aby każde państwo przeznaczało na walkę z antysemityzmem co najmniej 0,02 proc. swojego PKB. Oprócz tego w każdym kraju konieczne miałoby być założenie niezależnego instytutu monitorującego antysemickie zachowania oraz wprowadzenie zmian w systemie nauczania tak, aby kładziono szczególny nacisk na żydowską kulturę i historię.

We wspomnianym dokumencie zaproponowano także m.in. zmianę przedstawiania faryzeuszy i ich odpowiedzialności za śmierć Jezusa w katolickim nauczaniu. W tym celu w maju ubiegłego roku w Rzymie przy współudziale Papieskiego Instytutu Biblijnego oraz przedstawicieli środowisk żydowskich zorganizowano nawet specjalną konferencję mającą na celu przybliżenie nowej i bardzo zaskakującej interpretacji roli, którą mieli odgrywać przedstawiciele starożytnego żydowskiego bractwa religijnego. Strona żydowska przekonuje, że negatywny wizerunek faryzeuszy wśród katolików wpływa na współczesny antysemityzm, a jego modyfikacja mogłaby poprawić dialog międzyreligijny, który w trakcie obecnego pontyfikatu jest kwestią zdecydowanie priorytetową. Wiaczesław Kantor spotkał się nawet przed trzema laty z papieżem Franciszkiem w Watykanie, zapewniając go o modlitwie w jego intencji.

W CENTRUM UWAGI

Tegorocznemu V Światowemu Forum Holokaustu towarzyszy spory rozgłos medialny. Zarządzany przez Kantora Europejski Kongres Żydowski zadbał o to, aby wydarzenie przykuło uwagę nie tylko polityków, lecz także zwykłych ludzi. W tym celu zorganizowano w mediach społecznościowych akcję #StopThisStory przypominającą fakty na temat aktów przemocy, których w przeszłości dopuszczano się przeciwko ludności żydowskiej. Udział w niej potwierdziło wiele znanych osób, m.in. aktorka Vanessa Kirby oraz izraelska modelka Bar Refaeli. Głównemu organizatorowi zależy mocno na tym, aby uwaga światowych mediów była tego dnia skupiona właśnie na Jerozolimie.

Najbliższe lata mogą przynieść dalszy wzrost znaczenia Kantora. Jego majątek przyrasta w ostatnim czasie szybciej niż kiedykolwiek, dzięki czemu sukcesywnie pnie się w rankingach najbogatszych obywateli Rosji. Organizacja V Światowego Forum Holokaustu w Jerozolimie jedynie potwierdza, że pozycja rosyjsko-żydowskiego oligarchy znacząco wzrosła. Zagranie przeciwko polskiemu prezydentowi z pewnością spodobało się Kremlowi, który w ostatnim czasie znów zagrywa antypolską kartą.

Jan Maria Jackowski twierdzi, że „na sprawę Kantora trzeba także patrzeć w kontekście pewnej reorientacji polityki izraelskiej, która polega na tym, że w tej chwili następuje duże zbliżenie z Rosją. Politycy izraelscy obawiają się, że w perspektywie najbliższych lat nie będzie już możliwe tak bardzo aktywne zaangażowanie Stanów Zjednoczonych na Bliskim Wschodzie. Następuje więc wyraźne zwiększenie współpracy między Izraelem a Rosją i Mosze Kantor w to się właśnie wpisuje jako ważny uczestnik tej współpracy".

Zdanie senatora Jackowskiego podziela prof. Jacek Bartyzel, dla którego zbliżenie między Rosją i Izraelem nie stanowi większej niespodzianki. Mówi „Do Rzeczy": „Mamy tutaj niewątpliwie zbieżność interesów. Z różnych powodów jedna i druga strona, czyli zarówno Żydzi, jak i Rosja, są zainteresowane tym, żeby obciążać Polskę odpowiedzialnością za wydarzenia z okresu drugiej wojny światowej. Dla Rosjan jest to kwestia odpowiedzialności za wywołanie wojny, a dla Żydów za współsprawstwo Holocaustu. Interesy ekonomiczne splatają się tu z interesami politycznymi. Mamy z jednej strony roszczenia w sprawie tzw. mienia bezspadkowego wobec państwa polskiego, z drugiej strony interesy gospodarcze Rosji w Polsce. Rola tych interesów jest bardzo wyraźna, dlatego sojusz Rosji i Izraela nie jest jakimś zaskoczeniem".

Wiaczesław Kantor to osoba mająca spore wpływy nie tylko na Kremlu, lecz także w środowiskach finansowych Londynu, Izraela, a dzięki sprawowanym funkcjom potrafiąca dodatkowo skutecznie wpływać także na Brukselę i poszczególne europejskie rządy, a nawet Watykan. Uwagę zwraca jednak przede wszystkim to, że pomimo prowadzenia rozległej działalności biznesowej właściciel Acronu znajduje ogromną ilość czasu na działalność publiczną. O żydowskim oligarsze z Rosji usłyszymy zapewne jeszcze wiele razy.

Mosze Kantor od lat zna się z byłym prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim. Na zdjęciu podczas III Międzynarodowego Forum Holokaustu w Krakowie w 2010 r. FOT. M. LASYK/REPORTER

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

Piotr Semka

PiS wychodzi z marazmu i zaczyna odzyskiwać inicjatywę. Kampania prezydencka będzie odbywać się w cieniu sporów o sądy w kraju i w Brukseli. Partia Jarosława Kaczyńskiego przyjmuje to z pełną świadomością

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Kampania na twardo

Podjęcie batalii o ustawę dyscyplinującą sędziów wyrwało Prawo i Sprawiedliwość z jesiennego spleenu. Zakończył się okres pewnej dezorientacji rządzącej partii. Złożyły się na nią niemiły szok po zdobyciu przez opozycję większości w Senacie i zamieszanie wywołane konkurencją w Sejmie ze strony Konfederacji i Lewicy.

Jak to z PiS bywa, ugrupowanie to w roli partii „ciepłej wody w kranie" wypada źle i nudno. Na szczęście dla obozu Jarosława Kaczyńskiego ataki Putina na nowo pozwoliły ekipie „dobrej zmiany" pokazać się jako strażnik polskiej racji stanu.

PREZENT Z KREMLA

Obawy o izolację Polski się nie spełniły. Światowe dzienniki piszą o nieobecności prezydenta Andrzeja Dudy w Jerozolimie w kategorii wydarzenia równie ważnego jak jego ewentualna obecność na uroczystościach w instytucie Yad Vashem.

Kancelaria Prezydenta RP jawiła się w ostatnich dniach jako dobrze przygotowana do historycznej potyczki z Władimirem Putinem. Zespół z prof. Andrzejem Nowakiem i tak doświadczonymi ambasadorami jak m.in. Jakub Kumoch czy Arkady Rzegocki wykonał dobrą robotę. Prezydent udzielił ważnych wywiadów dla „Financial Timesa" i izraelskiej telewizji. Premier Mateusz Morawiecki napisał tekst dla „Politico". Absencja polskiej głowy państwa wywołała w poważnych żydowskich mediach dyskusje na temat zagrożeń związanych z posłusznym konsultowaniem izraelskiej polityki pamięci z Putinem. Nieobecność Ronalda Laudera, szefa Światowego Kongresu Żydów w Jerozolimie, i deklaracje woli jego przybycia do obozu Auschwitz mają tu swoje znaczenie.

W chwili, gdy piszę te słowa, dyplomatyczna rywalizacja polskich obchodów z obchodami w Yad Vashem nie wypada najgorzej. Dziennikarze szacują, że Jerozolimę odwiedzą głowy państw i rządów z 34 krajów, podczas gdy w obozie Auschwitz oczekiwani są liderzy 29 państw. Oczywiście lider liderowi nierówny. Stronę polską ubodła niska ranga szefa delegacji USA w Auschwitz – ma to być sekretarz skarbu Steven Mnuchin, podczas gdy Jerozolimę odwiedził wiceprezydent Mike Pence, ale jeszcze trzy miesiące temu obawy o marginalizację polskich obchodów były znacznie silniejsze. Wszystko to na tle dość powierzchownych zachęt opozycji do odwiedzenia Jerozolimy lub zachęt, by nie reagować na zaczepki Putina. Wybrano drogę środka – niehisteryczną polemikę z Putinem i pozbawioną ostentacji rezygnację z wizyty w Yad Vashem.

Większość Polaków, jak pokazały badania, uznała decyzję o uchyleniu się od wizyty w Izraelu za gest zgodny z naszą racją stanu.

Wcześniej, na początku stycznia, prezydent i rząd dobrze przeszli próbę nerwów związanych z amerykańskim atakiem na irańskiego generała Kasema Sulejmaniego.

eprasa.pl 2509c326de

Spokojne oświadczenia Pałacu Prezydenckiego i MSZ z jednej strony podkreślały pilne monitorowanie sytuacji, z drugiej nie stały w sprzeczności z szacunkiem dla USA jako naszego sojusznika w NATO.

Dla PiS ważne jest to, że przy trzech kolejnych kryzysach – ataku historycznym Putina, kryzysie irańskim i odwołanym wyjeździe do Jerozolimy – Pałac Prezydencki był czynnikiem tonowania nastrojów, a jednocześnie tworzenia wrażenia godnego i kompetentnego kontrolowania sytuacji. Na trzy i pół miesiąca przed wyborami prezydenckimi to cenne nabijanie sobie punktów.

ZWIETRZAŁE ŚWIEŻYNKI

Wrażenie wyjścia przez PiS z dołka to także efekt błędów politycznych rywali.

Platforma, stawiając na Tomasza Grodzkiego jako marszałka Senatu i umowną twarz opozycji w parlamencie, wybrała kandydata dość kabotyńskiego. Patetyczne orędzia w TVP, skłonność do przesady, tak jak w przypadku nadmuchiwania banalnego zderzenia kamerzysty TVP z urzędniczką, ośmieszyły „trzecią osobę w państwie". A oskarżenia mediów o korupcję Grodzki chce zwalczać pozwami wobec dziennikarzy. Taktyka PO i wspierających je mediów pod hasłem: „Murem za Grodzkim" postawiła też w innym świetle kłopoty PiS z szefem NIK Marianem Banasiem.

Na dodatek PiS odnotował ostatnio pierwsze głosowanie swego projektu ze wsparciem większości senatorów PSL. Chodziło co prawda o stosunkowo apolityczny temat specustawy dotyczący zwalczania ASF, ale precedens zaistniał.

Za ustawą opowiedzieli się wszyscy głosujący senatorowie PiS – 47 osób. Dodatkowo projekt poparło dwóch senatorów PSL (klub Koalicja Polska) – Ryszard Bober i Jan Filip Libicki – oraz senator niezależna – Lidia Staroń. Niedługo potem senator Staroń wsparła ustawy dyscyplinujące sędziów. To na razie niewiele, ale koryguje to wrażenie z jesieni braku pola manewru w izbie wyższej.

Walor świeżości pobladł też nieco w przypadku Lewicy, a szczególnie tej jej części z partii Razem. Adrian Zandberg traci image idealisty, musząc iść na coraz częstsze kompromisy z dawnym SLD. Raz oznacza to milczące akceptowanie wypowiedzi Włodzimierza Czarzastego o zasługach Armii Czerwonej dla wyzwalania Polski, innym razem wspieranie w kampanii prezydenckiej źle kojarzącego się zandbergowcom Biedronia. Niedawny tweet działacza partii Razem Roberta Maślaka, tłumaczący krętactwa Biedronia w sprawie euromandatu słowami: „Generalnie politycy zmieniają zdanie i o dziwo, mają do tego prawo", pokazuje ewolucję standardów na lewicy.

A Sylwia Spurek publikująca zdjęcia uciemiężonych krów w pasiakach z żydowską gwiazdą i wywołująca burzę w mediach izraelskich pokazuje, jak łatwo lewica strzela sobie w stopę.

W wypadku Konfederacji oblanym testem na dojrzałość w polityce było ich zachowanie po ataku USA na gen. Sulejmaniego. Reakcje liderów „Konfy" były emocjonalne i panikarskie. „Polska powinna natychmiast wycofać swoje wsparcie dla USA w regionie". – Należy w trybie natychmiastowym wycofać naszych żołnierzy z Iraku – żądał poseł i jeden z liderów tego ugrupowania Robert Winnicki. „Skoro USA nie widzą potrzeby konsultowania z nami tak ważnych decyzji jak atak na generała mogący wywołać wojnę, to znaczy, że nie powinniśmy dalej żyrować takich działań. Polityka USA wydaje się nieodpowiedzialna i obłędna" – mówił w rozmowie z portalem Dziennik.pl poseł Konfederacji Dobromir Sośnierz.

Takie komunikaty nie bardzo pasowały do kreowanej przez konfederatów wizji ich koalicji jako zimnych realistów. Za to gdy polski Sejm przegłosowywał rezolucję potępiającą ataki Putina, Janusz Korwin-Mikke demonstracyjnie zignorował głosowanie.

W CIENIU SPORÓW

I wreszcie najbardziej wyrazisty element polityki obozu PiS na przełomie roku – bardzo zdecydowane wprowadzanie ustawy dyscyplinującej sędziów. Tych, którzy przepowiadali wyborcze złagodzenie przekazu prezydenta, musiał niedawno spotkać szok. W Zwoleniu Andrzej Duda niezwykle ostro skrytykował tych sędziów, którzy kontestują zmiany.

Zdecydowane wystąpienie głowy państwa zaskoczyło opozycję, która zareagowała aluzjami do mów Mussoliniego i już zgranymi oskarżeniami PiS o plany polexitu. A jednak sondaże nie wykazują jakiegoś spadku notowań Andrzeja Dudy. Prezydent uznał, że temat reformy sądów jest dla niego naturalnym polem i tylko mówiąc, co myśli, będzie autentyczny i skuteczny w kampanii. Oznacza to, że PiS będzie w tej sprawie twardy przynajmniej do wyborów w maju br.

Partia rządząca uznała, że sprawa sądów pozwoli zmobilizować jej elektorat, a nie zaszkodzi specjalnie w szerszym odbiorze społecznym. Polaryzacja w tej sprawie jest korzystna dla PiS i PO. Irytuje Wiosnę i Konfederację, dla których to temat „nie swój". Ponoć Nowogrodzka kieruje się wynikami badań pokazującymi, że rokosz niewielkiej grupy sędziów ma niezwykle wąskie poparcie społeczne.

W tym kontekście wysuwane przez Jarosława Gowina wezwania do Okrągłego Stołu w sprawie sytuacji w sądownictwie jawią się jako sygnał podziałów w obozie Zjednoczonej Prawicy. I pewnej naiwności, bo do wyborów opozycja nie będzie chciała osłabić napięcia w tym sporze. Pytanie, jak daleko posunie się Bruksela. Sankcje polegające na zablokowaniu funduszy unijnych mogą zaniepokoić wyborców. Oznacza to, że kampania prezydencka będzie odbywać się w cieniu sporów o sądy w kraju i w Brukseli, i że PiS przyjmuje to z pełną świadomością.

W zeszłym tygodniu PiS ogłosił w końcu, że na czele sztabu politycznego w kampanii prezydenckiej staną Beata Szydło i Joachim Brudziński. To dość rozsądny podział wpływów między byłą panią premier, która ma bliskie i dobre relacje z prezydentem, a politykiem zaliczanym do grona najbardziej zaufanych ludzi Jarosława Kaczyńskiego. Jest to też sygnał, że kampania będzie przebiegać w pełnej harmonii między Pałacem Prezydenckim a Nowogrodzką.

Mimo korzystnych dla obecnej głowy państwa sondaży nie sposób ocenić, jakie będą kampania i nowe osie podziałów. Dużą niewiadomą jest kampania Szymona Hołowni i PiS powinien na razie raczej przeceniać ambitnego celebrytę, niż go nie doceniać. Tak samo nie wiadomo, jaka będzie kampania Krzysztofa Bosaka – nastawiona na polemikę z PiS czy raczej na boje z lewicą. I ostatnie pytanie: Czy uda się lewicy na nowo wymyślić Roberta Biedronia, czy też były prezydent Słupska wybierze ulubioną tonację antyklerykała i miłośnika frywolnych żartów?

PiS marzy o rozstrzygnięciu już w pierwszej turze. Brzmi kusząco – tyle że ma jedną słabość. Jeśli to się nie uda – to wymyślanie narracji na II turę może być trudne. Jeśli PiS powiedzie się reelekcja obecnego prezydenta – to uzyska bezcenne trzy lata bez żadnych wyborów. Jeśli wygra opozycja – to Borys Budka już zapowiada kampanię na rzecz przedterminowych wyborów. Jest więc o co grać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

Nowe szaty Biedronia

Kamila Baranowska

Robert Biedroń po raz kolejny próbuje przekonać wyborców, że jest nową jakością w polskiej polityce. Tym razem nie chce być już wojującym antyklerykałem, lecz „zwykłym chłopakiem z Krosna"

Słupsk – to tam lider Wiosny oficjalnie i publicznie potwierdził, że będzie kandydował na urząd prezydenta Polski. Zrobił to na dużej konwencji, którą można potraktować jako nieformalny start kampanii. Nieformalny, bo formalnie kampania prezydencka ruszy dopiero w momencie ogłoszenia daty wyborów przez marszałka Sejmu. Słupsk miał dla Biedronia stać się symbolem zwycięstwa, to tu sześć lat temu wygrał wybory samorządowe na prezydenta miasta. I tutaj zrodziły się jego ambicje prezydenckie. Skoro bowiem udało mu się przekonać do siebie wyborców Słupska, to dlaczego miałoby nie udać się przekonać także wyborców z innych polskich regionów? – Przyjechał do miasta, ale odkrywał je swoimi oczami, był ambasadorem naszych spraw – mówiła, otwierając konwencję, Krystyna Danilecka-Wojewódzka, obecna prezydent Słupska, która startowała w wyborach z poparciem Biedronia.

Sęk w tym, że Biedroń z roku 2014 i Biedroń z roku 2020 to całkiem inny kandydat. Nie tyle bogatszy w doświadczenie i sprawdzony w politycznym boju, ile z mocno nadwątloną wiarygodnością i już bez efektu świeżości. Dlatego kiedy ze sceny mówił, że „prezydent powinien mieć swój rozum i kręgosłup", czyniąc aluzję do prezydenta Andrzeja Dudy, trudno się było nie uśmiechnąć. O kręgosłupie mówi bowiem polityk, który – zanim został europosłem – obiecywał zrzeczenie się mandatu, by poprowadzić swoją nową partię w wyborach krajowych, a który po wyborach zmienił zdanie, bo jednak brukselska pensja okazała się zbyt atrakcyjna, by z niej rezygnować.

GWARANCJA WIARYGODNOŚCI

Z dotrzymywaniem obietnic problemy miał zresztą dużo wcześniej. Jeszcze będąc prezydentem Słupska, zapewniał, że będzie ubiegał się o reelekcję, bo „umówił się z mieszkańcami na dwie kadencje", po czym zrezygnował ze startu, angażując się w budowę własnej partii politycznej. W wyborach samorządowych jednak wystartował, tyle że ubiegając się o funkcję radnego. Został nim, zyskując największą liczbę głosów w Słupsku. – Przyjmę mandat radnego, dlaczego miałbym

eprasa.pl 2509c326de

tego nie zrobić i dlaczego miałoby to być w sprzeczności z działalnością ogólnopolską? Radny przecież może normalnie pracować i zajmować się innymi obowiązkami – mówił tuż po wyborach. Wystąpił nawet na pierwszej sesji Rady Miasta, by po tygodniu zrzec się mandatu. „Gazeta Wyborcza" donosiła wtedy, że „w Słupsku wrze od komentarzy, a mieszkańcy czują się oszukani".

– Gwarancją wiarygodności Roberta Biedronia w tych wyborach jest fakt, że stoi za nim SLD z wieloletnią historią sprawowania władzy, pieniędzmi i strukturami, a także partia Razem, która dodaje mu prekariackiego rysu, czego dotąd mu brakowało – uważa jednak dr Bartosz Rydliński, politolog z lewicowego Centrum Daszyńskiego.

Przekaz Roberta Biedronia w kampanii prezydenckiej ma się zasadniczo różnić od tego, co prezentował w kampanii europejskiej, gdy wprowadzał na scenę polityczną swoją partię Wiosna. Wtedy postawił na bliższy mu przekaz ideologiczno-antyklerykalny, skierowany przede wszystkim do postępowych mieszkańców dużych miast. W tych wyborach Biedroń ma pójść dalej.

– W kampanii prezydenckiej inaczej niż w wyborach europejskich Robert Biedroń powinien skupić się na walce o średnie miasta, bo tam jest spory potencjał pozyskania wyborców dla lewicy. Wcześniej jako lider Wiosny skupiał się na wyborcach wielkomiejskich, zorientowanych bardziej na sprawy ideologiczne niż społeczne. Po konwencji w Słupsku widać, że teraz te akcenty rozłożą się inaczej – mówi „Do Rzeczy" dr Rydliński. – Z badań wynika, że Robert Biedroń ma największy spośród wszystkich kandydatów potencjał przyciągania nowych wyborców. Zadaniem sztabu będzie, by umiejętnie to wykorzystać, precyzyjnie określić te miejsca w Polsce, gdzie pozyskanie wyborców dla lewicy jest najbardziej prawdopodobne, i tam zawalczyć najmocniej – dodaje.

Do konieczności zmiany akcentów i walki także o elektorat prowincji, a nie wyłącznie wielkomiejski miał przez ostatnie miesiące przekonywać Roberta Biedronia Włodzimierz Czarzasty. SLD zrobił badania i na tej podstawie (oraz analiz wyników poprzednich wyborów) stworzono dość szczegółową mapę miejsc, na których ma w kampanii koncentrować się kandydat Lewicy. Oczywiście nie sam. Kluczowe będzie tu wsparcie lidera SLD i Adriana Zandberga, którzy mają uwiarygadniać nową prospołeczną twarz Biedronia. Niewykluczone, że w odpowiednim momencie do gry może wkroczyć także Aleksander Kwaśniewski ze swoim poparciem dla kandydata Lewicy.

WIZERUNEK KANDYDATA

To wszystko ma posłużyć nie tylko do odbudowania wiarygodności Biedronia, lecz także do nadania mu formatu prezydenckiego. Pod względem wizerunkowym w rozmaitych badaniach o wiele lepiej wypadał bowiem Adrian Zandberg, który bardziej wyborcom (nie tylko Lewicy) pasował do wyobrażenia kandydata na prezydenta. Jakiś czas temu pisaliśmy w „Do Rzeczy" o badaniu, z którego wynikało, że ankietowani, którzy mieli dopasować konkretnych polityków do ras psów, Biedronia skojarzyli z wesołym, głośnym i niegroźnym ratlerkiem bądź pieskiem rasy chihuahua, podczas gdy Zandberg kojarzył się z przyjaznym i budzącym respekt bernardynem.

Swoją nową prospołeczną twarz kandydat Lewicy zaprezentował już podczas inauguracyjnej konwencji w Słupsku

Na lewicy wierzą jednak, że ten wizerunek da się poprawić odpowiednim sformatowaniem Biedronia na nowo. Swoją nową prospołeczną twarz kandydat Lewicy zaprezentował już podczas inauguracyjnej konwencji w Słupsku i od tamtej pory konsekwentnie idzie w tę stronę. To twarz zatroskanego o los zwykłych ludzi „zwykłego chłopaka z Krosna", geja, pochodzącego z rodziny z problemami, który dzięki determinacji i ciężkiej pracy znalazł się tu, gdzie jest. – Dlaczego chcę zostać prezydentem Polski? Jak wiecie, nie posiadam prezydenckich genów. Niestety albo stety, nie pochodzę z politycznej rodziny. Nie pochodzę z rodziny z wielkimi tradycjami. Ale wierzę, że nie to jest warunkiem bycia prezydentem Rzeczypospolitej. Wierzę, że prezydentura może być dostępna dla takich ludzi jak ja. Dla zwykłego chłopaka z Krosna – mówił. Zarysował też swój program wyborczy, w którym obiecywał minimalną emeryturę na poziomie 1,6 tys. zł, finansowanie służby zdrowia na poziomie 7,2 proc. PKB, reformę polityki lekowej z ustawową regulacją, by leki na receptę nie kosztowały więcej niż 5 zł, zwiększenie dostępności tanich mieszkań dla młodych i większą dbałość o kwestie klimatyczne. O tym, skąd weźmie na to wszystko pieniądze, nie wspomniał, a zapewne nie raz będzie o to w toku kampanii pytany.

Po konwencji kandydat ruszył w Polskę. Zaczął od Lęborka i Sopotu, gdzie powtórzył tekst o „zwykłym chłopaku". – Jestem prostym chłopakiem z Krosna i w tej kampanii zamierzam spotykać się z prostymi ludźmi ze średnich miast, bo ci ludzie potrzebują spotkań z politykami, którzy wiedzą, co to wykluczenie, co to znaczy mieszkać w takim mieście, a nie tego, by mówił do nich polityk z dworku – podkreślał na spotkaniu z sympatykami w Sopocie.

GRA O DRUGĄ TURĘ

Na razie jednak Biedroń w sondażach nie daje Lewicy zbyt wielkiej nadziei na walkę w drugiej turze. W badaniu Kantar z początku stycznia z wynikiem 7 proc. wylądował na trzecim miejscu za prezydentem Andrzejem Dudą i kandydatką Koalicji Obywatelskiej Małgorzatą Kidawą-Błońską. On sam podkreśla jednak, że obecne sondaże są bez znaczenia. – Jak startowałem na prezydenta Słupska, też wielu komentatorów nie dawało mi żadnych szans. W pierwszym sondażu miałem raptem 4 proc., a potem te wybory wygrałem. Gdy Aleksander Kwaśniewski kandydował przeciwko nobliście, wielkiemu Lechowi Wałęsie, też nie przewidywano jego sukcesu, w pierwszym sondażu miał tylko 8 proc. – ripostował na jednym ze spotkań. Jego doradcy wskazują przy tej okazji, że bardzo ważne będą przebieg i dynamika kampanii. Przypominają, że w 2015 r. Pawłowi Kukizowi poparcie znacząco skoczyło w ostatnim tygodniu kampanii, powołują się też na przykład Grzegorza Napieralskiego, któremu w wyborach prezydenckich w 2010 r. na ostatniej prostej poparcie wzrosło z 7 proc. do 14 proc.

Po lewej stronie żywe są więc nadzieje, że przy tak dużej liczbie kandydatów opozycji i słabościach, które już dziś widać u kandydatki Koalicji Obywatelskiej, to, kto ostatecznie znajdzie się w drugiej turze, pozostaje kwestią otwartą. I o to dziś toczy się gra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

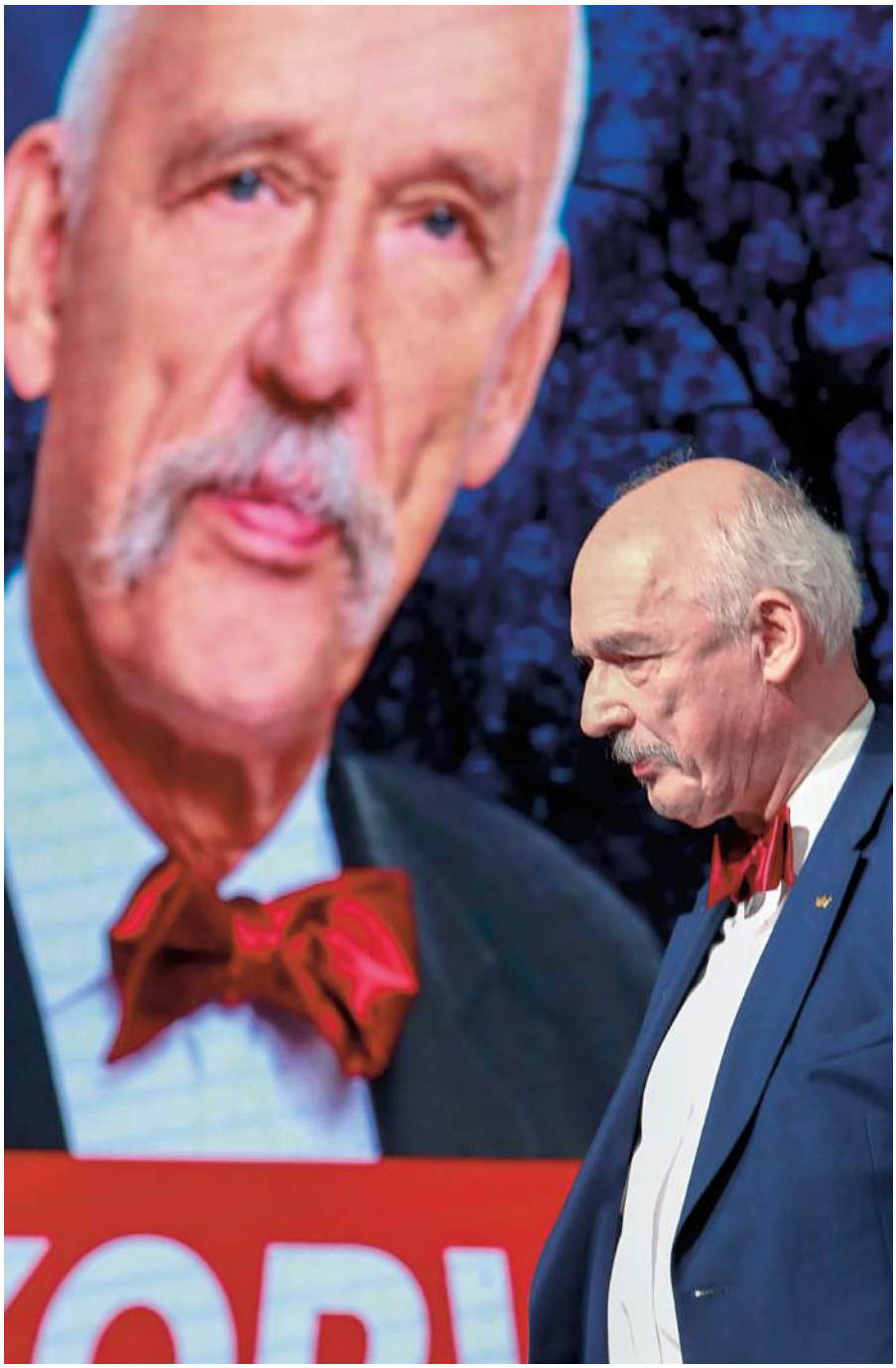

FOT. GRZEGORZ BANASZAK/ZUMA PRESS/FORUM

Ostatni bój Korwin-Mikkego

Rafał A. Ziemkiewicz

Konfederacja i tak nie miała dobrego kandydata na prezydenta. Mogła za to zbudować wizerunek partii, ale i to się – przez awanturę – nie udało

Konfederacja wszystkim innym partiom opozycyjnym, które udają, że bronią demokracji, dała lekcje demokracji, lekcje transparentności, lekcje dobrej organizacji i lekcje kontaktu z obywatelami" – chwalił jeszcze niedawno prawybory Konfederacji Sławomir Sierakowski, podając partię „na prawo od PiS" za wzór dla opozycji lewicowo-liberalnej. Niestety, w ostatniej chwili wiele z tego dobrego wrażenia zostało zaprzepaszczone – wynik prawyborów został publicznie oprotestowany przez przegranych, którzy nie potrafili się powstrzymać od publicznego wywlekania sobie pretensji i pełnych emocji kłótni, głównie w mediach społecznościowych.

Czyżby Korwin-Mikke miał więc rację, że z „d…kracji", jak zwykł to słowo pisać, nic dobrego przyjść nie może? Jeśli przyjrzeć się uważniej, to winna blamażu okazuje się bynajmniej nie wewnątrzpartyjna demokracja, ale kuglowanie przy niej, obudowanie głosowania dziwacznymi procedurami i próba wykorzystania ich do uzyskania wyniku innego niż wprost wyrażona wola głosujących.

KOMU POMOGŁY PROCEDURY?

Pomysł, by wciąż jeszcze dość świeża koalicja narodowców, wolnościowców i turbokatolików wyłoniła wspólnego kandydata w prawyborach, postrzegany był przez obserwatorów jako przede wszystkim zagranie marketingowe. Szesnaście kolejnych zjazdów wojewódzkich miało być, i było, pokazem siły oraz spójności nowego ugrupowania. Głosowało łącznie prawie 7 tys. sympatyków partii, 10 razy więcej, niż było delegatów PO wybierających Małgorzatę Kidawę-Błońską – mimo że za prawo uczestnictwa w zjeździe i głosowaniu trzeba było zapłacić. I mimo że jako wydarzenie nijak się mające do plemiennej walki PiS z anty-PiS prawybory nie cieszyły się wielkim zainteresowaniem mediów, to dzięki cykliczności kolejnych zjazdów przebiły się do nich.

eprasa.pl 2509c326de

Wydaje się jednak, że poza popularyzacją partii i budową jej pozytywnego wizerunku sięgnięcie po tę procedurę miało inną przyczynę. Z trzech nurtów współtworzących ugrupowanie potrzebował jej tak naprawdę tylko jeden – ten stosunkowo najmocniejszy. Narodowcy od początku mieli tylko jednego kandydata, Krzysztofa Bosaka (prawdę mówiąc, głównie dlatego, że jako jedyny z ich liderów ma on skończone wymagane ordynacją 35 lat, choć dla wielu wyborców ta informacja jest zaskoczeniem), podobnie jak od początku wiadomo było, że kandydatem turbokatolickim będzie Grzegorz Braun.

Wolnościowcy mieli natomiast problem: jak odsunąć od kandydowania Korwin-Mikkego, a zarazem ustrzec się przed wywołaniem przez niego rozłamu i rozbiciem skromnego elektoratu, który z trudem udało się zbudować w wyborach parlamentarnych. Problem nie polegał tylko na tym, że Korwin-Mikke wielokrotnie już w chwili, gdy tracił poparcie swojej partii, zakładał nową i że startowanie w każdych kolejnych wyborach wydaje się uważać za swą osobistą prerogatywę. Najgorsze, że młode pokolenie korwinistów, które już zdaje sobie sprawę, że z Korwin-Mikkem środowisko wolnościowe nie urośnie, ale na otwarte ojcobójstwo jest jeszcze za słabe, nie ma konkretnego, alternatywnego przywódcy, który mógłby rzucić mu wyzwanie. Prawybory pokazały, że kandydatów, widzących się w tej roli, jest co najmniej dwóch – Artur Dziambor i Konrad Berkowicz.

„Lekcja demokracji", która wzbudziła takie uznanie lewicowego publicysty, była więc potrzebna przede wszystkim środowisku marzących o politycznej emancypacji młodych wolnościowców – po pierwsze, żeby w aksamitny sposób zmarginalizować Korwin-Mikkego, po drugie, by rozstrzygnąć, kto ma się ubiegać o schedę po nim. Trudno jednak było się spodziewać, że sam Korwin-Mikke, ze swoim politycznym doświadczeniem, będzie się temu biernie przyglądał. Jakkolwiek ostatnie półrocze przyniosło liczne sygnały, że wieloletni frontman kolejnych wolnościowych formacji spuszcza z ambicji i godzi się przyjąć pozycję jednego z wielu w miarę równorzędnych liderów formacji, na zupełną emeryturę jeszcze się nie wybiera. A w każdym razie nie widzi powodu, by pomóc w kreowaniu nowego lidera, który miałby go od „rządu dusz" nad zwolennikami wolnościowej idei odsunąć.

Skomplikowana struktura prawyborczego procesu każe podejrzewać, że to Korwin-Mikke właśnie był jego pomysłodawcą – ze swą niechęcią do „d…kracji" zawsze lubował się w projektowaniu skomplikowanych procedur, rozmywających i blokujących decyzję podjęte w głosowaniu, czego przykładem statut dawnej UPR. Podczas kolejnych zjazdów wojewódzkich delegaci wybierali nie samego kandydata na kandydata, ale wskazanych przez niego elektorów – wzorem wyborów prezydenckich w USA, gdzie ta dwustopniowość jest krytykowaną dziś historyczną zaszłością, skutkiem rozległości kraju. Właściwego wyboru dokonać miał dopiero zjazd owych elektorów, przy czym clou sprawy stanowiła procedura ich głosowania. W każdej kolejnej turze odpadał ten z kandydatów, który uzyskał najmniej głosów. Teoretycznie jego elektorzy powinni w kolejnej turze popierać tego z pozostałych, do którego poparcia wezwał ich rezygnujący, ale nie zostało to nigdzie zapisane – mogli również przenosić głosy wedle własnego uznania. I tak się stało.

NA BOSAKA, NA ZŁOŚĆ

Ponieważ narodowcy i tradycjonaliści katoliccy mieli po jednym kandydacie, a wolnościowcy kilku, zjazdy wojewódzkie wygrywali Bosak i Braun, ale kandydaci wolnościowców, sumując ich wyniki, zachowywali bezpieczną przewagę. Dało to wolnościowcom pewność, że w ostatecznym głosowaniu zwycięzcą zostanie któryś z nich – najpewniej mający najwięcej wolnościowych elektorów Dziambor. Szok przyszedł w przedostatniej, piątej turze głosowania, gdy okazało się, że elektorzy Berkowicza i Korwin-Mikkego nie przenieśli swych głosów na partyjnego kolegę, ale na Brauna. Tym samym do ostatniej tury wszedł on i Bosak. Postawionych przed faktem dokonanym zwolenników Dziambora wezwał wówczas Korwin-Mikke do głosowania na Brauna jako na kandydata, który ma największe szanse zdobyć dla Konfederacji przyzwoity wynik. Ci jednak – zdaniem przeciwników pod wpływem emocji – zagłosowali odwrotnie. W taki sposób kandydatem liczniejszych, ale pokłóconych wolnościowców został jeden z liderów Ruchu Narodowego.

W maglu, który potem nastąpił, wszyscy mieli pretensje do wszystkich. Jakub Kulesza oskarżył o nakręcenie całej intrygi Korwin-Mikkego, który jego zdaniem wolał, by kandydatem całej Konfederacji był ktoś spoza środowiska, niż żeby wyrósł konkurencyjny wobec niego nowy lider. Wydaje mi się, że był najbliżej prawdy, ale pojawiła się także wersja, w której inspiratorem przerzucenia głosów korwinistów na Brauna miał być Berkowicz, kierujący się osobistą antypatią do Dziambora. Niektórzy twierdzili, że Korwin-Mikke do ostatniej chwili liczył na to, iż przeciągnie na swoją stronę elektorów zarówno Dziambora, jak i Berkowicza, i poparcie Brauna było z jego strony wariantem awaryjnym. Sympatycy poszczególnych kandydatów zaczęli wytykać sobie nawzajem zakulisowe targi i kupczenie swoimi elektorami oraz wzajemnie tym oskarżeniom zaprzeczać…

Słowem, jeśli istotnie uznać, że prawybory w Konfederacji były lekcją demokracji, to lekcja ta pokazała, że demokracja nie jest taka prosta. Zwłaszcza gdy się przy niej „kugluje".

W tych sporach jakby umknęło konfederatom najważniejsze pytanie: Czy kandydat, którego wybrali, daje im szansę na sukces, czyli na wynik lepszy niż 1,2 mln głosów zebrane w wyborach parlamentarnych. Krzysztof Bosak dał się poznać jako polityk o dużej merytorycznej wiedzy i zdolności przekonywania, świetnie wypada w telewizyjnych dyskusjach z przeciwnikami – ale nie to są akurat przymioty, którymi kieruje się wyborca w wyborach prezydenckich. Jego wizerunkowymi problemami są: młodość, brak rodziny i doświadczenia zawodowego. Pod tym względem lepiej wypadał Dziambor, ale ten poza środowiskiem konfederatów jest praktyczne zupełnie nieznany. Z kolei Braun, choć w ostatnich miesiącach bardzo skorygował swój dotychczasowy wizerunek, wciąż postrzegany jest jako radykał.

Prawdę mówiąc, naprawdę dobrego kandydata Konfederacja po prostu nie miała i jedyne, co mogła w tych wyborach osiągnąć, było zbudowanie wizerunku partii. Prawie by się udało, gdyby nie awantura na zakończenie prawyborów. Dobrym znakiem jest, że została ona szybko wyciszona i że na razie nikt nie wzywa do rozłamu. Świadomość, że utrzymanie sojuszu jest dla przyszłości prawicy na prawo od PiS kluczowe, wydaje się bardzo mocna, i to daje konfederatom nadzieję, że z prawyborami w końcu będzie tak jak w starym powiedzeniu: „Co cię nie zabije, to cię wzmocni".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

Bezkarna nienawiść

FOT. ADOBE STOCK

Wojciech Wybranowski

Internetowi hejterzy powiązani z partiami politycznymi, agresorzy grożący śmiercią nielubianym politykom czy dziennikarzom często pozostają bezkarni. A w zbliżającej się kampanii może ich tylko przybyć

Minęły niespełna cztery miesiące od czasu szumnej zapowiedzi polityków Platformy Obywatelskiej oznajmiających „walkę z mową nienawiści". Pod koniec września ubiegłego roku politycy Platformy podpisali w Gdańsku medialnie nagłaśnianą deklarację: „Stop mowie nienawiści". – Hejt, nienawiść i złe słowa weszły w nasze życie, stały się prawie naszą codziennością i nie może być na to zgody. My stawiamy temu wielki opór i sprzeciw – mówiła wówczas Małgorzata Kidawa-Błońska, kandydatka PO na prezydenta RP.

Polityczne deklaracje przetrwały zaledwie do końca kampanii wyborczej do krajowego parlamentu. Jeszcze w połowie października Kidawa-Błońska zagłosowała za uchwałą potępiającą wszelkie akty nienawiści i pogardy antykatolickiej, by za chwilę na Twitterze – gdy tylko bliscy opozycji komentatorzy zaczęli krytykować jej decyzję – oznajmić, że była to pomyłka. „W tej sprawie zagłosowałam omyłkowo, dlatego złożyłam wniosek do marszałek Sejmu o wprowadzenie zmiany w protokole" – napisała na Twitterze.

Kilka dni temu „Gazeta Wyborcza" ujawniła, że administratorem hejterskiego portalu „Jestem Rowerę" wulgarnie atakującym urzędników stołecznego ratusza jest... radny PO Kamil Giemza, przewodniczący klubu Koalicji Obywatelskiej na Woli. Nie poniósł żadnych politycznych konsekwencji. Politycy Platformy nie zerwali także współpracy z Marcinem Mycielskim z fundacji Otwarty Dialog, aktywistą KOD blisko związanym z Donaldem Tuskiem, administrującym szerzącą nienawiść stroną „Sok z Buraka", ani z Danielem Baronem, drugim administratorem „SZB", byłym kandydatem PO na radnego. – „Sok z Buraka" wcale nie jest profilem hejterskim, ja obserwuję ten profil – przekonywał niedawno poseł PO Sławomir Nitras.

Po tym, jak portal Facebook miał chwilową awarię, udało się ustalić, że administratorem strony hejtującej prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego jest miejscowy radny i rzecznik lokalnych struktur Platformy – Przemysław Pospieszyński. Partia Grzegorza Schetyny nie usunęła go ze swoich szeregów. On sam w rozmowie z „GW" twierdził, że wpisy, które zamieszczał [często wulgarne i agresywne – przyp. red.], nie były hejtem, tylko… krytyką.

Jednak hejt w sieci ma niemal wszystkie odcienie polityczne. Ta sama awaria na Facebooku pozwoliła dziennikarzom ustalić, że znany z nienawistnych komentarzy pod adresem politycznych przeciwników i dziennikarzy krytycznie oceniających partię rządzącą Dariusz Matecki, radny PiS ze Szczecina, nadal administruje tzw. social mediami Ministerstwa Sprawiedliwości. Jego twitterowe wpisy wielokrotnie były krytykowane przez polityków i dziennikarzy z każdej strony sceny politycznej.

– Gdy został radnym, trochę urwał nam się ze smyczy. Kilka razy zwracaliśmy mu uwagę, że język, którego używa, przekracza dopuszczalne normy. Kasował wtedy wpisy – mówi nam jeden z pomorskich działaczy PiS. Matecki podobnie jak Pospieszyński czy Giemza nigdy nie poniósł politycznych konsekwencji.

O ile jednak ostre wpisy partyjnych działaczy i aktywistów można próbować

eprasa.pl 2509c326de

tłumaczyć emocjonalnym, politycznym zaangażowaniem, o tyle jednak zastanawia marazm organów ścigania w sytuacjach, gdy hejterzy uciekają się do gróźb pozbawienia życia i przemocy.

„SKOŃCZYSZ JAK TEN ŚMIEĆ Z GDAŃSKA"

Z takimi pogróżkami zetknęła się m.in. dziennikarka „GW" Żaneta Gotowalska po tym, jak przed rokiem w mediach społecznościowych stwierdziła, że nie widzi nic złego w obaleniu pomnika ks. Henryka Jankowskiego. W efekcie usłyszała wiele wyzwisk: od „lewackiego kurw…szcza" do pogróżek: „Nie widzę nic złego w tym, jakby ktoś dał ci w pysk"; „Ogolić ten pusty łeb łachudrze"; „Obyś zdechła". Dziennikarka złożyła zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa, ale Prokuratura Rejonowa Warszawa-Mokotów w lutym ubiegłego roku uznała, że nie jest w stanie ustalić sprawcy, i szybko umorzyła postępowanie.

Decyzja śledczych może zaskakiwać, bowiem część z hejterów posługiwała się prawdziwymi danymi – na kontach, z których zamieszczali pogróżki, figurowały ich zdjęcia, fotografie bliskich, nazwy miejsc pracy. Gotowalska złożyła odwołanie od decyzji i sąd kazał wznowić postępowanie, wskazując, że w całej sprawie nie wykonano wszystkich czynności. Prokuratura jednak ponownie umorzyła postępowanie, a dziennikarka znów się odwołała.

– W Polsce mamy coraz większy problem z mową nienawiści. Taka sytuacja może spotkać każdego obywatela, który pozostaje bezbronny. Działania prokuratury czy policji powinny być więc w przypadku hejtu czy gróźb karalnych stanowcze, a dążenie do ukarania sprawców konsekwentne – mówi „Do Rzeczy" Żaneta Gotowalska. – Brak reakcji daje przyzwolenie na podobne działania, a autorom nienawistnych wiadomości możliwość pozostawania bezkarnymi – dodaje.

To niejedyny przypadek, gdy osoby grożące śmiercią pozostają bezkarne, a działania organów ścigania budzą wątpliwości. Ofiarą takich pogróżek padła również dziennikarka „Do Rzeczy" Kamila Baranowska. Hejter posługujący się pseudonimem Tomasz Tomaszek wysłał do niej „prywatną wiadomość", w której pisał: „Wyp…ił ci ktoś tak bez orientu w ten pusty łeb. Szmato. Uważaj tania k… wo bo skończysz jak tamten jeb…y śmieć z Gdańska. […] Uważaj jak będziesz przez pasy szła. Uważaj".

Dziennikarka o sprawie poinformowała na Twitterze i złożyła zawiadomienie na policji. Kilka tygodni później otrzymała informację o umorzeniu dochodzenia z „powodu niewykrycia sprawcy". To jednak może zastanawiać, ponieważ hejter grożący Baranowskiej swoje konto prowadził przez wiele miesięcy, zamieszczał wpisy, a te pozostawiają ślady w sieci. „Prokuratura postanowiła uwolnić wymiar sprawiedliwości od tej sprawy" – gorzko skomentował na Twitterze Tomasz Żółciak z „Dziennika Gazety Prawnej".

Podobna sytuacja i błyskawiczne decyzje prokuratury o umorzeniu śledztwa lub dochodzenia stały się niepokojącym standardem. „Zaliczyłam umorzenie. Identyczna sytuacja. Groźby to żart przecież..." – napisała na Twitterze Marzena Paczuska, członek zarządu TVP. Na reakcję policji i prokuratury w sprawie gróźb karalnych nie mogła liczyć także Dominika Ćosić, dziennikarka TVP i współpracowniczka „Do Rzeczy". Jak poinformowała: „Dwa czy trzy lata temu miałam identyczną sytuację".

„Mam podobny przypadek z kilkukrotnym umarzaniem spraw o hejt w Internecie zgłaszanych przez burmistrza [Ostrowi Mazowieckiej, Jerzego Bauera – przyp. red.], któremu wcześniej spalono dwa samochody... taki standard niestety" – poinformował na Twitterze Rafał Zęgota z urzędu miasta Ostrowi Mazowieckiej.

O pogróżkach i nieudolności prokuratury w tej sprawie kilkakrotnie informowała TVP. – Pan prokurator stwierdził, że nie udało się nikogo namierzyć. Mało tego, pan prokurator bardzo słusznie zauważył, że pozostawiono mi sprawę wpisów na portalu internetowym i szkalowania mnie w tych okolicznościach: przy spalonych dwóch samochodach, przy podpalonych drzwiach ratusza. A prokurator dał mi szansę, żebym sam ich znalazł – mówił burmistrz Jerzy Bauer w programie „Alarm" w TVP.

Marazmem organów ścigania w takich sprawach zaskoczony jest komisarz Jacek Wrona, były oficer Centralnego Biura Śledczego. W rozmowie z „Do Rzeczy" mówi, że dzisiaj dla funkcjonariuszy namierzenie internetowych hejterów zazwyczaj nie stanowi problemu, nawet jeśli właściciele portali ulokowanych na zagranicznych serwerach odmawiają współpracy. – Jeśli nie ma bezpośrednich danych w postaci adresów IP, bo spółka odmówiła ich udostępnienia, to dysponujemy możliwościami ustalenia tożsamości sprawcy poprzez różnego rodzaju analizę kryminalną powiązań między kontami, osobami je prowadzącymi. Przy czym w ten sposób łatwiej pozyskać jest dane z Facebooka niż np. Twittera czy innych komunikatorów – mówi nam doświadczony śledczy. Były policjant uważa, że wpływ na pospieszne umorzenia spraw gróźb karalnych wobec dziennikarek może mieć niechęć pracowników organów ścigania do prowadzenia takich postępowań. – Policjanci i prokuratorzy zazwyczaj nie lubią prowadzić spraw dotyczących pogróżek czy mowy nienawiści w sieci. Z jednej strony jest z tym sporo pracy, z drugiej, panuje w tym środowisku przekonanie, że są to sprawy cywilnoprawne, które powinny być prowadzone z oskarżenia prywatnego, w ramach spraw cywilnych – mówi komisarz Wrona.

Podobnego zdania jest jeden z byłych prokuratorów, który podkreśla jednak, że przydałaby się nowelizacja prawa pozwalająca na szybsze prowadzenie takich spraw w sposób, który nie spowoduje oskarżeń o naruszanie „wolności słowa". – To nie są łatwe sprawy, wymagają dużo wysiłku, po identyfikacji powinno się zabezpieczyć materiał dowodowy, to oznacza liczne skargi, pisma, bo komputer np. potrzebny jest podejrzanemu do pracy, trzeba powołać biegłego, który wszystko „zgra", dokona ustaleń. Mozolna praca, a kiedy akt oskarżenia trafia do sądu, ten często umarza, bo niska szkodliwość. I statystyki lecą w dół – mówi nam były prokurator.

JAK DZIAŁAĆ? SZYBKO

Jak skutecznie walczyć z tym najbardziej agresywnym hejtem w necie? Szybko. W ubiegłym tygodniu internauci wykryli, że człowiek, który pod materiałem o nieznanym sprawcy strzelającym w Rzeszowie do trzech księży napisał: „Szkoda, że pudłował!", używa prawdziwego nazwiska i pracuje w Gdańsku w spółce Welcome Airport Services, której udziałowcem jest Przedsiębiorstwo Państwowe Porty Lotnicze. Nagłośnienie tej sprawy na Twitterze spowodowało reakcję osób, które zawodowo współpracowały z hejterem. „Jesteśmy przekonani, że firma Welcome Airport Services – nasz agent handlingowy, z którym świetnie współpracujemy, wyciągnie z tej sytuacji odpowiednie wnioski" – poinformował przedstawiciel Airport Gdańsk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

Wiktoria „Viki" Gabor w listopadzie 2019 r. wygrała Konkurs Piosenki Eurowizji dla Dzieci FOT. ARCHIWUM TVP/FORUM

Mali dorośli

Agnieszka Niewińska

Występy na największych scenach, płyty, wywiady. Nastolatki w show-biznesie działają na prawach dorosłych. Tylko czy to najlepsze dla nich miejsce?

Kiedy rok temu pokazała się w talent show „The Voice Kids", zobaczyliśmy drobną dziewczynkę w zapiętej pod szyję czarnej sukience w kokardki. Sportowe buty, czarna ramoneska, żadnego ostrego makijażu.

Dzisiaj Wiktoria Gabor, a raczej Viki, ma już nieco inny wizerunek. Ciężkie buty, szerokie marynarki, łańcuchy na szyi, widoczny makijaż. Po tym, jak w listopadzie 2019 r. wygrała Konkurs Piosenki Eurowizji dla Dzieci, wypłynęła na szerokie wody. Wystąpiła podczas sylwestra TVP2 w Zakopanem, nagrała piosenkę z Kayah.

Kiedy zasiada w telewizyjnych studiach, mówiąc o własnej płycie i koncertach, można odnieść wrażenie, że od tamtego występu w „The Voice Kids" bardzo wydoroślała. Tyle że ma dopiero 12 lat.

Nie jest jedyną nastoletnią gwiazdą, która ostatnio robi furorę. Powtórzyła drogę, którą przeszła jej nieco starsza koleżanka – Roksana Węgiel. Ta 15-latka z Jasła zwyciężyła pierwszą edycję „The Voice Kids". Publiczność zelektryzowała m.in. brawurowym wykonaniem hitu Edyty Górniak „To nie ja byłam Ewą".

Konkurs Piosenki Eurowizji dla Dzieci wygrała w 2018 r. Na muzycznym rynku radziła sobie w minionym roku znakomicie. Jej debiutancka płyta status złotej zdobyła dwa miesiące po premierze. W październiku 2019 r. nastolatka ruszyła w trasę koncertową. Jest tak pożądaną obecnie gwiazdą, że w sylwestra najpierw wystąpiła na scenie w Gdańsku, po czym wsiadła w samolot do Krakowa, by wystąpić na sylwestrze TVP2 w Zakopanem.

Niedawno media obiegła wieść, że młoda piosenkarka ma tak wiele obowiązków, że by móc na świecie powitać brata, musi zrobić przerwę w karierze. – Roksana czeka na narodziny brata i będzie chciała zostać kilka dni w domu, ale nie robi sobie żadnej przerwy w karierze, jej słowa zostały wyjęte z kontekstu – zapewnia Tomasz Mosiołek, project manager pracujący z Roksaną Węgiel.

BEZ TARYFY ULGOWEJ

Nastoletnie celebrytki, goszcząc w mediach, zazwyczaj słyszą słowa podziwu. Niedawno jednak ich wejście w drapieżny show-biznes skrytykował Tomasz Raczek. Krytyk filmowy – recenzując widzom TVN obraz „Judy", opowiadający o dramatycznym życiu aktorki i piosenkarki Judy Garland, która w wieku 17 lat była już w USA ikoną – przestrzegał rodziców Węgiel i Gabor. – Nie może być dobrze, jeśli

eprasa.pl 2509c326de

dziecko traktuje się jak dorosłego – mówił Raczek, wskazując, że show-biznes jest drapieżny i nie ma w nim taryfy ulgowej dla dzieci. – Mamo, tato Roksany i Viki, idźcie do kina na „Judy". Patrzcie na Renée Zellweger i zastanówcie się, czy zrobiliście wszystko, żeby uchronić swoje córki przed losem Judy – apelował.

Judy Garland to tylko jeden z dziesiątków przykładów młodych gwiazd, dla których kariera i popularność okazały się trudne do udźwignięcia. Jednym z bardziej spektakularnych jest aktor Macaulay Culkin, znany m.in. z filmu „Kevin sam w domu". Już jako dorosły człowiek opowiadał publicznie, że występy w filmach złamały mu życie. – Kiedy miałem 12 lat, przestałem rozumieć, co to znaczy normalne życie. Wiedziałem tylko, że moje takie nie jest – opowiadał.

Jego karierą kierował ojciec – niespełniony aktor. W ciągu sześciu lat Culkin zagrał w 14 filmach. Miał 14 lat, kiedy się zbuntował. Rodzice się rozwiedli, walcząc o pieczę nad majątkiem zgromadzonym przez syna. O dorosłym już Culkinie media zaczęły pisać głównie w kontekście uzależnienia od alkoholu i narkomanii.

Lepiej dzieci trzymać z dala od show-biznesu? – Pytanie jest źle postawione – uważa dr Teresa Sikora, psycholog z Uniwersytetu Śląskiego. – Wyobrażam sobie sytuację, w której przy rozsądnym prowadzeniu opiekuna 12-letnie dziecko realizuje swój talent i zarabia pieniądze. Może też dojść do odwrotnej sytuacji, kiedy dziecko konfrontuje się ze światem dorosłych, różniącym się przecież od świata dzieci, napotyka trudne sytuacje, z którymi samo nie potrafi sobie poradzić, czy staje się dla innych jedynie produktem. Kluczowe jest to, czy w tej przygodzie z show-biznesem nad dzieckiem będą czuwać ci, dla których jest ono wartością pozarynkową. Chociaż zdobycie popularności przez dziecko, jego obecność w mediach i dla nich jest kuszącą perspektywą „zaistnienia". Nie oszukujmy się, nie tylko politycy mają parcie na szkło.

NA SZKOŁĘ NIE MA CZASU

To właśnie rodzice są tymi, którzy najczęściej przyprowadzają dziecko na pierwszy casting, zdjęcia próbne, eliminacje do talent show. Po karierach, które robią Węgiel i Gabor, zainteresowanie takimi przesłuchaniami z pewnością nie zmaleje. Nie wszyscy biorą jednak pod uwagę konsekwencje ewentualnego sukcesu – zainteresowanie mediów, internetowy hejt, nieobecność w szkole. Viki Gabor w jednym z wywiadów przyznała, że do szkoły idzie wtedy, kiedy może. – Teraz, kiedy mam tak dużo na głowie, mam indywidualny tok nauczania – tłumaczyła.

Roksana zaczęła naukę w liceum, ale na lekcje nie chodzi. – Ma obecnie indywidualny tok nauczania. Nie ma potrzeby, żeby codziennie była w szkole. Co miesiąc dostaje partię materiału, który musi opanować i zaliczyć – wyjaśnia Tomasz Mosiołek. Podkreśla, że z tak młodą artystką pracuje się nieco inaczej niż z dorosłymi. – Roksanie we wszystkich wyjazdach towarzyszy opiekun, w tej chwili jest to tata – dodaje.

Profesor Bogusław Śliwerski, pedagog z Uniwersytetu Łódzkiego, zwraca uwagę, że sytuacja, w której dziecko ma indywidualny tok nauczania ze względu na rozwijaną karierę, jest bardzo rzadka. Częściej zdarza się, że młody człowiek realizuje różne pasje poza szkołą, mając więcej nieobecności niż rówieśnicy. – Uczestnictwo w życiu szkolnym jest dla dziecka fundamentalne. Buduje poczucie własnej wartości, pozwala odnaleźć swoją pozycję na tle grupy. Oczywiście sukcesy uzdolnionego dziecka mogą też działać w drugą stronę – wywołać zawiść czy niechęć kolegów. W takim przypadku potrzebna jest współpraca rodziców z nauczycielami. Rolą szkoły jest jednak to, żeby wykorzystać talent dziecka, zainspirować tym, co robi, innych uczniów – mówi pedagog.

Podkreśla jednak, że rodzice o zawyżonych aspiracjach, niespełnionych marzeniach, którzy stale monitorują rozwój swojej pociechy i pchają ją ku karierze, mogą przyczynić się do zaburzenia jej sposobu funkcjonowania w życiu codziennym. – Dziecko może się czuć osamotnione, wykluczone z grupy rówieśniczej, mieć poczucie, że nie spełnia oczekiwań rodziców. Krzywdą wyrządzaną dziecku są jednak nie tylko przesadne aspiracje rodziców, lecz także zmarnowanie talentu. Dziecko nie powinno się w szkole nudzić – zaznacza prof. Śliwerski.

Dzisiejsi 30–40-latkowie, sięgając pamięcią wstecz, przypominają sobie, że też mieli dziecięcych idoli. W latach 80. popularnością na juniorskiej scenie cieszyli się Krzysztof Antkowiak czy Natalia Kukulska, która pierwszą płytę wydała w wieku 10 lat. Tyle że w tamtych czasach dzieci wykonywały piosenki skierowane do rówieśników. Antkowiak śpiewał o zakazanym owocu, czyli tym, na co dzieciom nie pozwalali dorośli. „Puszek Okruszek" i „Co powie tata" to najpopularniejsze przeboje Kukulskiej. Piosenkarka podkreślała jednak po latach, że mimo muzycznej kariery jako nastolatka nie była eksploatowana, miała normalne dzieciństwo wśród rówieśników.

JAK DOROŚLI

Współczesne nastoletnie gwiazdy obowiązują te same reguły co dorosłych. Udzielają wywiadów, pozują na ściankach, są bohaterami plotkarskich portali. Ich piosenki nie mają w sobie nic dziecięcego. Styliści ubierają je i malują jak dorosłych.

Doktor Teresa Sikora: – Nie chodzi o to, że dzisiaj dzieci szybciej dorastają. One są w stanie rozmawiać zarówno o Kubusiu Puchatku, antykoncepcji, jak i problemach małżeńskich, bo wszystkie te tematy mają w zasięgu ręki, w Internecie. W drugiej połowie XX w. obowiązywał model dzieciństwa, w którym dziecko było chronione przed treściami dla dorosłych, dzisiaj dorośli sami podsuwają dzieciom Internet, bo dzięki temu mają chwilę spokoju.

Profesora Śliwerskiego nie dziwi, że współczesne nastolatki nie śpiewają już o Puszku Okruszku, tylko o miłości, zdradzie czy wojnie. – Nie ulega wątpliwości, że współczesne dzieci wchodzą w role dorosłych, i to niezależnie od tego, czy działają na rynku artystycznym, czy zajmują się programowaniem. Nazywamy to zjawisko akceleracją rozwoju, czyli przyspieszeniem dojrzewania – mówi pedagog. Podkreśla jednak, że mali geniusze, choć w swoich dziedzinach dorównują dorosłym, to mają bardzo kruchą strukturę psychiczną. – Muszą być otoczeni opieką ze strony najbliższych. W przeciwnym wypadku porażka i przeżywany stress mogą sprawić, że się załamią. Rodzic odgrywa tu kluczową rolę. Wychowanie dziecka wyjątkowo uzdolnionego to szczególne wyzwanie – dodaje.

Pytanie, czy rodzice, nawet przy ich najlepszych intencjach, są w stanie uchronić dziecko przed wpadnięciem w pułapki, które na ich dzieci zastawia przemysł rozrywkowy. Niekiedy nie radzą sobie z tym nawet dorośli, doświadczeni w branży twórcy. Doktor Teresa Sikora zwraca uwagę, że to, co może niepokoić, to to, że na dziecku w show-biznesie zarabiają nie tylko ono i jego rodzice, lecz także producenci, wytwórnie, menedżerowie. – Mogą wymagać od dziecka, by się dostosowało do trendów na rynku, spełniało kryterium jakości, atrakcyjności, jak towar – mówi psycholog. – Jeśli będzie chciało wyjść poza tę ramę, może je spotkać duży zawód.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej o filmie „Judy" czytaj na str. 37.

eprasa.pl 2509c326de

Piotr Gociek

„Małe kobietki" Grety Gerwig to zwiewna i piękna adaptacja powieści Louisy May Alcott. A zarazem hołd oddany autorce i jej poglądom. Feminizm może być mądry

U progu życia

Skoro autor oparł swoje dzieło na własnych doświadczeniach, to czemu nie połączyć w jedno opowieści z kart książki i motywów z biografii? A skoro już nie mówimy o wiernej ekranizacji, lecz o własnej interpretacji, to i trzecia warstwa się pojawia: zawiera ona to, co najważniejsze dla adaptatora, powody, dla których całe zamieszanie dochodzi do skutku. Takie właśnie podejście zastosowała Greta Gerwig, kręcąc film „Małe kobietki" („Little Women", 2019) oparty na klasycznej powieści Louisy May Alcott. Chwyt nienowy, ale w zręcznych dłoniach efektowny i efektywny, przypomina się choćby piękne połączenie literatury, domysłów i własnych wyobrażeń w „Zakochanym Szekspirze", gdzie w finale nieszczęśliwy kres zakazanej miłości młodego dramaturga i pięknej Violi De Lesseps zamienia się pod piórem barda w początek „Wieczoru Trzech Króli".

Josephine „Jo" March, jedna z bohaterek książki, staje się więc na ekranie jednocześnie autorką „Małych kobietek" i głosicielką poglądów Alcott, które niekoniecznie w książce były zawarte. Jak w ustawionych naprzeciw siebie lustrach fikcja i fakt przeglądają się w sobie, a twórczyni filmu Greta Gerwig stara się wyciągnąć z tego to, co dla niej istotne, tworząc adaptację z jednej strony wierną duchowi literackiemu oryginału, z drugiej mocno współczesną.

Greta Gerwig to jedna z wielkich nadziei Hollywood i zarazem człowiek orkiestra, jest aktorką (świetna rola w filmie „Frances Ha"), pisze scenariusze i sztuki, produkuje, reżyseruje. W tej ostatniej roli debiutowała co prawda w roku 2008 filmem kręconym wraz z Joe Swanbergiem („Noce i weekendy"), ale tak naprawdę uwagę krytyki i widzów zdobyła filmem „Lady Bird" nominowanym dwa lata temu do pięciu Oscarów. Była to zabawna, słodko-gorzka, a przede wszystkim bardzo wiarygodna opowieść psychologiczna o 17-latce dorastającej w katolickiej szkole i skłóconej z własną matką. Film zdobył za to dwa Złote Globy: dla najlepszego musicalu lub komedii oraz dla Saoirse Ronan za najlepszą rolę żeńską w tejże kategorii.

Na planie „Małych kobietek" Gerwig znów spotkała się z utalentowanymi młodymi aktorami, których dwa lata temu oklaskiwaliśmy w „Lady Bird" (oprócz Saoirse Ronan jako Jo March jest i Timothée Chalamet jako Theodore Laurence, zwany „Lauriem"), poszerzając jednak

eprasa.pl 2509c326de

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

aktorski ansambl w imponujący sposób. Pozostałe siostry March są bowiem grane przez Emmę Watson (seria „Harry Potter"), Florence Pugh („Midsommar", „Mała doboszka") i Elizę Scanlen („Ostre przedmioty"), a u boku młodej ekipy pojawiają się i utalentowani weterani, od Meryl Streep i Laury Dernd do Boba Odenkirka („Better Call Saul").

DWANAŚCIE NOMINACJI

Greta Gerwig początkowo miała być jedynie scenarzystką tego filmu, najęto ją do tego zadania w sierpniu 2016 r. Było to wyrazem uznania dla jej wcześniejszych osiągnięć na tym właśnie polu. Wspomniałem wcześniej film „Frances Ha" Noaha Baumbacha, w którym Gerwig stworzyła zapadającą w pamięć kreację; otóż współtworzyła tę produkcję także jako scenarzystka, podobnie jak „Mistress America" tego samego reżysera. Noah Baumbach jest prywatnie partnerem życiowym Grety Gerwig.

Ich współpraca przynosiła w przeszłości znakomite efekty, w tym roku ich dwa filmy zdobyły łącznie 12 oscarowych nominacji (bo do sześciu dla „Małych kobietek" doliczamy drugie tyle dla znakomitej „Historii małżeńskiej" Noaha Baumbacha). Nie wiem, czy kiedykolwiek wcześniej w historii tej nagrody przydarzyło się to jakiejkolwiek parze.

Sama Gerwig wspomina, że długo zdawała się być ostatnią osobą, której można by powierzyć reżyserię nowej wersji „Małych kobietek". No bo właściwie dlaczego? Nie miała doświadczenia reżyserskiego, kojarzona była przede wszystkim z ambitnymi, niskobudżetowymi produkcjami współczesnymi, a tu trzeba się było zmierzyć z trudnym gatunkiem: filmem kostiumowym stanowiącym ekranizację powszechnie uwielbianej klasyki. Szczególnie że poprzednie wersje filmowe zdążyły obrosnąć legendą. Rok 1933 – reżyseria George Cukor, w roli głównej Katherine Hepburn. Rok 1949 – reżyseria Mervyn LeRoy, na ekranie m.in. Elizabeth Taylor i Janet Leigh. Wreszcie wersje współczesne, poczynając od świetnie przyjętego filmu Gillian Armstrong z roku 1994, w którym pojawili się Winona Ryder, Claire Danes, Kirsten Dunst czy Christian Bale, a ze starszych aktorów choćby Susan Sarandon i Gabriel Byrne. Sukces otwiera jednak rozmaite drzwi i po aplauzie, który wzbudziła (zasłużenie) reżyserska robota Gerwig w „Lady Bird", nagle niemożliwe stało się możliwe.

Mamy więc rok 1868, Jo March odwiedza wydawcę pana Dashwooda, któremu pod rozwagę poddaje opowiadanie, którego rzekomo autorką jest „jej przyjaciółka". Jo nie chce publikować pod własnym nazwiskiem, bojąc się reakcji matki. Na życie zarabia jako nauczycielka. Marzy o pisarskiej sławie, ale pieniądze są ważniejsze, bo rodzinie się nie przelewa. To zatem już dwa powody, by bez szemrania podporządkować się redaktorskim wymaganiom Dashwooda. Ten zaś instruuje debiutantkę, że w kraju, który leczy rany po wojnie (chodzi o wojnę secesyjną), czytelnicy chcą rozrywki, a nie nauk moralnych. I że gdyby miała przynieść następne opowiadania, powinny być krótkie i treściwe, zaś gdyby bohaterką któregoś z nich miała być kobieta, to jedynym akceptowanym finałem dla takiej postaci jest zamążpójście.

Opisuję obszerniej tę króciutką scenę, bo jest czymś więcej niż wstępem, kryje się w niej cały film. Tu potrzebne są objaśnienia dla polskiego odbiorcy. „Małe kobietki" oryginalnie zaczynają się od słynnej sceny wigilijnej, kiedy z ust sióstr March padają zdania: „Gwiazdka nie będzie Gwiazdką bez prezentów" (Jo), „To takie

eprasa.pl 2509c326de

okropne być biednym!" (Meg), „Uważam, że to nie w porządku, żeby jedne dziewczynki miały dużo ładnych rzeczy, a inne nie miały nic a nic" (Amy), „Mamy Ojca i Matkę i siebie nawzajem" (ponownie Jo). Wszystko dzieje się podczas wojny secesyjnej (1861), na którą wyruszył ojciec, a opowieść obejmująca rok jest nie tylko cudowną opowieścią o dorastaniu, lecz także wielkim hymnem ku czci zaradności głównych bohaterek, jednoczących się w obliczu złych obrotów losu, cierpiących, odnajdujących w sobie siłę, i jednocześnie pomagających tym, którym wiedzie się jeszcze gorzej.

Greta Gerwig wybiera na swój początek wydarzenia późniejsze, bo pamięta o tym, że dzieje sióstr March to nie tylko historia ich lat dziecięcych. Opowieść Alcott wydana w latach 1868 i 1869 była dwutomowa i obydwa tomy uważa się w USA za kanoniczne. Akcja drugiego rozgrywała się kilka lat później i ukazywała wchodzenie sióstr March w dorosłość, łącznie z uczuciowymi perypetiami Jo i jej marzeniami o karierze pisarskiej. W Polsce pod tytułem „Małe kobietki" (podobnie jak w Wielkiej Brytanii i wielu innych krajach europejskich) wydawano jedynie pierwszy tom powieści, kończący się powrotem ojca do domu w kolejną Wigilię. „Opuśćmy kurtynę na Meg, Jo, Beth i Amy. To, czy znów się ona podniesie, zależeć będzie od przyjęcia, z jakim spotka się akt pierwszy dramatu rodzinnego, pod tytułem »Małe kobietki«", kończyła ten tom Alcott. Tom drugi był u nas także wydany jako „Dobre żony", cykl zamykają dwie kontynuacje: „Mali mężczyźni" i „U progu życia".

Najgłośniejsze dzieło Alcott poprzez zwyczajowe ograniczenie do tomu pierwszego jest upupiane i zamykane w bezpiecznej zagródce „realistycznej powieści dla młodzieży". Gdy spojrzy się na tom drugi i kontynuacje, widać, że autorka wkracza już wtedy na tereny penetrowane przez Jane Austen czy Charlesa Dickensa.

HISTORIA TRACENIA ZŁUDZEŃ

Greta Gerwig wychodzi więc daleko poza domowe zacisze Marchów oraz perypetie ich i ich sąsiadów tudzież niespodziewanych znajomych. Porusza się zręcznie między planami czasowymi. Najpierw pokazuje nam dorosłe już siostry wchodzące w poważne życie, ich kłopoty, ich frustracje i rozmaite strategie życiowe, dopiero potem cofa się do czasów ich dzieciństwa i trudnej próby, samotnego roku bez ojca, biedy, chorób, cierpienia, a także przyjaźni, wiary, nadziei i zwycięstwa. Trochę tak jak Wajda w kinowym „Panu Tadeuszu" – do romantycznego, barwnego świata litewskiego dworu prowadzi przez ciemną bramę, smutna samotność emigrantów „na paryskim bruku".

★★★★★☆

REŻ. GRETA GERWIG
„MAŁE KOBIETKI" („LITTLE WOMEN")
USA 2019

wyst. Saoirse Ronan, Emma Watson, Florence Pugh

Nowe kinowe „Małe kobietki" są więc historią tracenia złudzeń, kursem dorastania na serio, a nie jedynie krzepnięcia młodych bohaterek przez 12 miesięcy. Jo słuchająca wytycznych od wydawcy Dashwooda jest jednocześnie postacią z powieści, samą Louise May Alcott, która takie perypetie przechodziła, a także symbolem kobiety, która na początku historii poddaje się woli mężczyzn w świecie przez nich zdominowanym, a w finale dokonuje własnych wyborów i ponad owe wymagania się wzbija. Oczywiście nie jest to droga łatwa, a w podróży trzeba zawrzeć sporo kompromisów. Prawdziwy wydawca „Małych kobietek" także uważał, że są one zbyt nudne, dziewczęce i w ogóle nieciekawe, dopiero entuzjastyczna opinia małoletniej córki zmieniła jego zdanie. Dopiął jednak swego, zgodnie z jego wcześniejszymi życzeniami Louise May Alcott steruje w swej opowieści ku zamążpójściu głównych bohaterek.

PODWÓJNY HOŁD

Gerta Gerwig w adaptacji wyciąga jednak z całej historii logiczne wnioski. Skoro Alcott takiemu rozwiązaniu była niechętna, a własną biografią dała dowód temu, że także w XIX stuleciu można było wieść żywot odnoszącej sukcesy kobiety niezamężnej, to czemu dokonując syntezy jej życia i dzieła, nie pójść dalej? W ten sposób „Małe kobietki" w najnowszej adaptacji otrzymują zakończenie już nie tyle dwuznaczne, co po prostu podwójne. Alcott-Jo autorka wybiera samotność i niezależność, więc odrzuca oświadczyny. Jo-Alcott bohaterka „Małych kobietek" oświadczyny akceptuje i tak jak w książce rzecz kończy się małżeństwem. Myślę że samej Louise May Alcott bardzo by się takie rozwiązanie podobało.

Najważniejsze jest jednak to, że nie gubiąc uroku oryginału oraz uwspółcześniając przesłanie, Greta Gerwig wszystko to robi w sposób zachwycający. „Małe kobietki" są filmem do którego pasuje słowo „piękny". Wszystko współgra tu pięknie, od strojów przez choreografię i prace kamery do roboty aktorskiej, bo obsada wypada koncertowo. Między młodymi aktorami iskrzy, cudownie wypada Florence Pugh jako Amy March (niedawno błysnęła rolą buntowniczki wrestlerki w brytyjskim „Na ringu z rodziną). No i Saoirse Ronan jako Jo, fenomenalna, której kibicuję od lat, od chwili, kiedy zobaczyłem ją w „Pokucie", „Hannie" i „Jeżeli nadejdzie jutro". Ma już cztery oscarowe nominacje. Może czas na statuetkę? Meryl Streep kradnąca każdą scenę, w której się pojawia. I rytm, kolor, potoczystość opowieści. Idealnie wyważono proporcje między tym, co dramatyczne, a tym, co zabawne. „Małe kobietki" to film niesłychanie świeży, mimo wszystko optymistyczny. Pochwała życia, po prostu. Życia, młodości, marzeń. Na tle pozostałych tegorocznych kandydatów do Oscara, filmów mrocznych, ponurych, ironicznych, pełnych gorzkiego humoru, przypowieści sardonicznych lub bolesnych „Małe kobietki" są zjawiskiem wyjątkowym.

Tak jak podwójne jest zakończenie filmowej adaptacji, tak też i są „Małe kobietki" podwójnym hołdem dla Louisy May Alcott. Ukazują poglądy autorki, pomagają twórcy wyjść z cienia dzieła. Jednocześnie przypominają, jak dobrą była pisarką, jak wybornym znawcą charakterów. Mówię to jako czytelnik, który za młodu zupełnie impregnowany był na uroki tej historii, bo w czasie, gdy siostry i kuzynki mojego pokolenia czytały „Małe kobietki" oraz „Anię z Zielonego Wzgórza", my, chłopaki, woleliśmy powieści o Tomku Wilmowskim albo przynajmniej Winnetou. Powieść Louise May Alcott odkryłem już w dorosłości, w ramach wielkiego dzieła zapoznawania się z przegapioną klasykę. I jej fanem do dziś pozostaję, co jest – jak mniemam – jednym z dowodów na to, że genderowe analizy literatury sensu nie mają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

O Dorotce, która spadła z tęczy

Wiesław Chełminiak

Wyznając winy, wypada mocno bić się w piersi. Najlepiej cudze

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 2509c326de

Akcja filmu rozgrywa się 30 lat po premierze „Czarnoksiężnika z Oz". Samotna, znerwicowana i niepotrafiąca zasnąć gwiazda próbuje się odbić od dna

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Rok 1939, który Polakom kojarzy się z klęską, dla Hollywood był zwycięski. Na ekrany weszły takie klasyki jak „Przeminęło z wiatrem", „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu" i „Dyliżans". Ulubienicą Ameryki stała się sierotka porwana przez cyklon z musicalu „Czarnoksiężnik z Oz". Grała ją 16-letnia Frances Ethel Gumm, lepiej znana jako Judy Garland.

Cudowne dziecko kina z dobiegającej końca złotej epoki kalifornijskiej fabryki snów w dorosłym życiu się pogubiło. Za upadek Dorotki powszechnie obwiniano wytwórnię MGM. W filmie „Judy" jej założyciel i wieloletni szef – Louis B. Mayer – przypomina Harveya Weinsteina. Prawda jest bardziej okrutna. Jeśli Garland była ofiarą, to wybujałych ambicji rodziców oraz własnej niedojrzałości. Nawet po czterdziestce wciąż zachowywała się jak nastolatka.

BEZSENNOŚĆ W LONDYNIE

Czternaście lat temu w Sydney wystawiono sztukę „End of the Rainbow", opowiadającą o ostatnich miesiącach życia gwiazdy. Napisał ją Anglik Peter Quilter. Po sukcesie w Australii spektakl święcił triumfy w Wielkiej Brytanii i na Broadwayu. W krakowskim teatrze STU w roli Garland wystąpiła Beata Rybotycka. Naturalną koleją rzeczy popularnym musicalem zainteresowali się filmowcy.

„Judy" zbudowano wokół jednej, za to wybitnej, kreacji. Nie dziwi nominacja Renée Zellweger do Oscara, gdyż Akademia lubi, gdy aktorzy znęcają się nad swym ciałem. Ona jest w tym specjalistką: jako Bridget Jones była kobietą puszystą, tutaj wygląda jak anorektyczka z długim stażem. Ufam, że Renée ma zapewnioną dobrą opiekę lekarską, bo naprzemienne chudnięcie i tycie z pewnością nie jest obojętne dla zdrowia. Umiejętności wokalne pokazała już w „Chicago" i z pewnością śpiewa lepiej niż Garland pod koniec życia.

Akcja filmu rozgrywa się 30 lat po premierze „Czarnoksiężnika z Oz". Samotna, znerwicowana i niepotrafiąca zasnąć gwiazda próbuje się odbić od dna. W walce o odzyskanie płynności finansowej i praw do opieki nad dziećmi mają jej pomóc występy w Londynie. Na scenie odżywa, lecz gołym okiem widać, że jej dni są policzone. Zaliczyła czterech starszawych mężów, teraz przerzuciła się na żigolaka. Istota godna współczucia i zarazem irytująca. Rzecz jasna, musimy Judy polubić, więc jej wady i uzależnienia pokazywane są w sposób nader oględny. Trochę jak w starym Hollywood, gdzie pijaka poznawało się po przekrzywionym kapeluszu i źle zawiązanym krawacie. W finale musi zaś wybrzmieć song „Over the Rainbow", anonsowany jako piosenka o nadziei.

AKTORKI NA TELEFON

Brytyjczycy szczycą się, że potraktowali Garland o wiele szlachetniej niż jej rodacy. W Londynie upadła gwiazda spotyka samych życzliwych i wyrozumiałych ludzi. Jeszcze trochę i wyszłaby na prostą, lecz dopadło ją fatum. Kto lubi bajki, może i w tę uwierzy. Powody rozpaczliwego stanu Judy wyjaśnia seria retrospekcji. Głównym czarnym charakterem okazuje się wspomniany Louis B. Mayer. Gruby jak beka, z cygarem w zębach – bezduszny kapitalista, niczym z karykatury „Krokodiła". Nienawidzimy go, gdy mobbinguje filigranową małolatę, bez skrupułów wykorzystując jej kompleks brzydkiego kaczątka.

W dobie szalejącego feminizmu, nieustającej kampanii #MeToo i hołubienia seksualnych mniejszości (do fabuły doczepiono wątek gejowski) trudno uwierzyć, że aż do połowy XX w. w branży filmowej panował system zgoła niewolniczy. Aktorka po podpisaniu kontraktu stawała się własnością studia, które decydowało, jak ma wyglądać i się zachowywać, z kim może się spotykać, a kogo musi unikać. Ava Gardner błysnęła kiedyś ponurym dowcipem, że gwiazdy kina jedynie tym różnią się od innych produktów, że wolno im nocą opuszczać sklep. Bunt nie wchodził w grę, zresztą za bramą czekał tłum potencjalnych następców, gotowych znieść każde poniżenie w imię przyszłej sławy.

Ówczesny Hollywood nie bez kozery nazywano nowym Babilonem, stolicą grzechu i rozpusty. Jack Warner, producent „Casablanki", który razem z braćmi założył słynną wytwórnię Warner Bros., był uzależniony od hazardu, a jeszcze bardziej od seksu z początkującymi aktoreczkami i tancerkami z nocnych klubów. Miliarder Howard Hughes sporo zainwestował w produkcję filmową, bo marzył mu się harem złożony z gwiazd wielkiego ekranu. Gdy w jednej z gazet ukazał się artykuł „Dziwkarz publiczny numer jeden", z którego wynikało, że ma do stałej dyspozycji 164 kobiety, ów miłośnik kina kazał swoim ludziom wykupić wszystkie egzemplarze pisma.

KONTRAKT Z DIABŁEM

Mayer, szef największej z hollywoodzkich wytwórni, inicjator powstania Akademii Filmowej i przyznawania Oscarów, przybierał pozę dobrotliwego patriarchy, ale swych podopiecznych trzymał w złotych klatkach. W zamian gwarantował im popularność, opiekę prawną i lekarską, usługi najlepszych krawców i fryzjerów. Na sprzeciw reagował rękoczynami (doświadczył tego nawet Chaplin). Molestowanie aktorek było w MGM na porządku dziennym. Pod różnymi pretekstami boss obmacywał Judy, a gdy zaprotestowała… zalał się łzami! Ów przyjaciel prezydenta Hoovera miał wszędzie swoich szpiegów, a zastraszanie ludzi należało do jego ulubionych metod działania.

Z filmu można wnosić, że Garland wzięła się znikąd, a jej kariera była kaprysem Mayera. Bez niego skończyłaby jako kura domowa. Z opasłej biografii gwiazdy, pióra Geralda Clarke'a, wynika coś zupełnie innego. Frances Ethel Gumm sprzedała duszę demonowi show-biznesu na długo przed tym, zanim stała się Dorotką. Jej rodzice poznali się w iluzjonie, matka grała na pianinie, akompaniując do niemych filmów,

eprasa.pl 2509c326de

ojciec śpiewał szlagiery, by wypełnić czas potrzebny na wymianę szpuli w aparacie projekcyjnym. Niespełnione marzenie, by zostać gwiazdami wodewilu, przelali na potomstwo.

Frances miała dwa latka, gdy dołączyła do sióstr i solo odśpiewała na scenie „Jingle Bells", akompaniując sobie dzwonkiem. W jednej z rozgłośni radiowych Los Angeles panny Gumm dostały stałą, cotygodniową audycję, występowały też w klubach południowej Kalifornii. Ukochany tatuś w wolnych chwilach uganiał się za młodymi chłopcami, co zmuszało rodzinę do częstych przeprowadzek. Dla mamusi sekutnicy najbardziej utalentowana z córek była taranem służącym do sforsowania rajskich wrót Hollywood. To ona wprowadziła Frances w świat narkotyków.

NA KOLANACH SZEFA

MGM, oferując cudownemu dziecku o zgoła niedziecięcym głosie lukratywny kontrakt, ubiegło konkurencję i zainwestowało w przyszłość. Nowy nabytek zdobył względy wszechmocnego Mayera, siadając mu na kolanach i śpiewając w jidysz smutną żydowską pieśń „Mój Boże, mój Boże", która zawsze wzruszała filmowego magnata. Na sukces Judy (imię i nazwisko zmieniła, by kariera nabrała rozpędu) pracowała odtąd armia dobrze opłacanych ludzi. Zanim stanęła przed kamerą, wymyślono jej wizerunek rezolutnej dziewczyny z sąsiedztwa, potrafiącej zarazić każdego swym optymizmem. W rzeczywistości panna Garland była typem maniakalno-depresyjnym z silnymi skłonnościami do autodestrukcji.

Wkrótce wyszło na jaw, że gwiazdorstwo, które uważała za swój życiowy cel, ma ciemną stronę. Zausznicy Mayera odkryli, że maskotka wytwórni jest zbyt pulchna i potajemnie obżera się słodyczami. Zaordynowano jej dietę wspieraną silnymi lekami. „Czarnoksiężnik z Oz" był wielkim sukcesem, jeszcze większym piosenka „Over the Rainbow" (omal nie wycięta z filmu podczas montażu). Życie Dorotki stawało się jednak coraz mniej radosne.

Tabletkami pobudzającymi i nasennymi faszerowali się w Hollywood prawie wszyscy. Głośne romanse, rozstania i załamania nerwowe też nie były w branży rzadkością, lecz Garland przebrała miarę. Po 15 latach, gdy kaprysy, histerie i uzależnienia uczyniły współpracę z nią wielce uciążliwą, wytwórnia anulowała kontrakt. Nie musiało to jeszcze oznaczać końca świata: Judy była znacznie lepszą wokalistką i tancerką niż aktorką, moda na musicale zaś wciąż trzymała się mocno. Nagłaśniane przez prasę wieści o złym prowadzeniu się, lekceważeniu obowiązków i próbach samobójczych zrujnowały jednak reputację ulubienicy Ameryki. Garland w swym totalnym zagubieniu przypominała Marilyn Monroe. To nie przypadek, że obie zakończyły żywot w podobny sposób.

★★★☆☆☆

REŻ. RUPERT GOOLD „JUDY" WIELKA BRYTANIA 2019
wyst. Renée Zellweger, Finn Wittrock, Darci Shaw

BŁĘDY I WYPACZENIA

W roku 1950 Billy Wilder nakręcił „Bulwar Zachodzącego Słońca", pod pozorami hołdu będący bezlitosną satyrą na kalifornijską fabrykę idoli. Szef MGM, obecny na pokazie przedpremierowym, wygarnął reżyserowi: „Ty gnojku! Okryłeś hańbą cały przemysł, który ciebie stworzył i wykarmił! Należałoby cię oblać smołą, oblepić piórami i wygnać z Hollywood!". Były to czcze pogróżki, gdyż nie minął rok i Mayer stracił władzę nad wytwórnią. Pięć lat później na ekrany wszedł zaś „Wielki nóż" – opowieść o aktorze szantażowanym przez bezwzględnego producenta. Była to ekranizacja sztuki Clifforda Odetsa, który wcześniej zarabiał na chleb jako scenarzysta i hollywoodzkie zwyczaje znał od podszewki.

Mayer i tak miał szczęście – nie dożył czasów, w których piętnowanie grzechów ojców założycieli amerykańskiego przemysłu filmowego stało się regułą. Po premierze „Dnia szarańczy" recenzenci pisali wręcz o masochizmie, choć reżyser tego demaskatorskiego dzieła był akurat Anglikiem.

Wbicie osinowego kołka w serce legendy powinno zakończyć sprawę. Okazało się jednak, że upadek dawnego systemu bynajmniej nie spowodował etycznej odnowy. Kto widział „Gracza" Roberta Altmana i „Mapy gwiazd" Davida Cronenberga, ten wie, że pod kalifornijskim niebem nadal kwitną patologie. Wybrańcy X muzy łamią wszystkie boskie i ludzkie przykazania od krzywoprzysięstwa poczynając, a na kazirodztwie kończąc. Aktorki to nimfomanki, nastoletni gwiazdorzy piją i ćpają, pasjonatów w stylu Warnera oraz Mayera zastąpili cyniczni księgowi.

Widzowie muszą Judy polubić, więc jej wady i uzależnienia pokazywane są w sposób nader oględny FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Oczywiście są to wszystko wizje artystów, którzy z Hollywood mieli na pieńku. Nie trzeba też bardzo wysilać wzroku, by u przywódczyń obecnej moralnej krucjaty dopatrzyć się hipokryzji. Rzekome ofiary znały reguły gry i brały w niej udział dopóty, dopóki służyło to ich karierze. Judy Garland, namawiana pod koniec życia na rachunek sumienia, odrzekła hardo: „We wszystkim postąpiłabym tak samo. Z błędami włącznie".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

Aleksandr Samochwałow „Siergiej Mironowicz Kirow przyjmuje paradę sportowców", 1935 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA

Piotr Semka z Petersburga

Dejneka i Samochwałow, czyli dwóch malarzy, którzy bez problemu rozstali się z modernizmem na rzecz socrealizmu, z licencją na odrobinę golizny

O dwóch takich, których docenił Stalin

W listopadzie 1935 r., pół roku przed rozpoczęciem wielkich czystek, sowiecki dyktator Józef Stalin rzucił hasło: „Życie stało się lepsze, życie stało się weselsze!". Dwóch malarzy, Aleksandr Dejneka i Aleksandr Samochwałow, bardzo umiejętnie wyraziło to hasło w malarstwie. W zamian czerwony dyktator obsypał ich nagrodami. A że oprócz zmysłu propagandzistów obaj artyści mieli też niekwestionowany talent, ich prace stały się majstersztykami masowej propagandy komunizmu. Teraz, blisko 30 lat po upadku Związku Sowieckiego, Dejneka i Samochwałow znów są w centrum uwagi. Ich starannie zebranym obrazom poświęcono wielką ekspozycję w Sankt Petersburgu.

eprasa.pl 2509c326de

Aleksandr Dejneka „Obrona Piotrogrodu", 1928 r.
FOT. ARCHIWUM AUTORA

Wystawa w Centralnym Pawilonie Wystaw „Maneż" w centrum starej rosyjskiej stolicy to nie byle co. Obejrzeć można tu tylko najbardziej prestiżowe projekty i prace najlepszych artystów. Nad ekspozycją objęło patronat ministerstwo kultury Rosji, pomagając zgromadzić w jednym miejscu ok. 300 prac obu malarzy z 32 muzeów – m.in. Galerii Tretiakowskiej, Muzeum Rosyjskiego w Petersburgu i z prywatnych kolekcji.

Przed wejściem na ekspozycję czytam przesłanie kuratora Siemiona Michajłowskiego. „Niedługo dyskutowaliśmy, jak stworzyć strukturę wystawy. Dwóch artystów, z których jeden tworzył w Moskwie, a drugi w Leningradzie – dwóch miastach rywalizujących ze sobą w sporcie i sztuce – zajmowało się bardzo określonymi tematami. Tematy te były zaangażowane w proces transformacji społecznej. To wojny – z ich powszechną mobilizacją i wyjątkową ofiarnością. To place budów, na których zarówno kobiety, jak i mężczyźni zostawali przodownikami pracy. To zawody sportowe i piękno potężnych, muskularnych ciał. Wychowanie nowego pokolenia na przykładach heroizmu ludzi wierzących w swe idee".

Dla pokolenia pamiętającego sowiecką propagandę słowa te brzmią dziwnie znajomo.

Aleksandr Samochwałow „Konduktorka", 1928 r.
FOT. ARCHIWUM AUTORA

Oprawa wystawy nie wyraża jednak zbyt nachalnie tęsknoty za epoką Stalina. Akcentowana jest raczej pochwała sportu, kultu młodości i budowy przez ludzi pracy nowego ładu. Nad wejściem na wystawę umieszczono nie sierp i młot, ale metaloplastykę Dejneki „Futboliści" z 1948 r. A duże ekrany wprowadzają w klimat wystawy migawkami z filmów epoki lat 30., pokazującymi zawody sportowe, mecze i parady komsomolców na placu Czerwonym. Wszystko bez Józefa Stalina – postaci, wokół której kręcił się wówczas sowiecki świat.

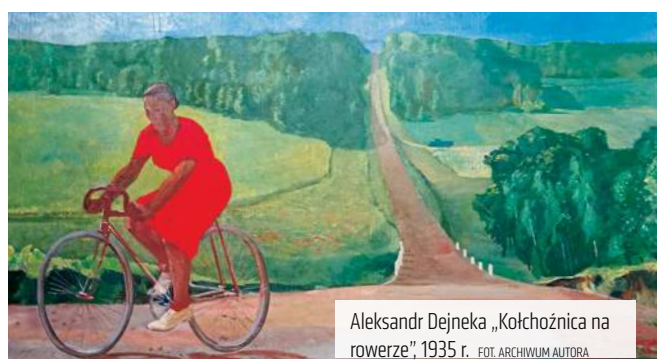
Aleksandr Dejneka „Kołchoźnica na rowerze", 1935 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA

REWOLUCJA – SCHODY DO KARIERY

Aleksandr Aleksandrowicz Dejneka (1899–1969) i Aleksandr Nikołajewicz Samochwałow (1894–1971) należeli do pokolenia, któremu rewolucja bolszewicka objawiła się jako upragniona szansa. Obaj pochodzili z nizin społecznych, ale dzięki rozmaitym sponsorom i dobrodziejom zdołali zdobyć wykształcenie plastyczne jeszcze za starego, carskiego reżimu. Samochwałow był usunięty ze szkoły z wilczym biletem za udział w demonstracji rewolucyjnej w 1908 r., ale dzięki rozmaitym wstawiennictwom mógł kontynuować naukę. Młodszy o pięć lat Dejneka, z racji wieku, nie mógł pochwalić się takim rewolucyjnym epizodem, ale już w 1918 r. trafił do obozu bolszewików, a rok potem został w Kursku współpracownikiem tzw. okien ROSTA – propagandowych witryn partii Lenina. Obaj trafili do pełnych awangardowego zapału sowieckich szkół plastycznych – Dejneka na wydział grafiki w uczelni Wchutiemas w Moskwie, a Samochwałow na Wchutein w Piotrogrodzie.

W chwili zwycięstwa bolszewików twórcy z pokolenia Dejneki i Samochwałowa byli złaknieni nowych trendów w sztuce, a komisarze za cenę ideologicznej prawowierności nie zabraniali młodym eksperymentów formalnych. Dlatego ich propagandowe plakaty z lat 1924–1928 kipią od nowoczesnych trendów.

Niektóre wczesne prace Samochwałowa zahaczają o maniery symbolistów. To wpływ jego mentora z początku lat 20., malarza Kuźmy Pietrowa-Wodkina, najbardziej znanego z obrazu „Kąpiel czerwonego konia". Dejneka bardziej zauroczony był konstruktywizmem i zabłysnął ostrym graficznym stylem. To on pomógł mu odnieść pierwszy sukces – bardzo pozytywnie przyjęty przez sowieckie władze w 1928 r. obraz „Obrona Piotrogrodu", który umiejętnie nawiązywał do cenionego, modernistycznego obrazu Ferdinanda Hodlera „Wymarsz studentów jeneńskich w 1813 r.".

Obaj malarze na przełomie lat 20. i 30. skupili się na ówczesnym temacie numer jeden – przodownikach pracy kolejnych „piatiletek" – etapów stalinowskiego planu industrializacji Rosji.

Staję przed cyklem obrazów pędzla Samochwałowa z 1934 r. pomyślanym jako hołd złożony robotnicom budowy moskiewskiego metra. Wielkie umięśnione kobietony ze świdrami i z łopatami. Jednak na niektórych wcześniejszych obrazach kreska jest wciąż niezwykle nowoczesna. „Konduktorka" – dzieło sławiące pracownicę leningradzkiego tramwaju z 1928 r. – przypomina

eprasa.pl 2509c326de

Aleksandr Dejneka „Stachanowcy", 1937 r. FOT. ARCHIWUM AUTORA

portrety Witkacego. Dejneka ma w tym czasie romans z teatrem Meyerholda. W 1930 r. projektuje awangardowe kostiumy do sztuki „Łaźnia" Majakowskiego.

Obaj autorzy szybko jednak wyczują koniec aprobaty władz dla eksperymentów. Zazwyczaj pierwszym i ostatnim ostrzeżeniem były teksty w pismach branżowych krytykujących „formalizm". Zręczniejsi aluzje chwytali w lot, inni naiwnie liczyli, że z władzą sowiecką na gruncie sztuki można się spierać. Nie można było.

NOWA FAZA

Dejneka i Samochwałow zręcznie odchodzą od nowoczesnego stylu, ale ich talent pozwala im na ciekawą syntezę z wymogami socrealizmu, którego wymaga teraz Stalin. I ich posłuszeństwo zostaje wynagrodzone. Właśnie wtedy, od 1934 r., otwierają się przed nimi nowe możliwości. Idealnie trafiają w gust nowej epoki, w której kolejne czystki i powszechny strach mają być zagłuszane hasłem, że żyje się lepiej i weselej. W kinie sowieckim ten trend znamionuje wysyp komedii z Lubow Orłową – „Świat się śmieje", „Cyrk" i „Wołga, Wołga". W malarstwie na czoło wysuwają się właśnie Dejneka i Samochwałow.

Na obrazie Dejneki „Kołchoźnica na rowerze" z 1935 r. rosyjska wieś wygląda jak czyściutka prowincja gdzieś w Danii czy Szwecji. Młoda chłopka ma szykowną, czerwoną sukienkę, a rower to nowoczesna wyścigówka. Każdy, kto znał rosyjskie realia, wiedział, że to iluzja, ale właśnie taką iluzję wtedy promowano.

Swoistą próbą ogniową w schlebianiu gustom Stalina była dla obu twórców Wystawa Światowa w Paryżu w 1937 r. Pawilon sowiecki z rzeźbą Wiery Muchiny „Robotnik i kołchoźnica" ustawiono wtedy symbolicznie naprzeciw pawilonu III Rzeszy. Dejneka i Samochwałow ozdobili wielkimi panneau wnętrze pawilonu ze statuą despotycznego Gruzina pośrodku sali. Dejneka maluje stachanowców. W blasku słonecznego dnia ubrani w eleganckie garnitury przodownicy pracy idą w paradzie ku czci sowieckiej władzy. Samochwałow wybrał z kolei temat „Sowiecka kultura fizyczna". Młodzi sportowcy stają na kuli ziemskiej z napisem ZSRS, a nad nimi na niebie z samolotu wyskakują spadochroniarze.

Dwa lata potem Samochwałow zdobywa nagrodę państwową za wielki obraz „Bawełna" namalowany na Wszechzwiązkową Wystawę Rolniczą w Moskwie. Przedstawia ulubiony stalinowski motyw – przyjaźni narodów. Tłum uśmiechniętych kobiet w strojach narodowych różnych nacji Związku Sowieckiego niesie na tacach kwiaty bawełny. Staję przed innym obrazem Samochwałowa – „Siergiej Mironowicz Kirow przyjmuje paradę sportowców". Dziś już wiadomo, że Kirowa, partyjnego zarządcę Leningradu, kazał w 1934 r. zamordować Stalin, widząc w nim konkurenta. Ale natychmiast po zgładzeniu rywala ogłosił jego kult. I Samochwałow w mig wyczuł nową tendencję. Także Dejneka nie mógł narzekać na brak zamówień. Otrzymał prestiżowe zadanie zaprojektowania mozaik dla stacji moskiewskiego metra Majakowskaja.

Osobnego portretu Stalina ani jeden, ani drugi malarz nigdy nie wykonał. To zadanie władca Kremla wolał powierzać dokładnym rzemieślnikom, a nie licencjonowanym wizjonerom.

EROS I THANATOS

Interesującym wątkiem wystawy jest coś, co można umownie nazwać soc-sexy z lat 1928–1939. To wyraźny nurt erotyzmu w portretach i aktach zamaskowany w kulcie sportu, witalizmu i młodzieńczości. Samochwałow maluje w 1934 r. nagą sportsmenkę wycierającą się ręcznikiem po wyścigu pływackim. W Maneżu obejrzeć można też „Naturystkę" Dejneki z 1936 r. i „Prysznic. Po meczu" – z grupą umięśnionych młodzieńców pod prysznicami.

Te obrazy wskazują, że opinie o pruderii epoki stalinowskiej nie do końca są prawdziwe. Były, jak widać, sfery życia publicznego, choć nie masowe, gdzie pozwalano na więcej luzu w kwestii obyczajowości.

Druga wojna światowa w obrazach obu artystów zgromadzonych na petersburskiej wystawie to osobliwy miszmasz. Zaskakujące wrażenie robi „Zestrzelony as" Dejneki z 1943 r. Na obrazie strącony pilot Luftwaffe zostaje uwieczniony jako postać na metr przed nadzianiem się na ostre, antyczołgowe kozły.

Z kolei „Stalingradcy" Samochwałowa z 1947 r. to klasyczny „socreal" bez śladu jakiegokolwiek nowatorstwa. W przypadku najważniejszych tematów malarz wolał ściśle trzymać się stylistycznej ortodoksji.

O STALINIE NIE MÓWIMY

Wystawa bardzo starannie omija aspekt historyczny epoki, w którym powstawały te epatujące sowieckim witalizmem dzieła. Owszem, w kalendarium życiorysów obu malarzy małymi literkami podane są współczesne im dramatyczne wydarzenia z dziejów Rosji sowieckiej, ale już obrazy z tej epoki wystawiono bez żadnych wyjaśnień zdradzających propagandowo-historyczny kontekst prezentowanych dzieł.

Ktoś, kto nie zna historii ZSRS, nie zrozumie, co znaczy np. grafika Dejneki „Kułak" z 1925 r. z odrażającą, wykrzywioną twarzą wiejskiego „wroga ludu". Nie bardzo zrozumie też kontekst obrazu Samochwałowa „Militaryzacja komsomołu" z 1932 r., pokazującego, jak młodzi aktywiści obojga płci ćwiczą strzelanie. By zrozumieć propagandowe zapotrzebowanie na takie obrazy, trzeba zajrzeć do książek o planach Stalina stworzenia wielkiej armii, która miała w dogodnym momencie podbić Europę. Taki sam był cel obrazu Dejneki „Przyszli lotnicy", na którym trzech chłopców z zachwytem odprowadza wzrokiem lecący w przestworzach hydroplan. Nie mówiąc już o rozszyfrowaniu takich nazw obrazów jak np. „Osoawiachimowka", który pokazuje dziewoję wyposażoną w karabin i maskę gazową. Chodzi o „Osoawiachim" – Towarzystwo Współdziałania w sprawach Obrony i Budownictwa Lotniczo-

eprasa.pl 2509c326de

-Chemicznego, które w latach 1927–1948 masowo przygotowywało młodzież do służby wojskowej.

Jedynie w katalogu znalazło się pojedyncze odniesienie do upiornej przeszłości. Grafikę Dejneki „Przegłosowano jednogłośnie" – rysunek masówki w fabryce, gdzie wszyscy karnie podnoszą rękę – zbito ze zdjęciem głosowania z 1938 r. w koszarach Armii Czerwonej nad petycją żądającą kary śmierci dla sądzonych w procesie „centrum prawicowo-trockistowskiego" w 1938 r. To jednak jedyny taki akcencik. Za to katalog otwierają dwa żarliwe cytaty z obu artystów. Aleksandr Dejneka pyta: „Kogo nie zachwycają nasze dni? Kto może zostać wobec nich obojętny? Świetliste porywy, tytaniczny rozmach proletariatu chciałoby się uwiecznić słonecznie i kolorowo w tysiącach szlachetnych kamykach mozaiki, uchwycić tę heroiczną walkę proletariackich mas". A teraz cytat z Samochwałowa: „Historia wypełniała się na naszych oczach. I obrazy nowych ludzi formowały się na naszych oczach. Oni byli monumentalni sami dla siebie, gdyż rodziły ich wielkie wydarzenia".

Ani słowa o okrutnej cenie ludzkich tragedii, którymi płacono za takie wielkie sukcesy w budowie komunizmu. Na tle roześmianych stachanowców, ambitnych komsomołek i umięśnionych sportsmenek głodujący na Ukrainie czy dożywający w nędzy swych dni przedrewolucyjni inteligenci jawić się musieli szaro i smutno. A kto by chciał oglądać biedę i rozpacz? W tym sensie obaj artyści wygrywają po latach. Oni malowali to, co kolorowe, młode i pełne seksapilu. Zresztą sam Dejneka na autoportrecie z 1948 r. prezentuje się jako pewny siebie, umięśniony macho w sile wieku. W spodenkach bokserskich i płaszczu kąpielowym wyzywająco patrzy na widza, jakby był gotowy z byle powodu rozbić komuś nos.

Oglądając ten obraz, przypominałem sobie, że ten świat herosów ze stalinowskiego nadania był bardzo kruchy. W każdej chwili można było stracić łaskę.

Aleksandr Samochwałow „Sowiecka kultura fizyczna", 1935 r FOT. ARCHIWUM AUTORA

Aleksandr Samochwałow „Po zawodach pływackich", lata 1934–1935 FOT. ARCHIWUM AUTORA

Przed oczyma stanęły mi sceny z filmu Nikity Michałkowa „Spaleni słońcem", w którym stalinowski marszałek Kotow stworzył sobie w podmiejskiej daczy namiastkę bezpiecznego świata jak z noweli Czechowa. Ale gdy ekipa NKWD przybywa, aby go aresztować, tajniacy na dzień dobry masakrują mu twarz. Ot tak, aby zrozumiał, że od tej chwili stał się już sowieckim podczłowiekiem.

Jak wyglądałby pewny siebie Dejneka z autoportretu po godzinnej choćby obróbce na Łubiance? Tego się nie dowiemy. Dejneka tak kierował swoim życiem, aby być po stronie bijących, a nie bitych.

NA PARNASIE

Po odwilży Chruszczowa obaj artyści nie oddali już zdobytych pozycji luminarzy sowieckiego malarstwa. Powrócili do porzuconego na początku lat 30. modernizmu i znów trafili w gusta ideologicznych nadzorców nowego etapu. W 1961 r. Dejneka dostaje prestiżowe zlecenie zaprojektowania plafonów dla kremlowskiego Pałacu Zjazdów i w 1969 r. otrzymuje tytuł Bohatera Pracy Socjalistycznej. Dwa lata wcześniej, w 1967 r., Samochwałow zostaje odznaczony prestiżowym Orderem Lenina. Zanim umrą w nomenklaturowym dobrobycie, wychowają całą rzeszę uczniów, którzy w coraz bardziej wtórnym stylu będą ozdabiać setki sal sportowych i kinoteatrów mozaikami i malowidłami sławiącymi sportsmenów oraz komsomolców.

Teraz obaj zostają uczczeni na nowo. Nic dziwnego. Według putinowskiej wizji historii okres sowiecki wcale nie był katastrofą, tylko triumfem. Obrazy Dejneki i Samochwałowa przekonać mogą kolejne pokolenia, że nie było znowuż tak strasznie. Kto to bowiem widział, żeby imperium spowiadało się z jakichś grzechów?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Dejneka i Samochwałow" w Centralnym Pawilonie Wystaw „Maneż" w Petersburgu trwała do 19 stycznia br.

eprasa.pl 2509c326de

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Dobry, czujny i brzydki

★★★★☆☆

REŻ. CLINT EASTWOOD „RICHARD JEWELL" USA 2019

wyst. Paul Walter Hauser, Kathy Bates, Sam Rockwell

Od zera do bohatera. Clint Eastwood na starość chyba przestał wierzyć, że do heroicznych czynów zdolni są tylko herosi, a może wkurzyły go superprodukcje o mężczyznach, kobietach i małolatach obdarzonych nadludzkimi mocami. Trudno inaczej wytłumaczyć to, że znowu nakręcił film o zwyklaku, który w krytycznym momencie potrafił stanąć na wysokości zadania.

Poprzednio zaliczył wpadkę, choć historia była jak najbardziej prawdziwa. Trzej jankesi jadący pociągiem do Paryża, zamiast czekać, aż ktoś ich uratuje, sami obezwładnili terrorystę. Rzecz nie wypaliła m.in. dlatego, że główne role zagrali sami zainteresowani. Tym razem Eastwood nie mógł tego błędu powtórzyć: ochroniarz Richard Jewell, który zapobiegł masakrze podczas koncertu olimpijskiego w Atlancie, zmarł 12 lat temu.

Puszysty Paul Walter Hauser prawdopodobnie zagrał tu rolę życia. Stał się obżartuchem, sprawiającym wrażenie umysłowo ociężałego, maminsynkiem wierzącym w prawo i porządek, służbistą, wyznającym kult broni i munduru. Co tu kryć, takich typów się nie szanuje i bez litości obśmiewa. Ujrzawszy leżący pod ławką podejrzany plecak, Jewell bez wahania wszczyna alarm, gdyż, w odróżnieniu od innych, poważnie traktuje procedury bezpieczeństwa.

Na chwilę zostaje gwiazdą, ale służby, które nie zapobiegły zamachowi, muszą szybko pochwalić się jakimś sukcesem. Czujny ochroniarz pasuje im do profilu sprawcy jak strażak, który sam podłożył ogień, by potem go z poświęceniem ugasić. Agentom FBI brakuje twardych dowodów przestępstwa, więc uciekają się do pożałowania godnych podstępów i prowokacji. Sekundują im dziennikarskie sępy, znajdzie się nawet ambitna reporterka, która za informacje gotowa jest płacić własnym ciałem.

Mamy więc spisek elit przeciw szaraczkowi. Jewell, niespotykanie spokojny człowiek, jest w szoku. Kiedy zrozumie, że chcą go posłać na krzesło elektryczne, zwraca się do jedynego sympatycznego prawnika, jakiego poznał w swoim życiu. Watson, luzak i outsider, lubi iść pod prąd. Poza tym ma rosyjską sekretarkę, która pomna porządków panujących w jej ojczyźnie mówi: „Jeśli rząd twierdzi, że ktoś jest winny, to wiadomo, że jest dokładnie na odwrót".

My też przeczuwamy, że gra toczy się o wysoką stawkę, a państwo, które poniewiera uczciwym obywatelem, powinno się ze wstydu zapaść pod ziemię. Eastwood jest uroczo staromodny i sentymentalny, pozwala wygłaszać bohaterowi patetyczne przemówienia, lecz reżyserskiej werwy nie stracił. Wciąż umie pokazać Amerykę prawdziwszą od tej, którą na co dzień oglądamy w telewizji. O kinie nie wspominając. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „POZNAJMY SIĘ JESZCZE RAZ"

Komedia romantyczna z podróżą w czasie (pewnego rodzaju w każdym razie) w tle brzmi jak pomysł ryzykowny, ale w rękach Francuzów nie takie historie w kinie się udawały. Starzejący się, sfrustrowany rysownik komiksów (świetny jak zwykle Daniel Auteuil) niespodziewanie otrzymuje szansę na takie doświadczenie. Co chciałby przeżyć jeszcze raz? Marzy o latach 70. XX w., kiedy to przeżywał swą pierwszą wielką miłość. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Poznajmy się jeszcze raz" („La belle époque"), reż. Nicolas Bedos, wyst. Daniel Auteuil, Guillaume Canet, Doria Tillier, Francja 2019***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Głębia strachu" („Underwater"), reż. William Eubank, USA 2020***
- ***„Małgosia i Jaś" („Gretel and Hansel"), reż. Oz Perkins, USA/Irlandia 2020***
- ***„Kwas" („Kislota"), reż. Aleksandr Gorchilin, Rosja 2018***

eprasa.pl 2509c326de

Adolfie, zrozum mnie!

Za młodu Beatlesom zdarzało się śpiewać po niemiecku. Efekt, nawet po latach, jest wstrząsający. Słuchając po raz pierwszy „Komm, gib mir deine Hand", popłakałem się ze śmiechu. Waititi nakręcił do tej piosenki teledysk. Za tło posłużyły archiwalne zdjęcia, przypominające uwielbienie, jakim nasi zachodni sąsiedzi darzyli pewnego kabotyna z wąsikiem.

Ów teledysk rozpoczyna historię chłopca, który wiosną 1945 r. bardzo chce zostać wzorowym nazistą i okazywać masochistyczną radość z tego, że cały świat (z wyjątkiem Japonii) jest przeciw III Rzeszy. Gdy dorośli mieszkańcy Falkenheim tracą wiarę w zwycięstwo, Jojo z zapałem ćwiczy hajlowanie, wrzuca do ognia nieprawomyślną literaturę i pisze książkę piętnującą ohydnych Żydów. Przed zwątpieniem chroni go wymyślony przyjaciel, którym jest Hitler we własnej osobie.

Recz jasna, konwencja brawurowej komedii zostanie przełamana i film, pozostając zabawny, zacznie się robić coraz bardziej wzruszający. Nowozelandzki reżyser okazał się prowokatorem na pół gwizdka, a może mimo wszystko wierzy w ludzi (nawet tak marnych jak Niemcy za Adolfa). Jemu samemu pan Bóg talentu nie poskąpił. Waititi nawet z wampirów zdołał wycisnąć sporo świeżej krwi. Może zajść naprawdę daleko, pod warunkiem że trochę spoważnieje. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. TAIKA WAITITI
„JOJO RABBIT"
CZECHY / NIEMCY / NOWA ZELANDIA / USA 2019

wyst. Roman Griffin Davis, Scarlett Johansson, Sam Rockwell

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ZABIJ TO

★★★★☆☆

REŻ. ANDY MUSCHIETTI
„TO: ROZDZIAŁ 2"
USA 2019, GALAPAGOS

wyst. Jessica Chastain, James MacAvoy, Bill Hader

Druga i ostatnia część kinowej wersji słynnej powieści Stephena Kinga najlepsza jest w tych miejscach, gdzie potworności widzimy niewiele. Bohaterowie pierwszego filmu spotykają się ponownie po 27 latach, by stawić czoła krwiożerczej istocie grasującej w Derry. Ich życie nie ułożyło się tak, jakby tego chcieli. Czy dlatego, że wyparli ze swej pamięci ponurą tajemnicę sprzed lat? Gdy okłamujemy sami siebie, pierwsi padamy ofiarą choroby trawiącej nasze dusze. Tu film jest najpiękniejszy i budzi największe emocje. Tak jak część pierwsza zachwycała tam, gdzie mowa była o relacjach między małoletnimi bohaterami, a nie o podziemnym legowisku potwora. W dużej mierze jest to zasługą świetnych aktorów. Do doskonałej dziecięcej obsady dołączają tym razem także m.in. Jessica Chastain i James MacAvoy. Jest na ekranie chemia, są wzruszenia, są kluczowe retrospekcje wyjaśniające wydarzenia sprzed lat. Tam, gdzie zaczyna się czysty horror, patrzyłem nieco znudzony na zegarek.

POGRANICZE W OGNIU

★★★★☆☆

SEZON 3
„WATAHA"
POLSKA 2019, HBO I HBO GO

wyst. Leszek Lichota, Aleksandra Popławska, Andrzej Zieliński

Od samego początku serial „Wataha" nękają te same problemy. Kapitalne pejzaże dzikiego pogranicza nie współgrają z tym, co się przytrafia bohaterom. Fabuła obraca się wciąż wśród tych samych motywów i osób, jakby brakło odwagi, albo wyobraźni na wielkie plany. Całość jak zawsze w takich sytuacjach ratują aktorzy, dzięki którym ten kryminał z Dzikiego Wschodu da się oglądać. Na pierwszym planie Leszek Lichota i Aleksandra Popławska, na drugim choćby Mariusz Saniternik czy Piotr Żurawski. „Wataha" nie wybija się więc ponad poprawność, choć miała potencjał na więcej. Niektóre sceny są idiotyczne: w czasach, gdy na ministrów czatują osobnicy skandujący w amoku: „Wolne sądy!", serial pokazuje w tym kontekście demonstrację polskich nacjonalistów. Więcej to mówi o twórcach serialu i HBO Polska niż o współczesnej Polsce. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „SIMULACRA 2"

★★★★☆☆

Pewnego dnia w tajemniczych okolicznościach ginie internetowa influencerka. Jedyny ślad, który może doprowadzić do ustalenia przyczyny jej śmierci, wiedzie przez meandry… pozostawionego smartfona. Setki zdjęć, filmów wideo, postów i aplikacji, których używała, układa się w mozaikę, z której na końcu śledztwa powinna się wyłonić twarz mordercy. „Simulacra" to kontynuacja intrygującej przygodówki „Sara is Missing", w którą możemy zagrać zarówno na PC, jak i urządzeniach mobilnych. Fabuła ma swoje zwroty, ale w dużej mierze polega na powtarzalnym przeszukiwaniu kolejnych folderów urządzenia. Dobre na jeden wieczór. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Przygodowa*
- ***Platforma:*** *PC/Android/iOS*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Kaigan Games/Another Indie*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 2509c326de

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Nie w porę urodzeni

Żadna książka, nawet dziennik, w żadnym razie nie powinna opowiadać o swoim autorze, raczej o tym, jak w nim, piszącym, odbija się świat – ponieważ to świat jest interesujący, a nie autor" – pisał Miguel Quiroga, któremu Marta Kwaśnicka poświęciła „Triumf", jedno z 13 opowiadań składających się na tom „Pomyłka". Zdanie to, na pozór, jest bezdyskusyjnie prawdziwe, dobrze jednak wiemy, że tylko na pozór. Jakże często bowiem autobiografia stanowi nie tylko materiał, z którego powstaje dzieło literackie, lecz także decyduje o dzieła tego kształcie, sprawia, że jego lektura nas porywa, wzrusza, olśniewa albo, najczęściej, pozostawia obojętnymi.

„Pomyłka" nie jest może książką taką, o jakiej powiada jej autorka, że ma się wrażenie, jakby „była napisana specjalnie dla nas". Taka, rzeczywiście, „niektórym nie zdarza się nigdy, innym tylko raz, góra kilka razy w życiu". Niemniej jednak „Pomyłka" mnie zafrapowała, choć ani pod względem formy nie jest czysta gatunkowo, ani też nie powala atrakcyjnością treści. Ale jest w tym zbiorze, co wyczuwamy najpóźniej już w drugim opowiadaniu tomu, bezwzględna uczciwość. I nic do rzeczy nie ma, że nie są te opowiadania w pełni autobiograficzne. „Zgadzają się tu najbardziej ogólne fakty – na przykład to, że studiowałam archeologię i filozofię, że miałam okazję pracować w Anglii jako archeolog, potem w Warszawie, wreszcie na uczelni. Gdyby jednak ktoś chciał na przykładzie »Pomyłki« ustalić szczegóły mojego życia, okaże się, że w rzeczywistości często wyglądały one inaczej niż to, co opisałam w książce. [...]

»Pomyłka« to [...] nie tyle opowieść o mnie, ile historia przedstawiciela pewnego pokolenia,

FOT. ARCHIWUM MARTY KWAŚNICKIEJ

człowieka urodzonego nie w porę, niewystarczająco ustosunkowanego, zmuszonego zająć stanowisko wobec całego szeregu rozczarowań".

Co to znaczy: urodzić się nie w porę? Marta Kwaśnicka przyszła na świat w roku 1981. Jej eseistyka, którą pomieściła w książkach: „Krew z mlekiem" i „Jadwiga", zwróciła uwagę czytelników i uznanie krytyki, czego wyrazem stały się nagrody literackie: Identitas (2015) i Skrzydła Dedala (2016). Nie wątpię, że także o „Pomyłce" będzie głośno.

Są w tomie dwa cudowne opowiadania o wierze: o Bogu, religii, ale i o szatanie, a i – jak ktoś się uprze – o literaturze, bo w końcu każdemu czytelnikowi Dostojewskiego postawić należy pytanie, który z braci Karamazow jest mu najbliższy. Trop zawarty w opowiadaniu „Powierzchniówki" może być zaskakujący: otóż wybór pada na Dymitra, jedynego – jak czytamy – bohatera Dostojewskiego, „który jest sympatyczny. Uznaje swoją słabość i grzeszność. I wie, że nie ma w nim niczego niezwykłego".

A co to znaczy być wierzącym? Lekarzowi z opowiadania „Nieszczelność" nie mieści się w głowie, że jego pacjentka nie tylko wierzy w Boga, nie tylko w szatana, lecz także w egzorcyzmy, w relikwie. W końcu jednak ten – zdawałoby się – osobisty nieprzyjaciel Pana Boga, zamyślony, powiada: „Bo wie pan, w sumie moja babcia mówiła mi: idź do kościoła. Na pewno nic złego tam ci nie zrobią". No cóż, Pascal radził niewierzącym, by założyli, że Bóg jednak istnieje, i żyjąc zgodnie z tym przekonaniem, stosowali się do norm moralnych i uczestniczyli w liturgii.

Autorka „Pomyłki" daleka jest jednak od łatwych rozwiązań i efektownych zdań. Żyjąc w Polsce, trudno by nie spostrzegła, że w świątyniach wiernych nie przybywa: „...rozkładająca się komuna prawie wszystkim przetrąciła kręgosłup. Kiedy polityczne kleszcze zaczęły się rozwierać, religia przestała być nieodzowna". Co jednak począć bez niej? A co zrobić bez Polski? Czy rzeczywiście, „kiedy siedziało się przy angielskim kominku lub w jednej z tamtejszych gospód, Polska wydawała się opowieścią o wielkiej, wielopokoleniowej biedzie, walce i rozpaczy".

„Pomyłka" porusza ważne sprawy; Kwaśnicka nie boi się mówić o kwestiach najbardziej nawet zasadniczych. Przy tym kreśli ciekawe portrety Warszawy i Krakowa, pisze też opowiadania o ludziach nieprzystosowanych, wyrzuconych na margines, jak bohater opowiadania „Szmaciarz", którego nie powstydziłby się Marek Nowakowski. Wreszcie w jeszcze innym opowiadaniu – „Winda" – brawurowo kreśli historię osiedlowych polskich wind, od nazwy producenta zwanych zrembami. Przeczytajcie, państwo, koniecznie! ©℗

★★★★☆

MARTA KWAŚNICKA
„POMYŁKA"
TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW
2019

eprasa.pl 2509c326de

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Od Żbika do wiedźmina

Zdążyłem z nim jeszcze nagrać rozmowę do programu „Literatura na trzeźwo" kilka lat temu. Był cudownym gawędziarzem – i koszmarem dziennikarza zarazem, bo tak przeplatał swoje wspomnienia, tak przeskakiwał z wątku na wątek, że niełatwo było to montować. Rozmawialiśmy o samym początku jego kariery w PRL, o komiksach z serii „Kapitan Żbik", o tym, jak powstał magazyn „Relax". Z goryczą mówił także o tym, jak on i inni artyści zostali okradzeni przez komunistycznych urzędników – oryginały plansz nie wróciły do autorów, zostały po prostu przywłaszczone przez aparatczyków z peerelowskich wydawnictw.

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Status arcymistrza polskiego komiksu zdobył jednak Bogusław Polch nieco później, w pierwszej połowie lat 80., kiedy to w „Fantastyce" zaczęły się ukazywać odcinki „Funky'ego Kovala", a w kioskach i księgarniach niemal jednocześnie pojawiły się albumy z rysowanej przez Bogusława dla niemieckiego wydawcy serii „Bogowie z kosmosu", opartej na bzdurkach niezmiernie popularnego naonczas Ericha von Dänikena.

„Funky Koval" był jak eksplozja. Pierwszy nowoczesny polski komiks science fiction, w dodatku łączący wartką akcję z politycznymi aluzjami, perfekcyjnie narysowany, świetnie napisany przez Macieja Parowskiego i Jacka Rodka. W każdym kapitalistycznym kraju uczyniłby z autorów krezusów. W PRL egzystował sobie spokojnie na łamach pisma „Fantastyka", lekceważonego przez wykształciuchów, kochanego przez czytelników.

Potem przyszedł czyściec, bo Polch zmierzył się z rodzącą się legendą „Wiedźmina". Tak, to właśnie Bogusław, znów dzięki scenariuszowi Parowskiego, był pierwszym twórcą, który musiał zmierzyć się z wyobrażeniami o Geralcie siedzącymi w głowach fanów. Nie Netflix, nie CD-Projekt, nie Dark Horse Comics, nie spółka producencka Lwa Rywina. Polch był pierwszy i zebrał największe baty, bo czytelnikom marzyło się, by komiks o wiedźminie wyglądał jak komiksy Rosińskiego o Thorgalu. Polch rysował inaczej – i chwała mu za to.

Dziś sam Bogusław Polch jest już legendą i jednym z ojców założycieli współczesnego polskiego komiksu. Obok Grzegorza Rosińskiego, Janusza Christy, Henryka Jerzego Chmielewskiego. Każdy inny, każdy genialny. Dowody znajdziecie w księgarniach i antykwariatach. Samego Bogusława zaś z nami już niestety nie ma. Zmarł 2 stycznia 2020 r. Żegnaj, mistrzu! ©℗

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Wznowienie wybitnej powieści zakazanej w Sowietach, zrównującej totalitaryzmy niemiecki i rosyjski w wielkim fresku o drugiej wojnie światowej. Wstęp tłumacza Jerzego Czecha (w edycji W.A.B. autorem był Adam Pomorski)

WASILIJ GROSSMAN „ŻYCIE I LOS" NOIR SUR BLANC

„Burzliwe życie i czasy Beniamina Netanjahu". Autor biografii, dziennikarz „Haaretza", jest wobec polityka mocno krytyczny, wytykając skandale, oskarżając go o podzielenie społeczeństwa, pychę i brak tolerancji.

ANSHEL PFEFFER „BIBI" POST FACTUM

Kolejna książka autora „Paradoksu szympansa", profesora psychiatrii, który podpowiada, jak odnajdywać źródła zachowań destrukcyjnych, zwalczać nadmierny samokrytycyzm, lęk przed porażką i nawyk odkładania na potem.

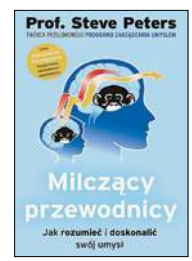

STEVE PETERS „MILCZĄCY PRZEWODNICY" ZYSK I S-KA

Okrutna baśń z czasów wojny trzydziestoletniej o oddziale najemników odkrywającym rajską dolinę ukrytą przed złem. Komiks polskiego rysownika Zbigniewa Kasprzaka (pseudonim Kas), od lat mieszkającego w Belgii.

poleca Piotr Gociek

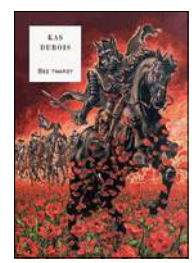

KAS, DUBOIS „BEZ TWARZY" EGMONT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Blanka Lipińska „365 dni" (Edipresse) – nadchodząca (niestety) ekranizacja odświeżyła sprzedaż polskiego bestsellera erotyczno-kryminalnego.***
2. ***Andrzej Sapkowski „Krew elfów" (superNOWA) – trzeci tom cyklu, ale pierwsza powieść o „Wiedźminie". Wznowienie na fali popularności serialu.***
3. ***Remigiusz Mróz „Rewizja" (Czwarta Strona) – obniżka ceny i serial TVN czynią cuda, to znaczy poprawiają gasnącą popularność cyklu o Chyłce.***
4. ***Andrzej Sapkowski „Czas pogardy" (superNOWA) – dzięki Netflixowi wszyscy chcą wiedzieć, co było dalej. Czwarty tom (druga powieść) sagi o Geralcie.***
5. ***Remigiusz Mróz „Immunitet" (Czwarta Strona) – Joanna Chyłka raz jeszcze, serii o dzielnej prawniczce tom czwarty. Powrót na listę.***

(Najchętniej kupowane tytuły w sieci księgarskiej BookBook, z wyłączeniem poradników)

eprasa.pl 2509c326de

Siedem odczuć folku

FOT. CRONICA

Folk wymieszany z metalem; dźwięki skrzypiec, liry korbowej, fletu z traktowaną ostro gitarą elektryczną. „Jeśli muzyka folkowa i jej chwytliwe melodie są bliskie Waszym sercom, a mocniejsze brzmienie gitar powoduje u Was przyjemne ciarki i szybsze bicie serca, to z całą pewnością musicie do nas dołączyć!" – reklamuje się zespół Cronica.

A reklamuje się, bo poprzez portal OdpalProjekt.pl zbiera pieniądze na wydanie nowego albumu. Zespół zawiązał się w 2014 r. Rok później pojawiła się ich pierwsza epka, ale ich pełnoprawna „duża" płyta ukazała się w roku 2016. Album „Na tej ziemi" został nieźle przyjęty i uznany za debiut udany. Od początku grupę stanowiło siedmioro muzyków: Dariusz Dąbek (wokal, gitara, sopiłka), Dawid Dubiel (perkusja, wokal), Magdalena Hałas (skrzypce), Adrianna Kania (instrumenty klawiszowe, lira korbowa, wokal), Katarzyna Karoń (wokal, flet poprzeczny), Remigiusz Majcher (gitara), Maciej Rzyman (gitara basowa).

Jak podkreślają, skład ten to „siedem muzycznych osobowości, wnoszących do zespołu swoje indywidualne odczucie folku". „Staramy się przenieść naszych słuchaczy w czasy średniowiecza, w świat mitów i legend będących obrazem filozofii, wierzeń i lęków Słowian, wikingów oraz innych fascynujących ludów Europy".

Pierwszym singlem promującym nadchodzącą, powstającą, wciąż potrzebującą finansowego wsparcia fanów płytę jest „Lustro", które Cronica pokazała światu razem z przeszło siedmiominutowym teledyskiem. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Bunt w stylu vintage

Zaangażowana politycznie grupa z Atlanty tworzy morderczą dyskotekę opartą na fuzji postpunkowej elektroniki, surowego bluesa, a nawet muzyki gospel.

„There Is No Year" to trzeci album kwartetu. Czarnoskóry Franklin James Fisher swe muzyczne korzenie czerpie z tradycji głębokiego południa USA, a wzorem dla niego jest twórczość Niny Simon. Wokalista z gorliwością aktywisty wykrzykuje w „Dispossession": „Biegnij / Uciekaj od swojej Ameryki / Kiedy paliło się na ulicach / Stałem tu, na szczycie góry / Wykrzykując o tym, co widzę…". Opis surowej rzeczywistości zgodnie z tradycją gospel w finale daje słuchaczowi cień nadziei: „Widziałem królów i żołnierzy / Obalonych i pochłoniętych / Biegnij i powiedz wszystkim ukrytym / Wolność niebawem nadejdzie".

Do tym podobnych deklaracji pozostali biali członkowie zespołu tworzą muzyczne podkłady przypominające luizjańską, piekąca potrawę gumbo. Ta polityczna ewangelia opiera się na szamańskim bluesie, pulsujących syntezatorach, industrialnych stukotach i zmechanizowanych beatach. Jest w tym wszystkim tęsknota za czasami, kiedy rock nie był wyłącznie zabawą. Symfoniczne techno wzywające do tańca niestety nie zawsze komponuje się z polityczną agitacją rodem z lat 60. Cóż – jak śpiewał Dylan – „Czasy się zmieniają". ©℗

★★★★★★

ALGIERS „THERE IS NO YEAR" MATADOR

★★★★★★

JOHN MCLAUGHLIN, SHANKAR MAHADEVAN, ZAKIR HUSSAIN „IS THAT SO?" ABSTRACT LOGIX

McLaughlin z Hussainem wraz z wokalistą Mahadevanem nagrali album modlitewny. Syntezatorowa gitara i nieskrępowana tabla tworzą piękną przestrzeń pod nieprawdopodobne wyczyny niezwykłego głosu.

★★★★★★

BILL FAY „COUNTLESS BRANCHES" DEAD OCEANS

Ceniony angielski autor zamilkł po dwóch albumach. Powrócił po 40 latach i właśnie wydał trzecią płytę po przerwie. Piękne introspektywne piosenki oparte na zmęczonym głosie i stonowanym instrumentarium. Wspaniała, emocjonalna odtrutka na cyfrową rzeczywistość. ©℗

eprasa.pl 2509c326de

BYŁY PONIEWIERANE, GŁODZONE
I W KAŻDEJ CHWILI MOGŁY STRACIĆ ŻYCIE.
JEDNAK PRZETRWAŁY.

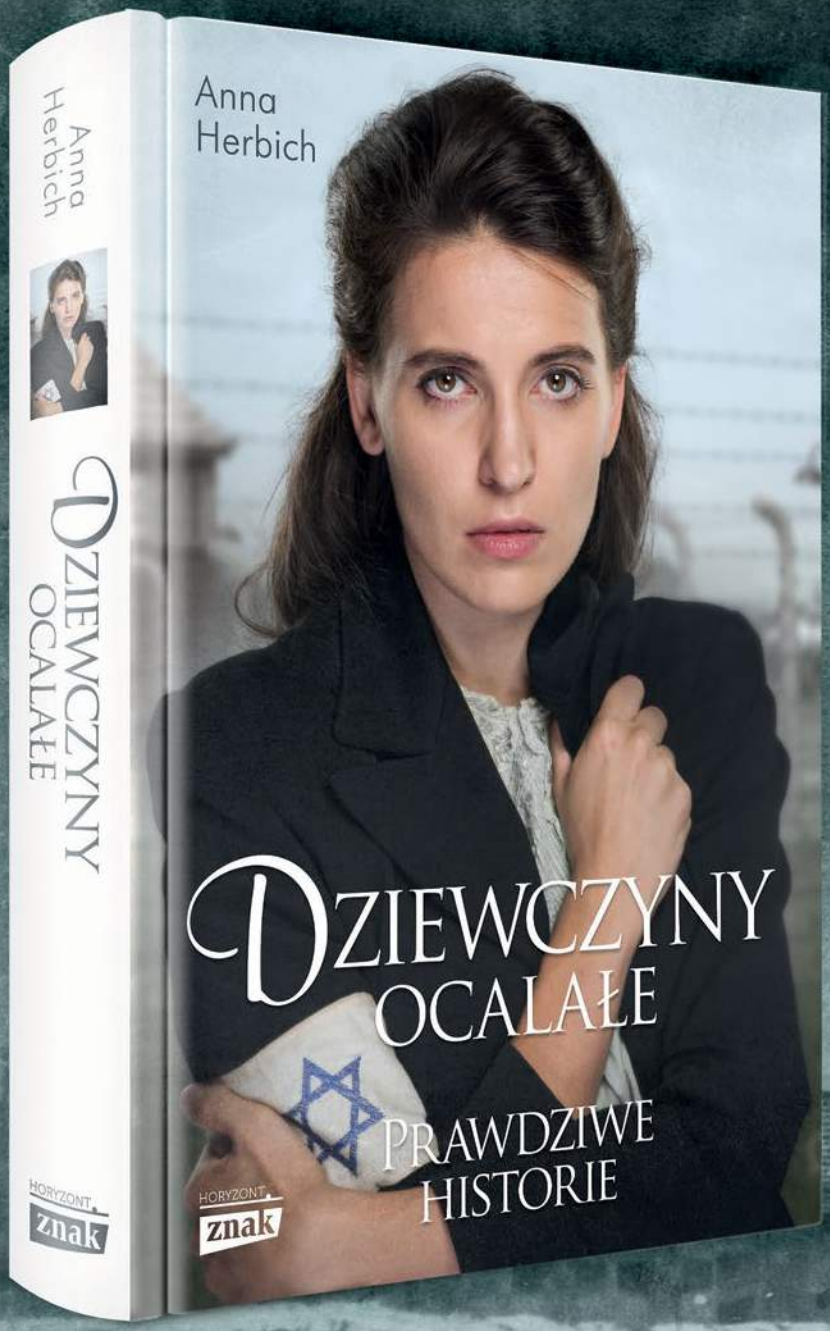

PREMIERA: 29 STYCZNIA

eprasa.pl 2509c326de

Europejski Zielony

Łukasz Warzecha

Rządy PiS nigdy nie przeciwstawiły się frontalnie idei polityki klimatycznej. Będzie to nas wszystkich drogo kosztować

Nie wiadomo, jak św. Grecia od Klimatu przybyła do Polski w ubiegłym tygodniu. Nie pochwaliła się. Prawdopodobnie przypłynęła promem – ale pamiętajmy, że ślad węglowy, który zostawiają statki, jest o niebo większy niż ten lotniczy. Nieładnie. Może zatem przyleciała samolotem? Ale jak to tak – przez Atlantyk jachtem, odbierając sobie dzieciństwo, a do bliskiej Polski raptem przez Bałtyk już nie? W każdym razie pojawiły się informacje, że św. Grecia przesiadła się do elektrycznej tesli blisko Bełchatowa, który był jej celem. Wcześniej, miejmy nadzieję, mknęła rowerem, bo przecież chyba nie wstrętnym spalinowym samochodem.

CO RADZI RADA

Z Greci można, a nawet należy się śmiać, ale uśmiech zastyga na ustach, gdy sobie uświadomimy, że 17-latkę wykorzystują jako symbol i wypychają do przodu ci, którzy na forsowaniu brutalnych regulacji klimatystycznych zamierzają robić interes. A jest to interes za setki miliardów euro. Jeszcze mniej będzie nam do śmiechu, gdy dotrze do nas, że Zielony Ład i neutralność klimatyczna to nie jest już dla Polski możliwość, z której możemy skorzystać lub nie. Wbrew triumfalnym – choć umiarkowanie – stwierdzeniom premiera po Radzie Europejskiej w grudniu, że Polska zostawia sobie czas na podjęcie decyzji co do swojego uczestnictwa w nowym reżimie, a uzależniamy to od pieniędzy, które mielibyśmy dostać – takiego wyboru tak naprawdę nie mamy.

Konkluzje szczytu Rady z 12 grudnia 2019 r. mówią w pierwszym punkcie:

„W świetle najnowszej dostępnej wiedzy naukowej i w związku z potrzebą zintensyfikowania globalnych działań na rzecz klimatu Rada Europejska zatwierdza cel polegający na osiągnięciu przez UE neutralności klimatycznej do 2050 r., zgodnie z celami porozumienia paryskiego. **Na tym etapie jedno państwo członkowskie nie może, jeżeli o nie chodzi, zobowiązać się do realizacji tego celu**; Rada Europejska wróci do tej kwestii w czerwcu 2020 r.".

Czytając uważnie wytłuszczone zdanie, zauważymy, że nie mówi ono wcale o tym, że Polska może uzyskać jakiś „opt-out", czyli wyłączenie, a jedynie o tym, że osiągnięcie wyznaczanych celów może nam zająć więcej czasu. Rezultat Rady Europejskiej z grudnia oznacza, że nie możemy sobie postanowić, iż w klimatystycznym szaleństwie (lub przekręcie) nie będziemy brać udziału i spokojnie pozostaniemy sobie poza nim z naszymi węglowymi elektrowniami. Po pierwsze dlatego, że zobowiązanie wzięcia udziału w tym mechanizmie już na siebie przyjęliśmy; dyskusyjna jest wyłącznie data końcowa. Jednak też dlatego, że mechanizmy neutralności klimatycznej są włączone w resztę unijnego systemu dotyczącego emisji CO_2 i nie da się ich z niego wyizolować na potrzeby Polski. Dotyczy to choćby ETS, czyli systemu handlu emisjami. To on sprawia, że prąd w Polsce staje się coraz droższy.

Bardzo trudno też wyobrazić sobie polityczną decyzję nieuczestniczenia w mechanizmie, który w tak ogromnym stopniu może zaszkodzić tylko Polsce – wszystkie inne kraje są mniej narażone. To konsekwencja postawy, którą rząd PiS przyjął od początku swojego istnienia, od 2015 r. Najpierw gabinet Beaty Szydło, potem Mateusza Morawieckiego nigdy nie przeciwstawiły się frontalnie samej idei polityki klimatycznej – przeciwnie, w miarę możliwości starały się być w jej głównym nurcie. To dzisiaj stawia nas w znacznie gorszej sytuacji. Gdyby w tej dziedzinie Polska od początku działała zdecydowanie i jasno sygnalizowała, że nie zamierza zgodzić się na podwyższenie poprzeczki po raz kolejny, łatwiej byłoby wiarygodnie i skutecznie bronić sprzeciwu wobec Europejskiego Zielonego Ładu (EZŁ). Być może łatwiej też byłoby znaleźć sojuszników. Jednak PiS wybrał zamiast tego walkę o personalne zmiany w sądownictwie – a w dwóch sprawach batalii z Brukselą prowadzić się nie da.

SUKCES MNIEMANY?

Trzeba też obnażyć miałkość rządowej narracji – która z pewnością powróci w czerwcu, jeśli oczywiście wynik finansowych negocjacji da się w ogóle obronić – mówiącej, że może neutralność klimatyczna nie jest dla nas szczególnie korzystna, ale przecież dostaniemy od UE pieniądze na modernizację naszej energetyki. Komisja Europejska dopiero

eprasa.pl 2509c326de

Ład

FOT. ADOBE STOCK

co opublikowała informację, zgodnie z którą plan neutralności klimatycznej ma uruchomić inwestycje o skali biliona euro – na całą Unię. To jednak jedynie szacunki dotyczące pieniędzy, które ma uruchomić nowa regulacja. Co ważne, obejmują one również to, co zainwestują biznesy intensywnie lobbujące za jak najdalej idącymi obostrzeniami – bo jest to w ich interesie. Nie mówimy tu przecież o jakiejś idealistycznej batalii o planetę – to bajeczka dla naiwnych – ale o gigantycznym biznesie, opartym nie na wolnym rynku i swobodnych decyzjach konsumentów, lecz na odgórnych regulacjach.

Natomiast sama UE zamierza uruchomić pakiet pomocowy wielkości raptem 100 mld euro. Także na całą UE. Żeby uzmysłowić sobie mizerną skalę tego programu, wspomnijmy, że polskie spółki, odpowiadające za infrastrukturę energetyczną, zamierzają w nią zainwestować w ciągu zaledwie czterech lat ok. 23 mld zł, czyli prawie 5,5 mld euro. To koszt utrzymania jej przy życiu, nieuwzględniający choćby wzrostu liczby aut elektrycznych, a co za tym idzie – gigantycznego obciążenia sieci przez szybkie ładowarki. Na to Polska w ogóle nie jest przygotowana i m.in. dlatego plany elektromobilności w naszym kraju można włożyć między bajki.

Warszawa pokłada nadzieję na lepszy miks energetyczny w budowie farm wiatrowych na morzu. Tutaj koszt w przeliczeniu na jeden megawat spadł w ciągu ostatnich lat i teraz jest szacowany na 2,5 mln euro. Tyle że konwencjonalna elektrownia węglowa ma moc nieporównywalnie większą. Jedna turbina wiatrowa o średnicy śmigła ok. 50 m generuje 1 MW. Najnowszy blok drugiej co do wielkości w Polsce konwencjonalnej elektrowni Kozienice ma moc 1075 MW. Innymi słowy, żeby zastąpić tylko ten jeden blok, trzeba by wybudować ponad tysiąc przeciętnych siłowni wiatrowych.

Unijne domiary będą jednak coraz mocniej obciążać prąd z węgla, za co będziemy płacić w rachunkach. A wiadomo już, że wbrew początkowym zapowiedziom rządu rekompensaty obejmą tylko najsłabiej sytuowanych. Zresztą żeby rząd miał na nie pieniądze, musi je przecież komuś najpierw zabrać.

Czystą energię generują siłownie jądrowe. Tyle że tutaj obecna władza poszła w ślady Platformy Obywatelskiej: przez ponad cztery lata sprawowania rządów PiS nie wyznaczył nawet miejsca pod pierwszą polską elektrownię atomową. Pierwszy blok o mocy 1–1,5 GW miałby być gotowy do 2033 r., ale ten termin wydaje się coraz bardziej nierealny. Jak przyznawał w listopadzie Piotr Naimski, pełnomocnik rządu do spraw infrastruktury krytycznej, żeby tego terminu – i tak już przesuniętego wobec zamierzeń, które deklarował jeszcze rząd PO – dotrzymać, kwestia finansowania budowy musiałaby się rozstrzygnąć w tym roku. Nic o tym nie słychać.

Co gorsza, dopiero co okazało się, że najprawdopodobniej nie możemy w tej sprawie liczyć na główny fundusz związany z planem neutralności klimatycznej, ponieważ – ku ogólnemu zaskoczeniu – projekt rozporządzenia Komisji Europejskiej w sprawie Funduszu Sprawiedliwej Transformacji nie uwzględnia energetyki jądrowej. To oczywiście na razie tylko projekt, a o dofinansowanie polskiej budowy można się starać z innych unijnych źródeł, ale jeśli rozporządzenie przejdzie w tej postaci – a Polska nie prowadzi tutaj w zasadzie żadnego lobbingu – będzie to oznaczać, że najwydajniejszy projekt energetyczny w Polsce na te pieniądze nie może liczyć.

Przede wszystkim jednak musimy sobie uświadomić, że ogół działań na rzecz ekologii w ramach UE – nie tylko w ramach EZŁ – oznacza stopniową pauperyzację Polaków, spadek zamożności i wzrost cen. Poza prądem widzimy to już w innych dziedzinach. Jeśli ktoś chce dzisiaj kupić nowy samochód, to musiał zauważyć wyraźny wzrost cen. Jest to związane m.in. z tym, że nowe modele z silnikami benzynowymi, sprzedawane od tego roku na terenie UE, muszą już być wyposażone w niesławne filtry cząstek stałych, dotychczas obecne tylko w dieslach i będące utrapieniem właścicieli. Za te nowinki płacą oczywiście klienci – i to podwójnie, bo raz przy zakupie, a potem w postaci zwiększonych kosztów obsługi.

KTO ZAPŁACI ZA EKOHISTERIĘ

Szykują się kolejne koszty. W tym roku padnie propozycja objęcia handlem emisjami transportu morskiego i ograniczenia uprawnień dla transportu lotniczego. Szykujmy się na wzrost cen biletów. Oberwą oczywiście również przewoźnicy. Czekać nas może jeszcze większe szaleństwo, gdyby swego dopięli choćby niemieccy Zieloni, domagający się likwidacji krajowych połączeń lotniczych ze względu na ich nieekologiczność. O pomysłach na reglamentowanie latania nie wspominając.

Kalendarz realizacji EZŁ to kilkanaście pozycji. Większość przypada już na czas po wyborach prezydenckich, które wydają się wyznaczać horyzont rządzących. To m.in. kolejna propozycja podniesienia celu redukcji CO_2 (czerwiec), wspomniana propozycja większych restrykcji wobec transportu morskiego i lotniczego czy propozycja zniesienia subwencji dla paliw kopalnych (czerwiec 2021 r.).

Neutralność klimatyczna od roku 2050, nawet jeśli można mieć nadzieję, że jest celem utopijnym i że cały plan zawali się w ciągu kilkunastu lat, to pod gruzami będzie wiele ofiar. Jedną z nich będzie nasz poziom i komfort życia. Komisja Europejska szacuje dzisiaj, że EZŁ będzie wymagał – uwaga! – dodatkowych 290 mld euro inwestycji rocznie na infrastrukturę energetyczną! Szacunki kosztu transformacji w naszym kraju to ponad pół biliona euro, czyli pięć razy więcej niż cały Fundusz Sprawiedliwej Transformacji. Na jednego Polaka przypada ponad 13 tys. euro, czyli ponad 55 tys. zł. Zapłacimy wszyscy.

Groza sytuacji polega na tym, że machina nabrała rozpędu, a hamulcowego nie widać. W działaniu jest wielu niewidocznych dla przeciętnego Polaka interesariuszy, którzy na Zielonym Ładzie zbiją fortuny – kosztem zwykłych ludzi. Jeszcze większym dramatem jest, że gigantyczny wysiłek finansowy, idący w biliony euro, jest podejmowany w atmosferze histerii, pod dyktando szwedzkiej nastolatki, która przecież tak naprawdę jest słupem potężnych interesów, oraz na podstawie potężnie się od siebie różniących hipotez, modeli i niepewnych przewidywań. Tyle że pieniądze są realne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

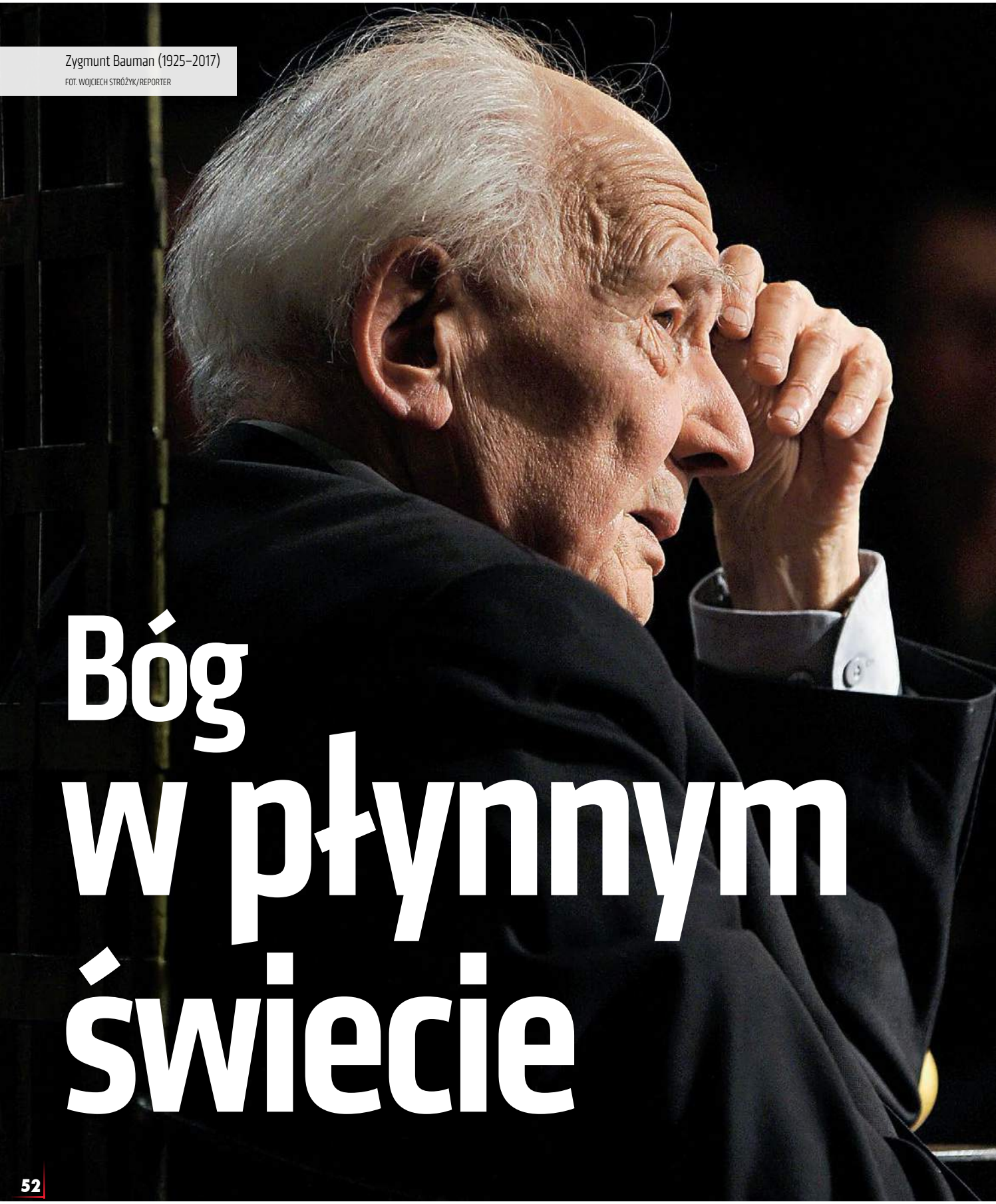

Zygmunt Bauman (1925–2017)
FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Bóg w płynnym świecie

eprasa.pl 2509c326de

ks. Przemysław Artemiuk

Zygmunt Bauman interesował się wieloma aspektami ludzkiego życia, także religia znalazła się pod lupą jego analiz. Niektórzy sądzą nawet, że na przestrzeni lat ewoluował stosunek socjologa do chrześcijaństwa, a on sam zmierzał do aktu wiary. Czy rzeczywiście tak było?

Postać zmarłego w 2017 r. Zygmunta Baumana zdaje się stale obecna w przestrzeni intelektualnej. Tylko ostatni rok przyniósł niepublikowane dotąd rozmowy socjologa z Peterem Haffnerem („Bauman. Czynić swojskie obcym") z lat 2014 i 2016. W październiku zeszłego roku pojawiła się pierwsza polska biografia Baumana pióra Dariusza Rosiaka. Wcześniej nakładem Wydawnictwa PWN ukazały się ostatnie prace socjologa: „Obcy u naszych drzwi" oraz „Retropia. Jak rządzi nami przeszłość". Można odnieść wrażenie, że zainteresowanie myślą naukowca z Leeds nie słabnie, a recepcja jego idei trwa. Niezależnie jednak od pojawiających się nowych przekładów jego prac oraz publikacji naukowych poświęconych wybranym wątkom jego twórczości jest coś zastanawiającego w fascynacji teoriami polskiego socjologa. Ulegają im nie tylko środowiska nowej lewicy, wyraźnie identyfikujące się z ideami Baumana i hołubiące socjologa z Leeds, lecz także intelektualiści różnej maści. Mam wrażenie, że wszyscy oni chcą obronić osobę i dziedzictwo Baumana za wszelką cenę, kładąc na szali przede wszystkim prawdę jako wartość najwyższą i absolutną.

Nie inaczej czyni Dariusz Rosiak. W biografii Baumana napisanej w sposób interesujący, solidnie udokumentowanej (wywiady, książki socjologa, spotkania ze świadkami), w gruncie rzeczy wystawia polskiemu socjologowi najwyższą ocenę. Odnoszę wrażenie, że zupełnie banalizuje jego przeszłość związaną ze służbą w KBW. Przyjmuje na wiarę wyjaśnienia naukowca. Dla biografa problemem nie jest marksizm, do którego otwarcie przyznawał się socjolog i któremu pozostał do końca wierny. Przypomnijmy, że najważniejsze pojęcie stworzone przez socjologa, czyli płynność, ma wyraźnie marksistowską etiologię. Bauman, w przeciwieństwie do Kołakowskiego, nigdy z dziedzictwem przeszłości nie zerwał. Lewicowym ideom pozostał wierny do końca.

Sięgając po książkę Rosiaka, liczyłem na większy krytycyzm, dystans i obiektywizm, cechujące jego wcześniejsze prace. Zniuansowane spojrzenie przynosi dopiero rozdział „Płynność", będący próbą podsumowania twórczości Baumana. Tutaj w końcu Rosiak dopuszcza krytyków do głosu. Kreślony do tej pory przez biografa wizerunek socjologa nie jest już tak spójny i jednoznaczny. Nie wszyscy widzą w Baumanie genialnego naukowca. Dla wielu „był ofiarą własnego talentu", bo pisał za szybko, za mało refleksyjnie. Jego idee pozostały intuicjami, które wymagały dopracowania i dłuższego przemyślenia. Socjologowie widzieli w nim przede wszystkim wizjonera. Niektórzy nawet „intelektualnego biznesmena", który porzucił badania na rzecz narracji i wyjaśniania rzeczywistości. Sam Bauman z kolei, odwołując się do rozmaitych teorii społecznych, doskonale wyczuwał kierunki zmian. Posługiwał się chwytliwym językiem, najeżonym metaforami. Czarował czytelników i słuchaczy. Z jednej strony straszył bezdusznym kapitalizmem, jako alternatywę proponując powrót do lewicowej wrażliwości, z drugiej zaś, konsekwentnie opisywał ponowoczesność, pełną pustki i samotności. Chciał ludziom dać nadzieję. Dlatego proponował własną wersję „moralności bez etyki". Będąc eklektykiem, obficie czerpał od innych. Był, i to jest chyba najlepsze określenie, które sugeruje Rosiak i wielu innych znawców myśli Baumana, narratorem, „interpretatorem świata, opisywaczem". Może właśnie dlatego nie stworzył żadnej szkoły socjologicznej. Brak było w jego otoczeniu uczniów. Zostały po nim, zauważa Tomasz Kunz, przede wszystkim metafory, którymi objaśniał świat i procesy w nim zachodzące. W taki właśnie sposób, nieco poetycki, definiował epokę, w której przyszło mu żyć, czyli ponowoczesność.

Bauman interesował się wieloma aspektami ludzkiego życia. Także religia znalazła się pod lupą jego analiz. Niektórzy sądzą nawet, że na przestrzeni lat stosunek socjologa do chrześcijaństwa ewoluował, a on sam zmierzał do aktu wiary. Czy rzeczywiście tak było? Bauman przyznawał się jedynie do przyjęcia bar micwy. O innych praktykach nie wspominał. Jaki więc był stosunek socjologa do Boga, chrześcijaństwa i religii?

BÓG SKROJONY NA LUDZKĄ MIARĘ

W rozmowach z Peterem Haffnerem Bauman otwarcie przyznaje się do niewiary, chociaż uważa, że Bóg człowiekowi jest nad wyraz potrzebny. Jego uzasadnienie jest następujące: „Myślę, stwierdza socjolog, że jestem ateistą. Nie wierzę w Boga osobowego. Ale wierzę w niezbędność Boga dla naszego przeżycia". Takie stwierdzenia, zdaniem Baumana, wcale nie brzmią paradoksalnie. Jest to raczej część kondycji ludzkiej. Człowiek bowiem, doświadczając słabości, niemocy i przemijalności, przypuszcza, że „musi być poza i nad nim siła, która wszystko scala".

Socjolog uważa, że wszyscy są producentami zapotrzebowania na religię i nie są wcale do tego potrzebni duchowni. „Muszę wyznać, stwierdza, że nie jestem człowiekiem religijnym. Ale z upływem lat coraz wyraźniej widzę, jak ważna jest religia. Co oznaczają wiara i transcendencja? Uważa, że bez nich niewyobrażalny jest humanitaryzm. Nie każdy z nas może być świętym, ale nie bylibyśmy również ludzcy, gdyby nie trafiali się wśród nas święci. Wskazują nam drogę, pokazują, że można nią iść. I wzbudzają w nas wyrzuty sumienia, kiedy wzbraniamy się, nie chcemy zobaczyć tej drogi i nią pójść. Zawsze wznosimy oczy ku czemuś większemu niż my. Jeśli nie jest to Bóg, szukamy czegoś w zamian – pogoń za zyskiem, kult pieniądza albo ubóstwienie technologii, której przypisujemy dziś nadprzyrodzone możliwości". Czy jednak jest to rzeczywisty powrót religii? Zdaniem socjologa mamy obecnie do czynienia raczej z renesansem duchowości. „Ludzie nie wracają do Kościołów, lecz do czegoś wewnętrznego, stojącego ponad codziennym życiem, z dala od codziennego trudu".

Niezależnie jednak od tych dystynkcji religia według Baumana pozostaje czymś nieodzownym. „Jestem przekonany, stwierdza socjolog, i na tym przekonaniu opierają się wszystkie

eprasa.pl 2509c326de

moje rozważania na temat religii, że Bóg umrze wraz z ludzkością. Mówiąc inaczej, uważam, że ludzkość bez idei Boga jest nie do wyobrażenia. Jak długo żyjemy, potrzebujemy Boga". Pozostaje jednak najważniejsze pytanie: Jakiego Boga? Tego skrojonego na naszą miarę czy Boga objawiającego się człowiekowi i pozwalającego Siebie poznać. Na ten temat jednak Bauman milczy. Dostrzega, zresztą nie on jeden, wystarczy wspomnieć Petera Sloterdijka i jego koncepcję pochodzenia religii, potrzeby religijne człowieka, jego duchowe pragnienia, jednak temat realności Boga osobowego nie pojawia się w twórczości socjologa. Absolut pozostaje jedynie konstruktem ludzkiego umysłu. Dlatego wraz ze śmiercią człowieka umiera także idea Boga. Czym w takim razie jest sama religia? Jak definiuje ją Bauman?

PRÓBA DEFINICJI RELIGII

Pojęcie religii, szczególnie chrześcijaństwa, jest dla socjologa z Leeds nieco kłopotliwe, ponieważ rozumiemy je do momentu, kiedy żąda się od nas jego definicji. Czasy nowożytne skazały religię na banicję, gdyż nowoczesny, naukowy rozum nie mógł sobie z nią poradzić. Jednak „umysł ponowoczesny dla odmiany, z natury łagodniejszy od swego poprzednika i bardziej świadom ułomności ludzkiej wiedzy, zdjął z tego rodu piętno hańby i wydał mu [czyli religii] prawo stałego pobytu. Umysł ponowoczesny pogodził się z faktem, że definicje tyleż ukrywają, co odsłaniają, i że kaleczą one i zaciemniają to, co rzekomo mają naprostować i objaśnić".

Ponowoczesnej refleksji nad religią, zauważa Bauman, nie towarzyszy perspektywa „zamknięcia świata w klatce sztywnych kategorii i klarownych podziałów". Szukając rozumienia religii i religijności, nie tyle trzeba sprzeczać się o poprawną definicję, ile raczej „zogniskować uwagę na tym, »jak działały do tej pory mechanizmy społeczne«, które te zjawiska wytwarzały i odtwarzały, »wyjaśniając, na jakich to założeniach, na jakich znanych nam skądinąd, niekwestionowanych i nierozważanych sposobach myślenia i przez nas akceptowanych praktykach zjawiska te się wspierały«. W przypadku religii takie uskromnienie zamiarów jest bardziej jeszcze na miejscu niż w przypadku innych zjawisk – religijność bowiem to, koniec końców, nic innego jak przeczucie granic tego, co my, ludzie, jesteśmy w stanie pomyśleć i zrobić".

Bauman uważa, że poprawne odczytanie mechanizmów społecznych kształtujących religię w wystarczającym stopniu wyjaśni, czym ona jest w swej istocie. Ludzie ponowocześni, zauważa socjolog, dotknięci ontologiczną niepewnością, są skazani na ustawiczne wybieranie. Dlatego potrzebują poradnictwa. Jednak ta odmiana niepewności nie rodzi zapotrzebowania na wizje eschatologiczne charakterystyczne dla religii. „Ludzie nękani przez niepewność ponowoczesnego typu nie mają głowy do kaznodziei, napominających o ludzkich słabostkach i wątłości ludzkiego rozumu i ludzkiej woli. Przeciwnie – szukają takich doradców, którzy przekonywać ich będą, że nie brak im niczego, co do pomyślnego życia potrzebne, i wskażą palcem, gdzie to, co trzeba, znaleźć; którzy dodadzą otuchy – dowodząc, że na każdą biedę jest sposób i klienci/pacjenci potrafią wszystkiego, co trzeba, dokonać, jeśli tylko słuchać będą porad i przyłożą się gorliwie do ich wykonania".

Spojrzenie Baumana na chrześcijaństwo było płaskie, pozbawione wymiaru transcendentnego. Kwestia objawienia i Boga osobowego nie pojawiała się zupełnie w refleksji socjologa

Czy jednak nie ma w nich pragnień duchowych? Z pewnością są, ale zdaniem Baumana wewnętrzne zmagania to jedynie czynności ludzkie, w których liczy się przede wszystkim kwestia techniczna, a więc nabranie niezbędnych umiejętności, potrzebne do opanowania odpowiedniej technologii. Ich realizację socjolog nazywa „zbieractwem doznań", poszukiwaniem „punktów szczytowych".

PLURALIZM ZAMIAST MONOTEIZMU

Religia z pewnością intryguje Baumana jako socjologa. Na ten wymiar ludzkiej aktywności patrzy on chłodnym okiem, domagając się od wspólnot wyznaniowych i Kościołów zachowania – zgodnie z duchem własnej filozofii – pluralizmu, porzucenia przywiązania do prawdy i odejścia od monoteizmu, a zatem wyzbycia się tożsamości wyznaniowej, w imię nieokreślonej polis religijnej, która prowadzi do osłabienia i ostatecznie zaniku struktur instytucjonalnych poszczególnych wspólnot.

Joanna Tokarska-Bakir uważa, że „Bauman uprawiał refleksję teologiczną, ale taką, w której Bóg nie miał prawa się pojawić". Zdaniem tłumaczki widać to wyraźnie w jego „Etyce ponowoczesnej". Chociaż socjolog nie udziela w tej pracy jednoznacznych przepisów etycznych ani nie ma „żadnego innego patentowego środka na moralną pewność siebie i spokój sumienia", to jednak podejmuje namysł nad etyką. Jego zdaniem „wielkie zagadnienia etyczne, takie jak prawa człowieka, sprawiedliwość społeczna, równowaga między pokojowym współistnieniem a wymogami samostanowienia, koordynacja interesów jednostkowych i dobra wspólnego, nie straciły na aktualności". Trzeba jedynie, zauważa Bauman, zajmować się nimi w nowy sposób. Wszystko bowiem „uległo zmianie wraz ze stopniowym rozluźnieniem się uchwytu tradycji […] i wraz z pomnażaniem się względnie autonomicznych układów, między które dzielić się poczęło życie rosnącej liczby ludzi".

KRYTYKA

Stosunek Baumana do religii uwarunkowany był zarówno oświeceniowymi kliszami, jak i ponowoczesną retoryką. Socjolog uważał, że człowiek jest w stanie dać sobie radę, żyjąc sam, bez Boga. Przeświadczenie o ludzkiej niesamowystarczalności, które głosił chociażby Kołakowski, Bauman odrzucał. Uciekał przy tym od definicji religii. Charakteryzował jedynie jej przejawy. Postulował większą otwartość chrześcijaństwa na świat i przyjęcie przez nie pluralistycznego paradygmatu. Utożsamiał wierność zasadom religijnym z fanatyzmem. Spojrzenie Baumana na chrześcijaństwo było płaskie, pozbawione wymiaru transcendentnego. Kwestia objawienia i Boga osobowego nie pojawiała się zupełnie w refleksji socjologa. Ponowoczesność, jego zdaniem, ukazała nieprzystosowalność monoteistycznej wiary do współczesnego świata. Bauman wobec religii zachował podejście chłodne i pełne dystansu. W jego twórczości nie odnajduję żadnego dowodu na pragnienie „aktu wiary", pojawia się za to jednoznaczna deklaracja ateizmu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest teologiem fundamentalnym, adiunktem na Wydziale Teologicznym UKSW, przewodniczącym Stowarzyszenia Teologów Fundamentalnych w Polsce.

eprasa.pl 2509c326de

AZJA Z DWÓCH RÓŻNYCH PERSPEKTYW

WYDAWNICTWO SINE QUA NON

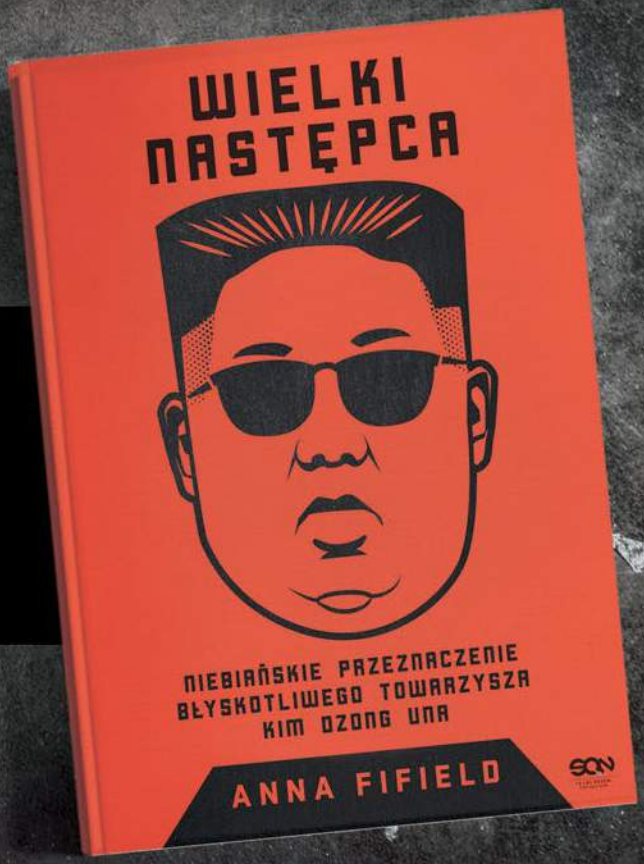

"TO, CZEGO SIĘ DOWIEDZIAŁAM, NIE WRÓŻY DOBRZE DWUDZIESTU PIĘCIU MILIONOM LUDZI WCIĄŻ UWIĘZIONYM W KOREI PÓŁNOCNEJ."

SPRAWDŹ NA **WWW.WIELKINASTEPCA.WSQN.PL**

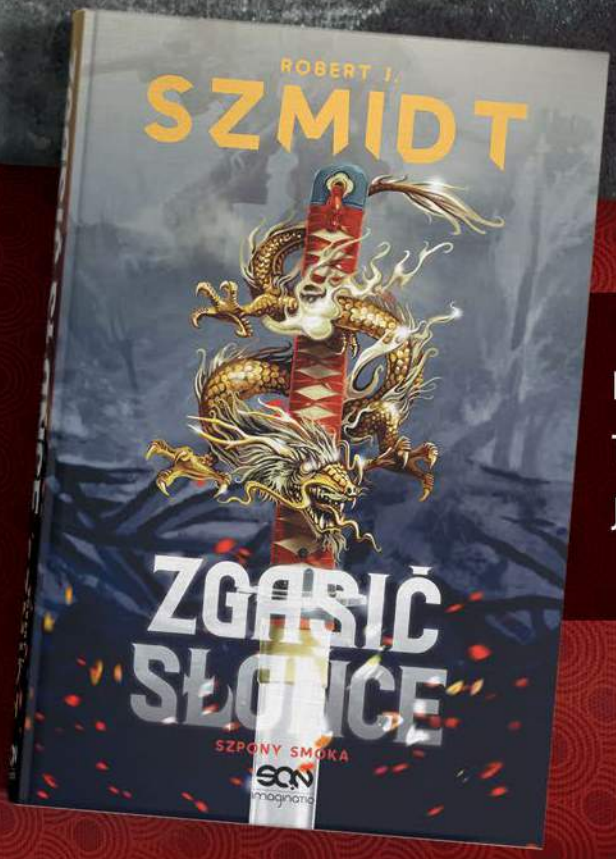

PIŁSUDSKI VS AMATERASU

TECHNOLOGIA KONTRA PODNIEBNE BESTIE

JAPONIA PRZECIW RESZCIE ŚWIATA

PREMIERA **29.01.20**

znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja

eprasa.pl 2509c326de

polemika DO RZECZY

Tomasz Rowiński

Być może trzeba dokończyć przerwany Sobór Watykański I i wrócić do uściślenia kwestii prymatu, a także nieomylności papieża. Wydaje się, że prawie powszechna stała się opinia w Kościele, że Ojciec Święty może wszystko

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

Papiestwo do remontu

Burza, która nastąpiła przed wydaniem książki kard. Roberta Saraha i Benedykta XVI poświęconej celibatowi katolickich kapłanów, ucichła tak szybko, jak wybuchła. Książka ukazała się – mimo wątpliwości podanych przez sekretarza papieża emeryta abp. Georga Gänsweina – jako pozycja dwóch autorów, a nie jako książka kardynała „z udziałem Benedykta XVI". Mówi się wprawdzie, że kolejne wydania mają już pojawiać się w takiej formule. Jednak co to właściwie znaczy? Co znaczą kolejne wydania w świecie dodruków? Pamiętajmy, że Georg Gänswein jest także prefektem Domu Papieskiego, a zatem służy zarówno Benedyktowi, jak i Franciszkowi. Czy zatem nie stał się częścią jakiejś intrygi? Tego nie wiemy. Ostatecznie ważne jest to, że Benedykt XVI w swoim głębokim i znakomitym stylu opublikował esej teologiczny, który rozchodzi się jak świeże bułeczki.

KRYZYS

Cała ta sprawa nieuchronnie musiała spowodować, że publicyści i komentatorzy zaczęli powracać do tego, jak wiele problemów Kościołowi przysporzyła abdykacja Benedykta XVI. Na łamach „Do Rzeczy" (4/2020) na tę sprawę zwracał uwagę Krystian Kratiuk w artykule „Długi cień abdykacji".

Na rozmaite sposoby, łagodnie lub mniej łagodnie, zwracano uwagę na ten akt papieski jako na przyczynę dzisiejszego kryzysu tej najważniejszej obecnie instytucji świata katolickiego. Niewątpliwie, gdyby Benedykt XVI nie ustąpił, oszczędzone by nam było wiele zmartwień w życiu Kościoła. Czy nie pojawiłyby się inne, związane ze słabością zdrowia ponad 90-letniego papieża? Tego już się nie dowiemy, to byłaby historia alternatywna.

Uważam jednak, że forma istnienia i funkcjonowania papiestwa, ta, którą znamy od XX w., a której korzenie są nawet wcześniejsze, i bez abdykacji Benedykta XVI zmierzała do kryzysu. Co więcej, powiedziałbym, że się w nim od dawna znajdowała. Pewne jego objawy możemy zauważyć już za czasów Piusa XII i nie przechodziły one niezauważone. Filozof Gustave Thibon, któremu nie można zarzucić, że nie był człowiekiem Kościoła, pisał w latach 40. XX w. o zagrożeniu „rodzajem dziecinnego kultu osoby papieża". Na pewno objawy kryzysu były widoczne za Pawła VI, kiedy to papież praktycznie postawił się ponad starożytną tradycją liturgiczną, o której Sobór Watykański dopiero co zdążył powiedzieć, że jest ona „źródłem i szczytem życia chrześcijańskiego". Zamiast ją odnowić, odkurzyć, tak by bardziej skupiała pobożność wierzących, pozwolił, by zastąpiła ją niezbyt udana nowa liturgiczna forma, a na szerzenie się pogłoski o zakazaniu starszej formy nie reagował. Za pontyfikatu Jana Pawła II całkowicie trafnie kard. Joseph Ratzinger w „Duchu liturgii" zauważał, że wraz z nowoczesnością rośnie w Kościele pokusa, by papieże traktowali swoją władzę w kategoriach politycznego absolutyzmu. Apogeum tego wzrostu przyszły papież Benedykt XVI umieszczał nie w osnutych nieraz czarną legendą czasach potrydenckich czy za pontyfikatu Piusa X i jego sylabusa błędów, ale właśnie po Soborze Watykańskim II, gdy z papiestwem powiązano wielkie nadzieje na nową ewangelizację. Ratzinger zauważył jednak, że w tym projekcie papież przestał być sługą tradycji, a stał się wielkim projektantem coraz to – rzekomo – nowych i lepszych narzędzi głoszenia Dobrej Nowiny.

Od dawna przecież oglądamy zanik rzeczywistego podporządkowania papieża swojemu urzędowi na rzecz „turbopapiestwa", które oznacza m.in. przesuwanie się kościelnej pozycji papieża w kierunku tyranii – w zależności od perspektywy: dobrej lub złej – w której od woli władcy, a nie

eprasa.pl 2509c326de

zadań urzędu, zależy umacnianie – lub nie – przekazywanie wiary. Władca absolutny wiarą zarządza, a nie jest jej posłuszny. Elementem tego zjawiska jest też coraz wyraźniejsze stawanie się przez papieża ikoną popkultury miast głosem wiary katolickiej w świecie. Za papieża Franciszka nierzadkie stało się nawet dystansowanie Ojca Świętego od wspólnoty wiernych. Wreszcie dochodzi do tego emancypacja papieża od tradycji jako rzeczywistości, w której wierzący żyją, która daje fundament rozumienia relacji z Bogiem, Chrystusem, Kościołem.

Dzisiaj mamy eksplozję neoultramontanizmu, papolatrii gotowej odrzucić wszystko, co było wiarą Kościoła w imię lojalności wobec biskupa Rzymu. Szczególnie jeśli Rzym daje nadzieję realizacji określonego programu, a przynajmniej wydaje się nie przeszkadzać i patrzeć przez palce na ryzykowne eksperymenty. Czy ta swoista zasada „tylko papiestwo" nie przypomina protestanckich haseł „tylko pismo" czy „tylko łaska"? Czy ten realizujący się model papiestwa nie wprowadza do katolicyzmu – który dzięki swojemu oparciu na rozumności wiary bardziej niż na uległości władzy potrafił włączać do „owczarni Chrystusa" rozmaite kultury – nieustannego podziału, który musi wynikać z sytuacji, gdy wielu ludzi za wiarę będzie brało przekaz dnia płynący z ust papieża? Wiemy, jak bywa on niepewny czy zniekształcony przez media. Gdy nie ma nic stałego, wszystko jest podzielone.

DWÓCH PAPIEŻY

Taka degeneracja Urzędu Piotrowego była już dojrzała w roku 1978, wystarczy zajrzeć do źródeł, by zobaczyć, jakie nadzieje wiązano z pontyfikatem Jana Pawła II, jak liczono, że młody papież przeprowadzi zmiany, na które i dziś naciskają kościelni progresiści. Wyobraźmy sobie, że w roku 1978 papieżem zostaje osoba pokroju Jorge Maria Bergoglia, a nie Karol Wojtyła, i przyłóżmy do tego konkretne sprawy: teologię wyzwolenia, moralność małżeńską itd. Wojtyła pozycję podupadłego papiestwa ratował przez większość pontyfikatu siłą swej stalowej wiary, ale i woli, a jednocześnie przez to naprężenie, aktywność i hipermedialność dalej rozsadzał osłabły urząd. Miało się wrażenie, że papież został Wojtyłą, a nie Wojtyła papieżem. Jan Paweł II był dla katolików przykładem dobrotliwego władcy absolutnego. Polscy biskupi obawiali się podjąć jakąkolwiek decyzję bez jego przychylności. Jego liczne encykliki i inne teksty oraz wypowiedzi, które dziś stały się punktem odniesienia dla ortodoksyjnych katolików, do których przyznawanie się jest rozpoznawane jako tradycjonalizm, pisał on i wydawał, bo chciał, a nie dlatego, że będąc na urzędzie, inaczej nie mógł. Prawdopodobnie gdyby nie chciał, w posoborowym zamieszaniu mógłby stać się prawdziwym kościelnym rewolucjonistą.

To, co uważano u Benedykta za słabość – np. że nie narzucił Kościołowi powrotu do dawnej liturgii, choć o nowej krytycznie się wypowiadał – było próbą wyhamowania rozpędzonej siły, zmierzającej ku ustanowieniu w Kościele władzy absolutnej. Zadziałał jak papież, którego rolą nie jest negowanie przeszłości, ranienie wiernych, którzy mogą być przywiązani nawet do nie najszczęśliwiej ustanowionych form wiary (patrz nowa msza). Był jak ogrodnik, który pozwala wybić się nowym pędom, gdy te nieco starsze, czasem skarłowaciałe, chciałyby je przydusić. Był tylko jeden warunek – wypełnione musiały być reguły wiary, a nie osobista opinia papieża. W inauguracyjnej homilii swojego pontyfikatu mówił wystarczająco wyraźnie: „Moim prawdziwym programem jest to, by nie realizować swojej własnej woli, nie kierować się swoimi ideami, ale wsłuchiwać się z całym Kościołem w słowo i w wolę Pana oraz pozwolić się Jemu kierować, aby On sam prowadził Kościół w tej godzinie naszej historii".

Czy swoista zasada „tylko papiestwo" nie przypomina protestanckich haseł „tylko pismo" czy „tylko łaska"?

Ostatecznie niedokończony Sobór Watykański I nie zatwierdził papieskiego absolutyzmu. W konstytucji potwierdzającej dogmat o nieomylności papieskiej nieomylność w sprawach wiary połączona jest z mocą urzędu, a „urząd" oznacza tu zintegrowanie papieża z tradycją i zadaniem pozostawionym mu przez Chrystusa, a nie głoszenie „nowych nauk". Obrazowo przedstawił to jakiś czas temu w jednej z amerykańskich telewizji posługujący w diecezji nowojorskiej prawnik kanonista ks. Gerard Murray, komentując sytuację wokół nauczania kościelnego na temat Komunii Świętej dla osób, które choć zawarły sakramentalne małżeństwo, to żyją w świeckim związku z kimś innym: „Papież nie może obudzić się rano i stwierdzić, że to, co było cudzołóstwem, od dziś nim nie jest".

Pontyfikat papieża Franciszka, a nawet „kryzys dwóch papieży" ma także swoje dobre, choć trudne do zaakceptowania strony. Jakie? Odsłania on zamysły serc, licznych dysydentów, a ostatecznie to przecież kolejne herezje pojawiające się w dziejach pomagały Kościołowi jeszcze lepiej pojąć swoje nauczanie. Historia Kościoła się nie skończyła, ale okazuje się, że być może trzeba dokończyć – jak wiadomo przerwany – Sobór Watykański I i wrócić do uściślenia kwestii prymatu, a także nieomylności, ponieważ dziś wydaje się, że prawie powszechna stała się opinia w Kościele, że papież może wszystko. Można zatem powiedzieć, że rokowania dla dzisiejszego kryzysu nie są złe, biorąc pod uwagę Bożą pieczę nad Kościołem. Zobaczmy, jak herezja bezforemności liturgicznej po soborze stała się początkiem coraz szerszego nurtu odkrycia tradycji liturgicznej jako źródła i szczytu życia chrześcijańskiego (a przecież to właśnie w swoim dokumencie mówił Sobór Watykański II!). Nowy ruch liturgiczny związany z przywracaniem mszy zwanej trydencką dał wielu wierzącym odtrutkę nie tylko na amorfizm, lecz także błędy w pobożności liturgicznej sprzed reformy Pawła VI i sprzed soboru. Oczywiście to uzdrowienie nie jest powszechne, ale jest realną siłą, zaczynem zakwaszającym coraz szersze obszary Kościoła i coraz większą część zaangażowanego katolicyzmu.

TEST ZAUFANIA

Także w kwestii papiestwa potrzebna jest rozumna służba Boża, a nie posłuszeństwo przekazom dnia. Konieczne jest nieustanne badanie granic zdrowej nauki (wierność), a jednocześnie uznanie ojcostwa papieża, którego obecność na urzędzie stanowi znak widocznej jedności Kościoła. Sens książki Benedykta XVI i kard. Saraha odczytywałbym jako głos w katolickiej dyskusji przeciw klimatowi tyranii narzucanemu przez pochlebców papieża Franciszka. Nawet jeśli papież Franciszek sam testuje granice ortodoksji, to jest on wciąż narzędziem w rękach Opatrzności, a dla katolików testem zaufania i nonkonformizmu przede wszystkim wobec pokusy niewierności, ale i... nielojalności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

LIST DO REDAKCJI

W obronie lekcji religii

PŁYWANIE W KISIELU
Habemus kla
Szkolna katecheza to przeważnie żałosny pic, pusty rytuał
CZERWONE I CZARNE
Cud niepamięci

Poniższy tekst to list katechetki, wykładowcy katechetyki na UKSW nadesłany do redakcji w reakcji na felieton Rafała A. Ziemkiewicza „Habemus klapam"

Szanowny Panie Redaktorze,

o ile zwykle czytam Pana teksty z zainteresowaniem i znajduję w nich stanowisko bliskie mojemu, o tyle tekst w „Do Rzeczy" 3/2020 przeczytałam z przykrością i oburzeniem jednocześnie. Rozumiem, że oparł się Pan na własnych doświadczeniach i opinii znajomych, jednak osobiście znam temat nieco szerzej i wiem, że wcale nie wygląda tak źle, jak Pan to przedstawił. Owszem, szkolne lekcje religii bywają dalekie od ideału, mam świadomość, że nie brakuje słabych katechetów i negatywnych opinii na temat zajęć, ale wiem również, że w wielu szkołach zarówno sam przedmiot, jak i jego prowadzący cieszą się uznaniem i uczniów, i rodziców czy grona pedagogicznego. I nie chodzi jedynie o przedszkolaki czy dzieci z edukacji wczesnoszkolnej, lecz także uczniów szkół średnich, którzy na przekór tendencjom i medialnym doniesieniom chodzą na lekcje religii.

***

Na wstępie pragnę zauważyć, że swym tekstem wpisuje się Pan w zrównanie szkolnych lekcji religii z katechezą, co nie ma uzasadnienia w założeniach tych lekcji (choć wiem, że w świadomości wielu osób są to synonimy, m.in. z tej racji pojawia się wiele nieporozumień). Ale po kolei...

„[…] wprowadzeniu do szkół katechezy nie towarzyszyło stworzenie żadnego mechanizmu, który by stworzył kadrę zdolnych podjąć wyzwania dzisiejszych czasów katechetów" – takie stwierdzenie sugeruje, że mimo nadchodzących 30 lat od wprowadzenia religii do szkół nie działo się nic w tej materii. Jest to nieprawdziwe stwierdzenie, ponieważ przez ten czas konsekwentnie strona kościelna podnosiła poprzeczkę w formacji katechetów i dziś śmiało możemy mówić o tym, że przygotowanie nauczycieli religii jest analogiczne do przygotowania nauczycieli innych przedmiotów. Spełniamy te same standardy już na szczeblu akademickim, katecheci pracujący w szkołach przechodzą tę samą ścieżkę awansu zawodowego, a nawet szkolą się po osiągnięciu najwyższego stopnia, ponieważ obliguje ich do tego wymóg formacji permanentnej.

Należy przy tym dodać, że tematyka i jakość szkoleń oferowanych przez diecezjalne referaty katechetyczne w niczym nie ustępują „świeckim" szkoleniom (oczywiście formacji dydaktycznej i metodycznej towarzyszy także formacja duchowa, a jedno nie odbywa się kosztem drugiego). Nie będę idealizować, że każdy katecheta jest świetnym pedagogiem, doskonałym dydaktykiem itp., ponieważ niezależnie od formacji pozostają względy osobowościowe i indywidualne podejście do przedmiotu, ale zdecydowanie krzywdzące są wrzucenie wszystkich do jednego worka i krytyka.

***

„Szkolna katecheza to przeważnie żałosny pic, pusty rytuał, odprawiany dla łatwego zdobycia stopnia" – i w tym względzie się Pan myli, a przynajmniej opiera na cząstkowym doświadczeniu. Pana znajomi podzielają Pana zdanie, ale zachęcam do pogłębionej dyskusji ze znajomymi – może bowiem się okazać, że ich oczekiwania względem przedmiotu są diametralnie różne. Wiem, że jedni, podobnie jak Pan, ubolewają nad „łatwością" przedmiotu, ale jednocześnie nie brakuje rodziców, którzy krytycznie odnoszą się do tego (a nawet wypisują z tego powodu swoje dzieci), iż lekcja jest traktowana analogicznie do innych przedmiotów, są wysokie wymagania, sprawdziany itp., choć w ich mniemaniu to powinna być „luźna" lekcja i pogadanki o wierze dla „uduchowienia" uczniów. Z tej racji jako katecheci jesteśmy w niezwykle trudnej sytuacji, ponieważ nie mamy wsparcia w tych, od których mamy prawo tego oczekiwać – od rodziców utożsamiających się z Kościołem. To jest także powód, dla którego uważam dziś za szczególnie niebezpieczne głosy takie jak Pana. Przeciwnicy religii w szkole i Kościoła na pewno z lubością czytają takie wypowiedzi i tym trudniej bronić się, gdy wysuwa się przeciw nam argumenty, że „sami wierzący" czy nawet „sami księża" nie chcą religii w szkole. Przy okazji warto się zastanowić, co by było, gdyby tych lekcji nie było. Tylko nie bądźmy proszę naiwni, że nagle tabuny wiernych przyprowadzą swoje dzieci do salek na katechezy w parafii, i będzie miło i słodko jak dawniej, z tym niedookreślonym – a jakże często wspominanym – „klimatem" spotkań przed 1990 r. przy kościele...

***

„Nic z tego nie wynika, do niczego nie przygotowuje, w żaden sposób nie umacnia wiary..." – sądzę, że innego zdania jest wielu uczestników lekcji religii, także młodzież, m.in. ta przystępująca każdego roku do Olimpiady Teologii Katolickiej (a jest jej zwykle blisko 10 lub kilkanaście tysięcy na etapie szkolnym). Dochodzimy tu także do

eprasa.pl 2509c326de

FOT. TRAX

kwestii, o której wspomniałam na początku – szkolne lekcje religii to nie pełna katecheza, której celem jest umacnianie wiary. Na naszych lekcjach są uczniowie niewierzący (tak, tak... to często zasługa rodziców...). Jak zatem mamy umacniać coś, czego nie ma? Czy aby nie wymaga się od nas zbyt wiele?

Ba! Od 1990 r. nie takie było założenie, że wchodzimy do szkoły i znikamy z parafii. Szkolnej lekcji religii (tej dla wszystkich – wierzących, niewierzących, poszukujących) winny towarzyszyć katechezy parafialne – tam dopiero można mówić o umacnianiu wiary. Nie odbierajmy jednak szansy usłyszenia czegokolwiek o religii katolickiej w szkole tym, którzy do parafii nie trafią częściej niż dwa razy w roku, a i w domu nie będą mieli okazji o niej posłuchać – jak słusznie Pan zauważył: „Którzy rodzice mają czas, nie wspominając o wiedzy?" (nawiasem mówiąc, często są to przecież rodzice, którzy swą formację religijną odbywali w salkach, zatem... czy rzeczywiście jej efektywność była większa?).

***

„Tyrady katechetów [...] budzą wśród dzieci raczej śmiech i politowanie" – to kolejne krzywdzące uogólnienie na podstawie własnych doświadczeń Autora, które nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości. Gdyby tak było, to jak wyjaśnić prośby uczniów, by np. katecheta był opiekunem szkolnego samorządu, bądź apele rodziców, by – wbrew przepisom – przyznać katechecie wychowawstwo? Skąd liczne pytania, z którymi uczniowie na różnych etapach edukacyjnych zwracają się do katechety, bo – jak tłumaczą – tylko z nimi mogą o czymś porozmawiać?

***

Wyrażając powyższą opinię, utożsamiam się z katechetami, ponieważ sama uczę – wprawdzie „tylko" w przedszkolu, ale relacje z dziećmi i rodzicami wystarczająco przekonują mnie o tym, że jestem na właściwym miejscu i moja praca ma sens. Jednocześnie jako wykładowca akademicki i osoba współodpowiedzialna za programowanie szeroko rozumianej katechezy i formację katechetów wiem, jakie jest przygotowanie nauczycieli religii, ich rozwój, cienie i blaski ich działalności. Dlatego też nie godzę się na takie podsumowywanie 30-letniej obecności religii w szkole. Jednocześnie przyznaję, że czasem w dziele nauczania religii „habemus klapam" – ale przyczyn tej klapy nie można doszukiwać się jedynie w samych katechetach czy obecności religii w szkole, nierzadko jednak w złym traktowaniu tych lekcji i tych nauczycieli przez dyrekcje, innych nauczycieli czy rodziców, a nade wszystko – w braku współpracy wszystkich wspomnianych osób.

Będę zatem wdzięczna za przemyślenie stanowiska i ewentualne poszerzenie horyzontu na przyszłość, jeśli Pana opinia w tym temacie miałaby być ponownie upubliczniania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Z wyrazami szacunku
Aneta Rayzacher-Majewska,
wykładowca katechetyki na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, konsultor Komisji Wychowania Katolickiego KEP, katechetka.

REKLAMA

POZNAJ UKRYTY PRZEKAZ NAJSŁYNNIEJSZYCH DZIEŁ!

- BACHUS **CARAVAGGIA**
- GNIEŹNIEŃSKIE WROTA
- MANUSKRYPT WOJNICZA
- STWORZENIE ADAMA **MICHAŁA ANIOŁA**
- OSTATNIA WIECZERZA **LEONARDA DA VINCI**
- ZAPROWADZENIE CHRZEŚCIJAŃSTWA R.P. 965 **JANA MATEJKI**

I WIELE INNYCH ARCYDZIEŁ.

KSIĄŻKA DO KUPIENIA NA: WWW.XLM.PL

Joanna Lenyk-Barszcz
Przemysław Barszcz
Tajemnice dzieł sztuki

PATRONAT MEDIALNY:

SIECI
HISTORIA.ORG.PL

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 2509c326de

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Czy Rembrandt jest znany?

Kiedy byliśmy rodzinnie w Amsterdamie, akurat w tamtejszym Rijksmuseum kończyła się wielka wystawa Rembrandta i Velázqueza. Wydarzenie – podobno – na skalę światową. Podjęliśmy delikatne negocjacje z naszym synem, czy nie dałby się przekonać do pooglądania obrazów. O dziwo, dał się namówić.

Stanęliśmy zatem w ogromnej kolejce. Po jakichś dwóch kwadransach wpuszczono nas do muzeum, gdzie ustawiliśmy się z kolei w kolejce do kas. Wtedy ogłoszono komunikat, z którego wynikało, że ostatni zwiedzający na interesującą nas wystawę już został wpuszczony. I że Velázquez i Rembrandt zapraszają następnego dnia.

Nie byliśmy pewni, czy dobrze zrozumieliśmy, dlatego skonsultowaliśmy się ze stojącą za nami parą. Młodzi Niemcy (w każdym razie mówili po niemiecku, może byli Austriakami) sięgnęli po smartfony, pogrzebali w nich i powiedzieli: „Tak, na wystawę tych artystów, o których mówiliście, już dziś nie ma wejścia. A to jacyś znani malarze? Warto zobaczyć?”.

Znowu nie byliśmy pewni, czy dobrze zrozumieliśmy (ach, ta językowa nieporadność Polaków po czterdziestce!). Upewniliśmy się zatem, czy na pewno pytają nas o Rembrandta i Velázqueza, i że na pewno o nich nie słyszeli. Bez cienia skrępowania przyznali, że nie mają pojęcia, o kogo chodzi.

Już od dawna podejrzewałem, że wyższe wykształcenie oraz kultura, rozumiana tu nieco szerzej niż savoir-vivre, to dwie rzeczy, które jakiś czas temu się rozjechały. Że nie są już tożsame. Że człowiek po studiach może być źle wychowany, ale również może mieć niewielkie pojęcie o czymś, co z grubsza można nazwać fundamentami kultury europejskiej. Czy nazywając rzeczy mniej patetycznie – ma wiedzę ogólną na bardzo umiarkowanym poziomie.

To nie narzekanie, lecz stwierdzenie faktu – kiedyś człowiek po studiach czy po liceum miał wbite w łeb coś, co można określić mianem kanonu. Mógł mieć w nosie muzykę poważną, ale potrafił zanucić „V symfonię” Beethovena. Mógł być zatwardziałym ateistą, ale wiedział, co to takiego „Sąd Ostateczny” Michała Anioła. I mógł ziewać nad historią starożytną, ale wiedział, iż Sokrates wiedział, że nic nie wiedział.

Gdzieś po drodze nowoczesna edukacja rozmontowała ten kanon. Sądziłem, że tak jest w Polsce – gdzie uczelnie wyższe produkują interfejsy białkowe do korporacji. Ale tych dwoje Niemców – bez wątpienia wykształconych i ogólnie ciekawych świata, skoro stali w kolejce do Rijksmuseum – pokazało mi, że to dotyczy nie tylko naszego kraju. Wyższe wykształcenie i kultura. Kiedyś właściwie pojęcia tożsame, dziś ich drogi się rozchodzą.

A na wystawę się nie dostaliśmy. Ostatni raz taki wkurzony byłem w 1983 r., kiedy pół dnia stałem w kolejce po jajka, a kupiłem masło. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Pogoda dla głupoty

Niedawno do programu „W tyle wizji” przed jednym z uniwersyteckich wydziałów polonistyki przeprowadzono sondę na temat Marka Hłaski. Żaden z zapytanych młodych ludzi nie miał pojęcia, kto to taki. Fakt, że umarł 50 lat temu, nie jest usprawiedliwieniem, Mickiewicz zszedł z tego świata dużo wcześniej, nie mówiąc o Dantem, a wypada ich znać.

„Jeśli będę chciał coś wiedzieć, to zajrzę do Wikipedii” – odpowiadają

Lepiej ankieta wypadła na ulicach wśród zwykłych obywateli 50+, absolwentów szkół PRL. Tym coś niecoś obiło się o uszy.

Sytuacja powtarza się coraz częściej – młodzi erudyci pojawiają się jeszcze w teleturnieju „Jeden z dziesięciu”, ale coraz rzadziej, większość ze smartfonem w ręku i słuchawkami w uszach pomyka w lepszą przyszłość, nie interesując się praktycznie niczym. „Jeśli będę chciał coś wiedzieć, to zajrzę do Wikipedii” – odpowiadają. Bardzo pięknie, ale żeby coś tam znaleźć, trzeba z grubsza wiedzieć, czego się szuka, a tego bez wiedzy elementarnej, którą do niedawna wynosiło się ze szkoły, ani rusz. Co gorsza, kiedyś ignorancja była rzeczą wstydliwą, dziś, gdy na cokoły winduje się gwiazdy disco polo – już nie. Książek się nie kupuje (a tym bardziej nie czyta) nawet na pokaz, zanika umiejętność dyskusji, nie mówiąc o jej kulturze.

Można tylko się cieszyć, że prymityw polonista wielkiej szkody nie przyniesie, ale kiedy pomyśli się, iż podobnym podejściem do wiedzy odznaczają się kandydaci na lekarzy, inżynierów, strach bierze. Ograniczenie intelektualne polityków dało się zauważyć już wcześniej. I skąd się to bierze? Z „umasowienia” oświaty, braku wymagań w bezstresowej szkole, a coraz częściej także na uczelniach, gdzie zwycięża metoda testowa (praktyka dla rozwoju intelektualnego zabójcza), z zaniku ciekawości świata, dostępnego dzięki mediom elektronicznym na wyciągnięcie ręki (więc po co ją wyciągać), z obniżenia progu inicjacji seksualnej... Itd., itp.

I nie jest to w moim przypadku wyłącznie starcze narzekanie (o tym, że młodzież jest coraz gorsza, można przeczytać na najstarszej tabliczce z Sumeru). Głupców, chamów, ignorantów nigdy nie brakowało, tyle że istniały instytucje: Kościół, dwory, stowarzyszenia, utrzymujące jakiś porządek świata. Wiedza, wyższe wykształcenie z miejsca gwarantowało awans, zawodowy i materialny, podwyższało pozycję towarzyską, stawało się elementem snobizmu. Dzisiaj już niewielu ma chrapkę na „Pierwszy krok w chmurach. Następny do raju”? Nikt raczej nie pyta. Bo po co? ©℗

eprasa.pl 2509c326de

Poczta Polska

Początki Solidarności w Polsce

– NSZZ „Solidarność” – 40-lecie

Poczta Polska nawiązuje do historii kraju od samego początku jego państwowości. Upamiętniamy wybitne osoby, wydarzenia i miejsca, w których Polacy odegrali znaczącą rolę. Miniatury sztuki, jakimi są znaczki, kartki i koperty FDC* oraz foldery filatelistyczne, pełnią istotną funkcję kulturową i społeczną.

**FDC (ang. first day cover, FDC) – koperta z naklejonym znaczkiem pocztowym, ostemplowana (zazwyczaj stemplem okolicznościowym) w pierwszym dniu obiegu znaczka.*

eprasa.pl 2509c326de

Piotr Włoczyk

Cały świat zadziwił się wyjątkowością tego zrywu. Polacy w ciągu zaledwie kilku tygodni stworzyli machinę społecznego oporu, której Kreml mógł przeciwstawić jedynie czołgi. W tym roku upamiętniamy 40. rocznicę wydarzeń, które doprowadziły do powstania NSZZ „Solidarność”

To był jeden ze sztandarowych projektów gospodarczych PRL. Zatrudnienie w Hucie Katowice (HK) znalazło ponad 20 tys. ludzi, co sprawiło, że zakład ten stał się największym pracodawcą w kraju. O wyjątkowości tego miejsca świadczyło choćby to, że legitymacja partyjna nr 1 HK została uroczyście przekazana samemu Leonidowi Breżniewowi. Strategiczne znaczenie huty dla PRL było funkcją jej znaczenia dla ZSRS – Sowieci doprowadzili do zakładu własną linię kolejową (wschodniej szerokości torów) i wywozili z niej znaczną część produkcji.

Wydawało się, że w tak ważnym dla PZPR kompleksie nie ma prawa dojść do buntu załogi. Rzeczywistość wprawiła jednak komunistów w osłupienie. Gdy w lipcu 1980 r. podwyżka cen podstawowych produktów doprowadziła do błyskawicznie rozchodzącej się po kraju fali protestów robotniczych, HK była jednym z pierwszych wielkich zakładów pracy, który wypowiedział posłuszeństwo władzom PRL.

– To była euforia. I to najdelikatniej mówiąc. Trzy czwarte załogi to byli bardzo młodzi ludzie i trzy czwarte popierało Solidarność. Czuć było poczucie misji, że tworzymy historię, że dzieją się rzeczy nowe, a Polska już nie będzie taka jak wcześniej – powiedział „Do Rzeczy” Andrzej Rozpłochowski (ur. 1950 r.), przywódca strajku w Hucie Katowice, jeden ze współtwórców śląskiej Solidarności, który w 1980 r. pracował w HK jako maszynista lokomotyw spalinowych.

Robotnicy z HK, by dobrze skonkretyzować swoje postulaty, potrzebowali biegłych w prawie doradców, więc zgłosili się z tym problemem m.in. do Kościoła.

FOT. KAZIMIERZ SEKO/CAF/PAP

eprasa.pl 2509c326de

Polski wyłom w czerwonym murze

Sytuacja robotników z HK była jednak trudniejsza niż ich kolegów z innych wielkich kompleksów przemysłowych.

– Stocznia Gdańska, Stocznia Szczecińska czy kopalnia Manifest Lipcowy z Jastrzębia-Zdroju leżą w środku miast. Huta Katowice natomiast położona jest poza miastem, wówczas jeszcze usytuowana była głęboko na terenach polnych i po wykarczowanych lasach. Nikt nie podchodził pod bramę, byliśmy odcięci od reszty społeczeństwa – mówi Andrzej Rozpłochowski. I dodaje: – A mimo to przystąpiliśmy do budowy wolnych związków zawodowych, kiedy jeszcze nikt nie myślał o Solidarności. Jako pierwsi w Polsce zaczęliśmy tworzyć już w nazwie niezależny samorządny związek zawodowy z tymczasową siedzibą w HK. Myślę, że śmiało można powiedzieć, iż to, co działo się w 1980 r. w HK, miało najbardziej antykomunistyczny charakter spośród wszystkich wielkich zakładów w PRL.

ANNA SOLIDARNOŚĆ

Protest w Stoczni Gdańskiej, zakładzie-symbolu Sierpnia '80, spowodowany był bezpośrednio zwolnieniem z pracy Anny Walentynowicz, słynnej suwnicowej, której brakowało zaledwie pół roku do osiągnięcia wieku emerytalnego. Przywrócenie jej do pracy było pierwszym żądaniem stoczniowców, którzy 14 sierpnia rozpoczęli historyczny strajk. Na czele tamtejszego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego stanął Lech Wałęsa i to on podpisał 31 sierpnia w sali BHP Stoczni Gdańskiej słynne porozumienie z władzami PRL (było to jedno z czterech wielkich porozumień – poza nim podpisano jeszcze porozumienia w Szczecinie, w Jastrzębiu-Zdroju oraz w Hucie Katowice).

Głównym żądaniem robotników było umożliwienie nieskrępowanej działalności związków zawodowych. To właśnie na tej podstawie już 17 września 1980 r. powstała Solidarność (pomysłodawcą nazwy był zmarły w zeszłym roku Karol Modzelewski). Ostatecznie władze, bardzo niechętnie i po długich bojach prawnych, pozwoliły w listopadzie 1980 r. na oficjalną rejestrację „S".

Anna Walentynowicz była współzałożycielką NSZZ „Solidarność", chociaż już rok później znalazła się w grupie działaczy „S" sprzeciwiających się polityce Lecha Wałęsy.

Wśród słynnych 21 postulatów sformułowanych przez MKS pierwszym było stworzenie wolnych związków zawodowych, ale większość stanowiły te dotyczące poprawy warunków bytowych (robotnicy chcieli m.in. „realizować pełne zaopatrzenie rynku wewnętrznego w artykuły żywnościowe, a eksportować tylko i wyłącznie nadwyżki", „obniżyć wiek emerytalny dla kobiet do 55 lat, a dla mężczyzn do lat 60 lub przepracowanie w PRL 30 lat dla kobiet i 35 lat dla mężczyzn bez względu na wiek", „wprowadzić urlop macierzyński płatny przez okres trzech lat na wychowanie dziecka", „wprowadzić wszystkie soboty wolne od pracy").

W ciągu zaledwie kilku miesięcy NSZZ „Solidarność" liczyła już ok. 10 mln członków, co stanowiło blisko 80 proc. pracowników państwowych. Bardzo szybko na pierwszy plan działalności „S" wyszły kwestie niepodległościowe, w związku z czym władze PRL rzuciły przeciw niej cały swój aparat inwigilacji i represji, próbując maksymalnie wpłynąć na kierunek działalności związku. W takich warunkach zaczęła się w Polsce rewolta, która zadziwiła cały świat, ale równocześnie wiązała się z balansowaniem na bardzo cienkiej linie.

„Wyjątkowość rewolucji polskiej polega na tym, że jest bezkrwawa, nienormalność rzeczywista na tym, że musi dbać o ocalenie monopartii, przeciw której wybuchła – napisał 15 kwietnia 1981 r. w swoim dzienniku Gustaw Herling-Grudziński. – Jak jedynowładcom narzucić – nie kwestionując nominalnie ich jedynowładztwa – faktyczną dwu- czy trójwładzę? Jak podzielić się władzą ze stróżami i z wykonawcami władzy niepodzielnej? Podkreślając i wykazując bezustannie, na każdym kroku, że nie istnieje żadne inne wyjście; z wyjątkiem najgorszego, które niczego nie załatwi i niczego jedynowładcom nie przywróci, prócz bata wciśniętego im do rąk przez najeźdźcę w obliczu powszechnego oporu narodowego i społecznego".

MANEWRY PRZECIW WOLNOŚCI

O ile jesienią 1981 r., wbrew twierdzeniom obrońców Wojciecha Jaruzelskiego, nie było mowy o sowieckiej interwencji w Polsce, o tyle rok wcześniej sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Moskwa szykowała się do utopienia rodzącej się Solidarności we krwi. Po drugiej stronie żelaznej kurtyny rozpoczęła się skomplikowana gra, która miała temu zapobiec.

– Na początku grudnia 1980 r. odbyła się w Moskwie narada szefów sztabów generalnych państw bloku wschodniego, podczas której podjęto decyzję, że jeszcze w tym samym miesiącu odbędą się w Polsce ćwiczenia „Sojuz 80". Siły te miały zająć pozycje w newralgicznych miejscach, czyli w okolicy dużych aglomeracji. Wojska sowieckie miały stacjonować wokół Warszawy, Krakowa czy Bydgoszczy. Z kolei dywizja NRD miała stacjonować w rejonie Szczecina, a Czechosłowacy na Górnym Śląsku. Każdy wiedział, że były to przygotowania do interwencji – powiedział „Do Rzeczy" dr Paweł Piotrowski z Wojskowego Biura Historycznego. – Polaków uratowało wtedy przed Sowietami to, że informacje o „Sojuzie 80" przedostały się na Zachód. Amerykanie dokonali kilku przecieków i prasa amerykańska pokazała mapy z kierunkami sowieckiego uderzenia na Polskę. Silne ostrzeżenia wysłane na Kreml sprawiły, że ćwiczenia zostały odwołane. To wielka zasługa płk. Ryszarda Kuklińskiego.

Rodząca się Solidarność dostała dzięki temu bezcenny rok, który do historii przeszedł jako karnawał Solidarności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

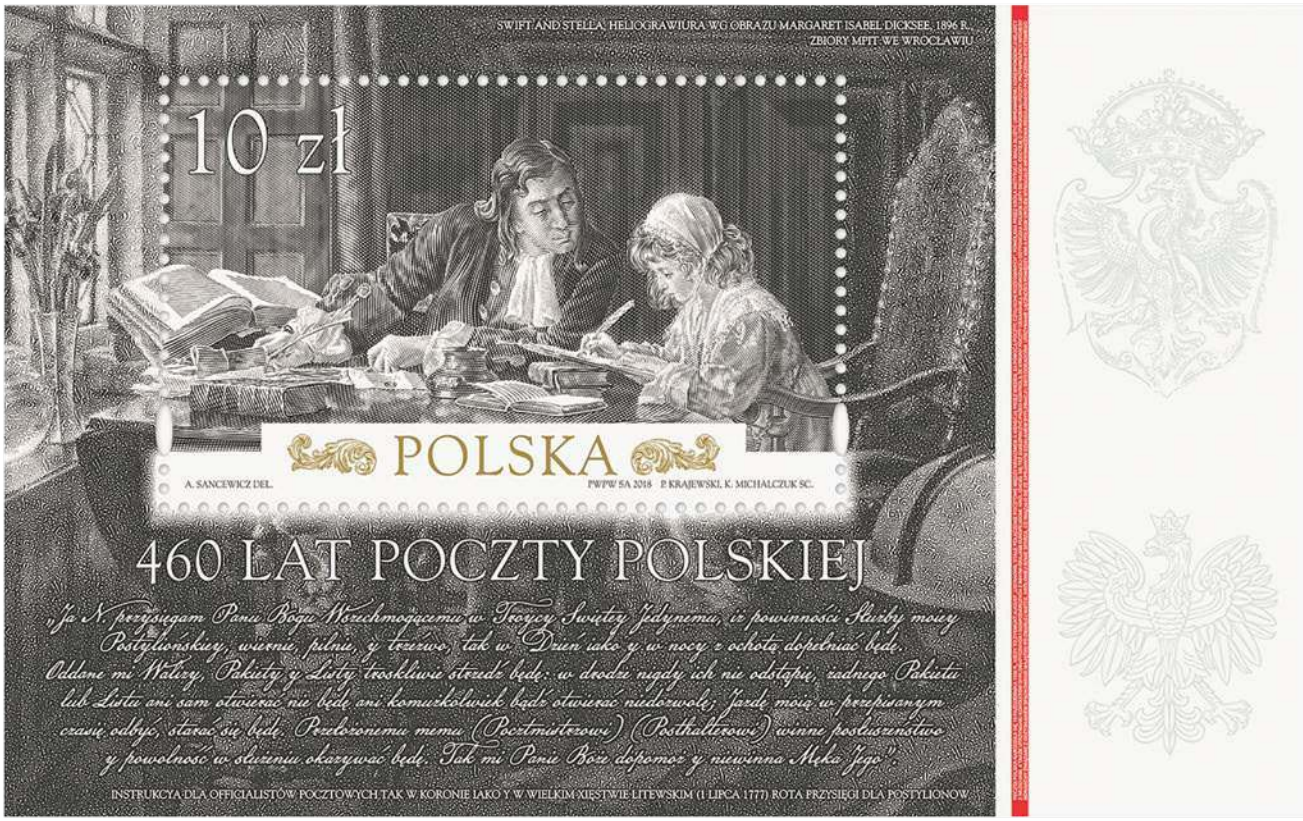

Historia zamknięta w miniaturze

Poczta Polska silnie nawiązuje do historii kraju. Upamiętniając wybitne osoby, wydarzenia i miejsca, w których odznaczyli się Polacy, miniatury sztuki – jakimi są znaczki, kartki, koperty pierwszego dnia obiegu oraz foldery filatelistyczne – odgrywają istotną rolę, współtworzą bowiem polską kulturę i propagują ją na świecie. Przyczyniają się też do budowy i umacniania społecznych więzi wokół wspólnych wartości i historycznych rocznic.

Wydane w 2018 r. walory filatelistyczne poświęcone były m.in. Polsce Piastów, Jagiellonów, postaciom z XIX i XX w. Najodleglejszym w czasie przywołanym wydarzeniem było ustanowienie w 1050 r. biskupstwa w Poznaniu. Z kolei w 2019 r. wydano znaczek upamiętniający św. Wojciecha, kanonizowanego 1020 lat wcześniej. To kontynuacja emisji „Patroni Polski", w której uprzednio pojawił się św. Stanisław Kostka.

Okresu I Rzeczypospolitej dotyczą znaczki upamiętniające rocznice wydarzeń ważnych dla polskiej państwowości: 550-lecia parlamentaryzmu RP, konfederacji barskiej, 460-lecia utworzenia Poczty Polskiej oraz 450. rocznicy podpisania aktu unii lubelskiej. To właśnie dzięki tym przełomowym momentom w historii Polska może pochwalić się jedną z najdłuższych tradycji parlamentaryzmu – sięgającej czasów, gdy w Europie dominowały monarchie absolutne.

Na reprezentanta jednej z epok, której poświęcono emisję znaczka, obrano

eprasa.pl 2509c326de

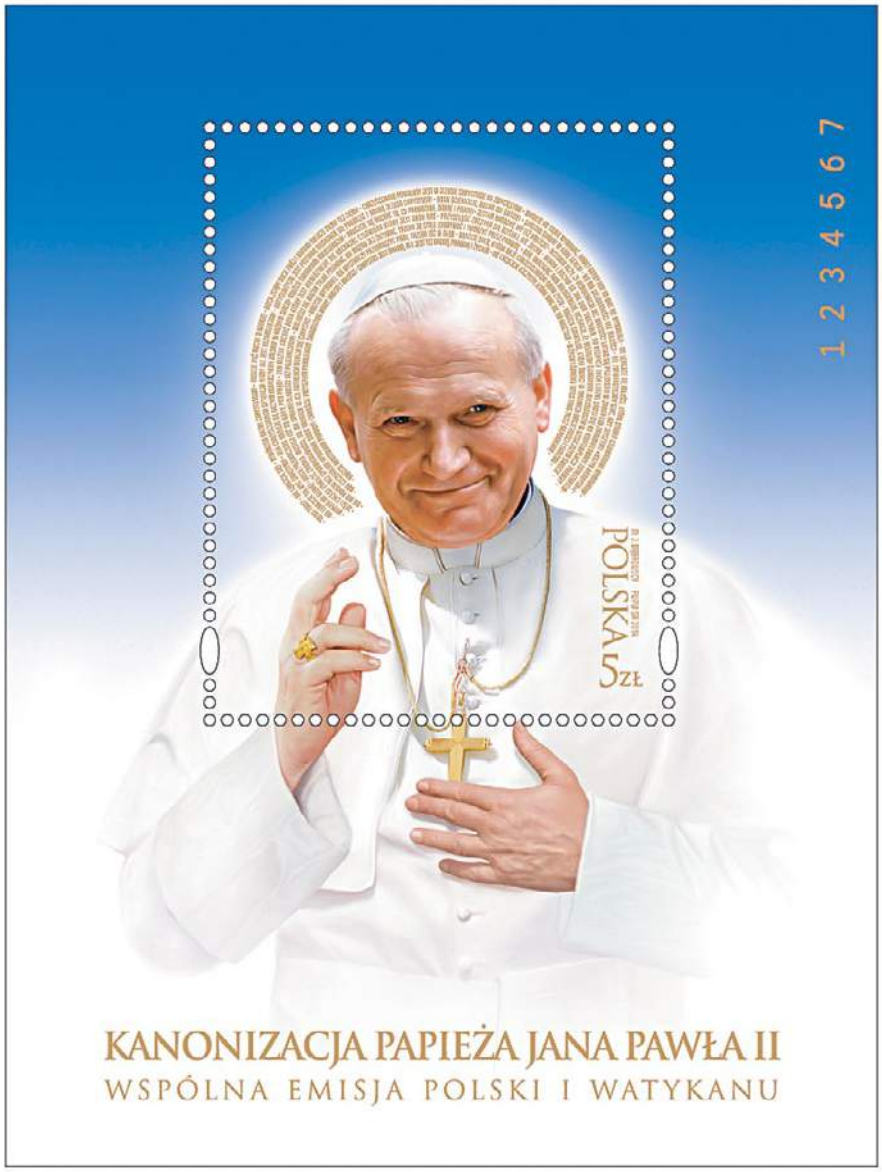

Wacława Sieroszewskiego, jednego z wybitnych Polaków wysiedlonych na Syberię, który wniósł niebagatelny wkład w światową naukę.

Powstał również znaczek dedykowany kard. Augustowi Hlondowi i gen. Władysławowi Sikorskiemu.

Ważny dla Polski rok 1918 dał początek nowemu okresowi w dziejach, upamiętnionemu wieloma znaczkami z wizerunkami ojców niepodległości i wojsk Rzeczypospolitej. Uczczono także 100. rocznicę wybuchu powstania wielkopolskiego, które jako jedno z nielicznych zakończyło się pełnym sukcesem sprawy polskiej.

W roku 2018, ogłoszonym przez Sejm RP rokiem Ireny Sendlerowej, nie mogło zabraknąć wydawnictw z nią związanych. Osobny znaczek poświęcono żołnierzom wyklętym.

Na ten rok przypadała też 40. rocznica wstąpienia na tron Piotrowy kard. Karola Wojtyły, co uwieczniono miniaturą. Kontynuacją tradycji filatelistycznych związanych z tym wielkim Polakiem będzie wydany niebawem znaczek poświęcony 100. rocznicy urodzin papieża.

Pierwsze dni niepodległości doczekały się emisji grafiki z mapą południowej, a po roku północnej części II Rzeczypospolitej. Uczczono też rocznicę powołania wielu instytucji państwowych. Znaczek poświęcony początkom Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych wyposażono w zabezpieczenia właściwe papierom wartościowym. Arkusikowi ze znaczkiem nadano format banknotu. Doceniło go Stowarzyszenie Filatelistów Belgijskich, przyznając mu pierwsze miejsce w kategorii znaczek rytowany – „Les Grands Prix de l'Art Philatélique Belge et Européen".

Ubiegły rok był okazją do przypomnienia najważniejszych osób i wydarzeń drugiej wojny światowej. Rozpoczęto też emisję znaczków nawiązujących do powstań śląskich.

Historię najnowszą można odkrywać w produktach filatelistycznych poświęconych Annie Walentynowicz, 30. rocznicy odrodzenia Senatu i wolnych wyborów.

Rok 2020 będzie wyjątkowy nie tylko dla Polski, lecz także dla całej Europy. W sierpniu przypada 100. rocznica Bitwy Warszawskiej, uznanej za jedną z najistotniejszych batalii w dziejach świata.

Zostanie wydany znaczek przypominający o pokonaniu bolszewików w Polsce i powstrzymaniu ich inwazji na Zachód. Poczta Polska wyemituje znaczki upamiętniające powstanie NSZZ „Solidarność". Ruchowi temu poświęcony również będzie jeden z dziewięciu znaczków emisji „Droga do wolności", który ukaże się tego roku.

Poprzez wydawnictwa możemy być pewni, że nasze tradycje, historia i wybitne postaci z dziejów będą kształtować polską świadomość historyczną, budować etos obywatela oraz wpływać na stosunki z innymi krajami, w których Polacy odegrali znaczącą rolę.

Jesteśmy dumni, że w ten sposób możemy służyć Polsce i Polakom.

eprasa.pl 2509c326de

Poczta Polska

Pocztex
Kurier Poczty Polskiej

najbliższy punkt odbioru Twojej przesyłki*

- ponad **12 000** punktów odbioru
- śledzenie przesyłki online
- powiadomienie SMS

* dotyczy przesyłek: Paczka+ oraz przesyłek kurierskich Pocztex Ekspres24 i Pocztex Kurier48

pocztex.pl **odbiorwpunkcie.poczta-polska.pl**

eprasa.pl 2509c326de

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Polacy kontra Ukraińcy

Smutny, bezbrzeżnie smutny jest nowy numer „Karty". Redakcja zdecydowała się go bowiem poświęcić „polityce", którą II RP uprawiała wobec Ukraińców w latach 30. Nie przez przypadek słowo to wziąłem w cudzysłów. Ówczesne działania władz polskich nie miały bowiem nic wspólnego z polityką. To była po prostu głupota.

W przedwojennej Polsce mieszkało kilka milionów Ukraińców. Na ziemiach południowo-wschodnich społeczność ta stanowiła przytłaczającą większość. W interesie państwa polskiego (jego spójności terytorialnej, bezpieczeństwa obywateli i porządku publicznego) leżało więc pozyskanie tych ludzi dla Rzeczypospolitej. Zamiana ich w lojalnych obywateli.

Tymczasem w efekcie strategii przyjętej przez rządy w Warszawie Polska wychowała sobie kilka milionów wrogów wewnętrznych. W 1939 r., gdy państwo nasze uległo załamaniu, przyniosło to straszliwe skutki.

Przymusowa polonizacja, kolonizacja wojskowa, zamykanie szkół, niszczenie cerkwi, stosowanie odpowiedzialności zbrojowej wobec ludności cywilnej. Wszystko to podsycało nienawiść do Polski i było paliwem dla radykalnych ukraińskich nacjonalistów. Ludzi, którzy z II RP walczyli za pomocą bezwzględnego terroru. Sabotażu, kul pistoletowych i bomb.

Redakcja „Karty" przedstawia kolejne ukraińskie błędy II RP i przypomina, że jednym z nielicznych środowisk, które im się sprzeciwiały, byli konserwatyści: Adolf Bocheński i grupa młodych publicystów skupionych wokół „Buntu Młodych" i „Polityki". A także Stanisław Cat-Mackiewicz, redaktor naczelny wileńskiego „Słowa".

„Na rozkaz władz administracyjnych zburzono 114 cerkwi prawosławnych i domów modlitwy – pisał Mackiewicz w lipcu 1938 r. – W niektórych wypadkach do burzenia używani byli więźniowie kryminaliści. Ludziom, którzy wyrośli w epoce bliskiej tej, kiedy Moskale stosowali odbieranie naszych kościołów i kary na naszych księży, będzie przykro. Do tego stopnia obecne obrazki swoją brutalnością i bezwzględnością wobec cudzych uczuć religijnych przypominają tamte czasy".

Poza tym w „Karcie" ciekawe teksty o torze wyścigów konnych na warszawskim Służewcu oraz wstrząsający zbiór listów. Podań o łaskę pisanych do Adolfa Hitlera przez osoby skazane na przymusową sterylizację. Makabra. ©℗

★★★★★★
„KARTA"
101/2019

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Makabryczny ślub z rękawicą

W ostatnich dniach stycznia 1944 r. kat Warszawy SS-Brigadeführer Franz Kutschera był bardzo zajęty. Oprócz kierowania terrorem wobec mieszkańców Warszawy załatwiał także pilne sprawy prywatne. Miał bowiem zamiar się ożenić, w stolicy mieszkał z narzeczoną, norweską folksdojczką, a dziewczyna była w ciąży. Ślub zaplanowano na 5 lutego, do Warszawy przybyła już nawet siostra narzeczonej.

Do uroczystości jednak nie doszło, Kutschera zginął cztery dni wcześniej z rąk członków oddziału specjalnego Kedywu Komendy Głównej AK „Pegaz". Natychmiast też rozpoczęły się krwawe represje, hitlerowcy zarządzili masowe łapanki. W ciągu jednej doby aresztowano blisko 600 osób, a dzień po zamachu, w miejscu jego przeprowadzenia, rozstrzelano 100 mężczyzn. W następnych dniach ofiarami zemsty padło jeszcze ponad 200 osób, a na miasto nałożono kontrybucję w wysokości 100 mln zł (ponad 10 mln euro). Z tej kwoty 15 proc. miały zapłacić gminy podwarszawskie.

Natomiast 4 lutego na ludność centrum stolicy padł blady strach. Hitlerowcy zarządzili, by mieszkańcy Nowego Światu, Krakowskiego Przedmieścia oraz niektórych ulic na Powiślu i Starym Mieście przed godz.10 rano opuścili swoje mieszkania, pozostawiając klucze u dozorców. Rozeszły się pogłoski, że hitlerowcy – w odwecie za zamach – wysadzą część miasta w powietrze.

W rzeczywistości tego dnia miały miejsce wstępne uroczystości pogrzebowe Kutschery. Orszak żałobny przejechał od siedziby SS w Alejach Ujazdowskich do pałacu Brühla. Tam ciało spoczęło na katafalku i odbyła się makabryczna ceremonia: ożenek zmarłego (!) z jego norweską narzeczoną. Był to ślub junkierski, zwany także ślubem z rękawicą – obyczaj sięgający tradycją średniowiecza. Miał na celu zalegalizowanie potomstwa zmarłego, a sprawą osobiście interesował się Heinrich Himmler. Zapewne także on wydał zgodę na tę przerażającą uroczystość. Następnie ciało Kutschery przewieziono na Dworzec Gdański, skąd wyruszyło pociągiem do Berlina. Oczywiście wiązało się to z zamknięciem sklepów, ze wstrzymaniem ruchu tramwajów oraz zakazem wychodzenia mieszkańców na ulice w tej części Warszawy.

Narzeczoną Kutschery (czy też wdową po nim) osobiście zajął się Himmler. Można podejrzewać, że dopóki trwała wojna, dopóty ani jej, ani dziecku niczego nie brakowało.

Wiele lat później syn Kutschery miał okazję poznać „Misia" (Michała Issajewicza), jednego z zabójców SS-Brigadeführera. Poprosił zamachowca, by ten podał mu rękę i zapomniał, kim był jego ojciec… ©℗

eprasa.pl 2509c326de

Sebastian Ligarski

Bogusław Włosik miał 20 lat, Grzegorz Przemyk – 19, Emil Barchański – 17, Marcin Antonowicz – 19, a Jan Stawisiński – 21 lat. Wszyscy byli młodzi, mieli marzenia, chcieli żyć, ale władza w latach 80. XX w. im to życie zabrała

Janek

Jan Paweł Stawisiński był wysoki, wysportowany. Lubił pływać, grać w siatkówkę i marzył, by zostać geologiem. Gdy miał 19 lat, wyjechał z Koszalina do Katowic do pracy w kopalni Wujek. Chciał pomóc rodzinie. 16 grudnia 1981 r. został postrzelony w głowę przez pluton specjalny ZOMO pacyfikujący kopalnię Wujek. Przez 40 dni konał w szpitalu w Katowicach-Ochojcu. Zmarł 25 stycznia 1982 r. Był jednym z dziewięciu bestialsko zamordowanych wówczas górników.

NA KOLANACH, MAMO

Stawisiński urodził się w 29 czerwca 1960 r. w Sławnie. Wraz z matką Janiną i ojcem Alojzym oraz siostrami Małgorzatą i Beatą od 1961 r. mieszkał w Koszalinie. Był uczniem Szkoły Podstawowej nr 8, a następnie absolwentem Zasadniczej Szkoły Telekomunikacyjnej w Koszalinie. Ukończył ją jako elektromonter. W 1979 r. został uczniem Technikum Elektryczno-Elektronicznego. W czasie wolnym dorabiał jako ratownik w nadmorskich kąpieliskach. Tam jeden z wczasowiczów namówił go na wyjazd do pracy w kopalni na Górny Śląsk. Wyjechał. Matka, niechętna jego wyborowi, dopytywała: „Jak ty się mieścisz tam, pod ziemią?". Odpowiadał ze śmiechem: „Na kolanach mamo, na kolanach…".

16 grudnia 1981 r., w czwartym dniu stanu wojennego, doszło do tragicznej w skutkach pacyfikacji KWK „Wujek" przez wojsko i milicję. Wcześniej brutalnie stłumiono, używając do tego broni palnej, bunty w innych kopalniach na Górnym i Dolnym Śląsku.

Małgorzata Haciska, siostra Janka: „Od początku stanu wojennego mama chodziła bardzo zdenerwowana, wszyscy próbowaliśmy ją uspokoić. Szesnastego grudnia powiedziała, że z Jankiem coś się stało". – Załatwiłam dla siebie i córki zezwolenie na wyjazd, napisałam, że mam w Katowicach starą i schorowaną matkę. Dostałam na trzy dni – mówiła po latach Stawisińska. Z Beatą, siostrą Janka, wsiadły do potwornie zatłoczonego pociągu.

W drodze do Jankowego hotelu w Katowicach wstąpiły do znajomych. To Ciszewscy, poznani przed laty w Lubowie. Ich syn, Mariusz, zaprzyjaźnił się z Jankiem i chyba go tym górnictwem zaraził. Stawisińska: „Zostałam na dole, Beata pojechała do nich na górę. Miała tylko zostawić przywiezioną przez nas wałówkę i wracać do mnie".

Nie schodziła długo. Wtedy Stawisińską dopadły złe przeczucia. „Powiedzieli nam, że Jasiu jest ranny. Ciszewska chciała wysłać do nas telegram, ale poczta żądała pieczątki z komendy MO. A tam oficer dyżurny tylko na nią nawrzeszczał: »Jak umrze, to się wyśle!«" – wspominała.

Autobusy jeździły dopiero od godz. 14, więc czekały. Przyszli Jasiu Domżalski, kolega z kopalni, i Andrzej Ciszewski, współlokator Janka (to on zabrał z muru przy kopalnianym krzyżu przestrzelony górniczy kask Stawisińskiego – jeden z dziewięciu należących do tych, których

eprasa.pl 2509c326de

Pomnik poległych górników z kopalni Wujek FOT. DOMINIK GAJDA/REPORTER

zabito). Pierwszym autobusem pojechali do szpitala do Szopienic. W milczeniu brnęli przez głęboki śnieg.

Według jednej z relacji Stawisińskiego tego dnia nie powinno być na terenie kopalni, gdyż był chory i miał zwolnienie. Przyszedł, bo uważał, że razem z kolegami powinien bronić kopalni i idei Solidarności.

MIŁOŚĆ

Janina Stawisińska po latach wspominała: „Gdy dotarłyśmy [do szpitala], widok Janka wstrząsnął nami. Głowa przestrzelona, w bandażach, całe ciało pobite. Opieka lekarska prawie żadna, lekarz dyżurny nonszalancko mi oświadczył, że »to już trup«. Potrzeba było interwencji – na jaką może się zdobyć tylko matka umierającego dziecka – żeby przewieźć syna na oddział reanimacyjny Szpitala Górniczego w Ochojcu". Załatwił to Jan Domżalski.

Jolanta Gardenik, technik radiologii, działała w Społecznym Komitecie Pamięci Górników KWK „Wujek": „Doktor Jerzy Stasiak, neurochirurg z Ochojca, konsultował go i stwierdził, że Janek miał rany wlotu i wylotu zaszyte! Wewnątrz pozostał gaz po kuli, opiłki kości, krwotok. Wyglądało, jakby się ktoś Jankiem bawił".

Na Wigilię matka z córką przyjechały do domu, drugiego dnia świąt matka wyjechała do Katowic. Nazajutrz rano prosto z dworca poszła do Wydziału Zdrowia WRN i zgłosiła się do pracy w Ochojcu jako salowa. Miała pracę obok syna i kąt w przyszpitalnym baraku.

Stawisińska: „Znajomemu, który jechał do Warszawy, podałam kartkę do Asi, narzeczonej Jasia, studentki piątego roku medycyny. Asia przyjechała i zatrudniła się jako pielęgniarka. Koledzy Janka zdobywali lekarstwa, po glukozę jeździli aż do Gliwic!".

Pracowała od 6 do 14 i potem siadała przy łóżku Jasia („poza Halinką, z którą mieszkałam, dość długo nikt nie orientował się, kim jestem"). W szpitalnej kuchni gotowała dla syna posiłki (był karmiony sondą). Stawisińska: „Dwie dziewczyny oddały mi kartkową cielęcinę, jaką zdobyły dla swoich dzieci, żebym miała dla Jasia. Ale pielęgniarka, która była specjalnie oddelegowana do opieki nad nim, nie bardzo się przejmowała".

Całe popołudnia spędzała przy synu. Ordynator, kiedy już wiedział, dlaczego tu przyszła, zrobił awanturę.

Asia (ślub wyznaczony był na czerwiec 1982 r.) przychodziła codziennie rano przed dyżurem i po nim. Stawisińska: „Któregoś dnia mówię do Asi: on ma chyba zapalenie płuc, ty go osłuchaj. I tak było! A przecież miał mieć specjalną opiekę, więc jak mogli tego nie widzieć?".

25 stycznia rano zobaczyła przy Janka łóżku jakiś szum, coś się działo. „I ja, głupia, pomyślałam, że to może na dobre się zmienia". Poszła na poranną mszę. Wróciła i syna już nie było, leżał w osobnej sali dla nieżyjących. W kadrach złożyła zwolnienie z pracy.

„BÓG UPOMNI SIĘ O TO ŻYCIE"

Zabrała ciało syna. Do Koszalina wiózł go kopalniany samochód. Stawisińska: „Jechał tak daleko za nami, że bałam się, czy go nie zawrócą. W Jastrowiu postanowiłam, że poczekamy i dalej pojedziemy razem. Nie miałam dowodu osobistego, który został w hotelu, ale legitymującym mnie żołnierzom mówiłam: »Jedzie za mną mój syn w trumnie« i wojskowi bez słowa puszczali. Za Jastrowiem dogoniła nas milicja na sygnale: okazało się, że papiery auta nie były w porządku. Kierowcy tłumaczyli, że w ostatniej chwili musieli zrezygnować z nysy, a wziąć fiata, no i nie zdążyli zmienić dokumentów. »To co, mamy się wrócać do Katowic!« – tak po śląsku gadali. I ich puścili". Pojechali najpierw pod dom, a potem na cmentarz.

Pogrzeb odbył się 29 stycznia 1982 r. W całości był kontrolowany przez Służbę Bezpieczeństwa, która poinformowała wcześniej o. Rajmunda Marszałkowskiego (później misjonarza w Zanzibarze, w Kenii, Tanzanii i Nairobi), przewodniczącego uroczystościom żałobnym, jakie grożą mu konsekwencje, gdyby nie zastosował się do jej poleceń.

W mszy żałobnej w kościele parafialnym oo. Franciszkanów pw. św. Krzyża w Koszalinie brało udział ok. 100 osób. Na cmentarzu komunalnym, po odmówieniu wspólnej modlitwy za duszę zamordowanego, mowę pożegnalną wygłosił o. Marszałkowski.

Tydzień później odbył się tzw. drugi pogrzeb Stawisińskiego, zorganizowany przez działaczy koszalińskiej podziemnej Solidarności. Z czasem ufundowano pomnik autorstwa Zygmunta Wujka i grób młodego górnika stał się miejscem corocznych spotkań opozycji koszalińskiej.

ZBRODNIA, KARA I PAMIĘĆ

Zabiegi o odnalezienie i ukaranie morderców Stawisińskiego trwały latami. Rytm życia Janiny Stawisińskiej wyznaczały procesy przeciwko funkcjonariuszom plutonu specjalnego ZOMO, w których uczestniczyła jako oskarżyciel posiłkowy.

Dopiero w kwietniu 2009 r. Sąd Najwyższy zatwierdził wyroki prawie dla wszystkich morderców górników z kopalni Wujek. Jeden z ostatnich aktów rozegrał się niedawno, 13 grudnia 2019 r., gdy Sąd Okręgowy w Katowicach skazał Romana S. (zatrzymanego w Chorwacji i wydalonego do Polski) na trzy i pół roku więzienia. Janina Stawisińska tego nie dożyła, zmarła 3 maja 2011 r.

Jan Stawisiński ma dziś w Koszalinie ulicę swego imienia i pomnik. 29 sierpnia 1990 r. prezydent RP na Uchodźstwie Ryszard Kaczorowski odznaczył go Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami, zaś prezydent RP Lech Wałęsa 7 grudnia 1992 r. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2015 r. Jan Stawisiński został uhonorowany pośmiertnie Krzyżem Wolności i Solidarności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

współpraca Edyta Wnuk

eprasa.pl 2509c326de

FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM

Impeachment osłabia Amerykę

Jacek Przybylski

Próba wypędzenia prezydenta z Białego Domu na kilka miesięcy przed wyborami osłabia pozycję USA. Demokraci naruszyli znaną od dekad zasadę, aby politycy, walcząc o wpływy w kraju, nie uderzali w narodowe interesy Ameryki. Impeachment Trumpa może więc mieć o wiele większe konsekwencje dla świata niż impeachment Clintona

Jestem dumny mówiąc, że Stany Zjednoczone przeżywają boom gospodarczy, jakiego świat wcześniej nie widział. Ameryka się rozwija, prosperuje i zwycięża jak nigdy wcześniej – podkreślał Donald Trump, przemawiając w zeszły wtorek na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos. Rzeczywiście, miał się czym chwalić. Amerykańska gospodarka wciąż się rozwija w tempie szybszym od oczekiwań analityków, bezrobocie w USA utrzymuje się na rekordowo niskim poziomie (od momentu objęcia władzy przez Trumpa w Ameryce przybyło 7 mln miejsc pracy), a z amerykańskiego prawa co i rusz usuwane są kolejne szkodliwe dla biznesu regulacje.

A jednak pozycja Trumpa – przywódcy największego mocarstwa na świecie – była w Davos wyraźnie osłabiona. Tego samego dnia, 21 stycznia 2020 r., w amerykańskim Senacie oficjalnie rozpoczynał się bowiem impeachment, czyli „proces", w którym czołowi politycy Partii Demokratycznej oskarżają urzędującego prezydenta o dokonanie przestępstwa, które – ich zdaniem – jest wystarczająco poważne, aby przed terminem usunąć go z urzędu.

W niemal 250-letniej historii USA przed Donaldem Trumpem procedurę impeachmentu wszczęto wobec dwóch prezydentów: Andrew Johnsona w 1868 r. i Billa Clintona w roku 1998. Obaj zostali uniewinnieni. Najbliżej utraty urzędu z powodu impeachmentu był Richard Nixon w 1973 r. – podał się jednak do dymisji, zamiast ryzykować, że usunie go Senat.

W przypadku Trumpa pierwszy raz w historii Ameryki kluczowym powodem wszczęcia procedury impeachmentu nie są jednak wydarzenia z krajowej sceny politycznej, lecz kwestie związane z dyplomacją. Jeszcze przed rozpoczęciem „procesu" w Senacie, gdy impeachment był już jednak praktycznie przesądzony, rozwścieczony Donald Trump opuścił przed czasem grudniowy szczyt NATO w Londynie. Media opublikowały bowiem pogaduszki nagranych z ukrycia w pałacu Buckingham przywódców Kanady, Wielkiej Brytanii, Francji oraz Holandii, dworujących sobie z prezydenta USA. Efekt? Światowe gazety skupiły się na skandalu, dużo mniej uwagi poświęcając konieczności większych wydatków na obronność czy przełamaniu sprzeciwu Turcji wobec

eprasa.pl 2509c326de

aktualizacji planów obrony Polski i krajów bałtyckich.

Rozpoczęty w ubiegłym tygodniu „proces" stawia Donalda Trumpa w najtrudniejszym położeniu od początku jego prezydentury. Impeachment tylko na pierwszy rzut oka przypomina bowiem bezstronny sąd z rzetelnym prokuratorem i bezstronną ławą przysięgłych. W praktyce to typowy proces polityczny z prokuratorem, który skrzętnie pomija wszelkie dowody niewinności. Sam oskarżony uważa więc akt oskarżenia za zamach stanu ze strony Partii Demokratycznej i podkreśla, że sprawiedliwsze były nawet procesy czarownic z Salem.

ZABÓJCZA SIÓDEMKA

Zarówno polowania na czarownice, jak i współczesne próby przedterminowego wyrzucenia prezydentów z Białego Domu, miały jednak nieporównywalnie mniejszy wpływ na losy świata niż rozpoczęty „proces" Trumpa. Antyprezydencka ofensywa Partii Demokratycznej, kwestionująca głównie sposób prowadzenia przez prezydenta polityki zagranicznej, w brutalny sposób złamała obowiązującą od dziesięcioleci zasadę, mówiącą, że republikanie i demokraci mogą walczyć na śmierć i życie na scenie krajowej, ale wewnętrznych brudów nie wolno im przenosić na scenę międzynarodową.

Zasadę „Politics stops at the water's edge", czyli „polityka kończy się na brzegach oceanu", sformułował po zakończeniu drugiej wojny światowej przewodniczący senackiej Komisji ds. Zagranicznych Arthur Vandenberg. Jak to w życiu bywa, nigdy nie była ona przestrzegana w stu procentach. Trzeba jednak oddać amerykańskim politykom, że przedstawiciele obu stron politycznej barykady starali się o niej pamiętać na tyle często, że zasada Vandenberga znacząco wzmocniła pozycję Ameryki podczas zimnej wojny i pozwalała kolejnym amerykańskim przywódcom cieszyć się dużym autorytetem podczas rozmów z liderami innych państw.

O tym, że najważniejszy jest interes kraju, w mniejszym lub większym stopniu pamiętano podczas interwencji Busha w Iraku, a także gdy za rządów prezydenta Obamy komandosom udało się zlikwidować Osamę bin Ladena. Bohaterską akcję chwalili zarówno rządzący wówczas demokraci, jak i wielu będących przecież w opozycji republikanów. W 2020 r. liderzy Partii Demokratycznej nie potrafią jednak przyznać, że odważna decyzja Donalda Trumpa o likwidacji gen. Sulejmaniego – szefa irańskich sił specjalnych, który miał na sumieniu wielu Amerykanów, a planował ich zabić wiele tysięcy więcej – zwiększyła bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. To jednak tylko jeden z grzechów opozycji chcącej za wszelką cenę odzyskać władzę. Dużo poważniejsze było wszczęcie pod mocno naciąganym pretekstem procesu impeachmentu, podczas którego demokraci posadzili na ławie oskarżonych nie tylko prezydenta USA, lecz także de facto wielu dyplomatów, osłabiając pozycję amerykańskiego imperium.

Demokratyczni politycy, żądający dla Donalda Trumpa politycznej kary śmierci, czyli przedterminowego usunięcia z piastowanego urzędu, aby chociaż spróbować zbliżyć się do swojego celu, będą musieli ujawnić tajemnice amerykańskiej dyplomacji, które z pewnością skrzętnie zanotują w kajecikach szpiedzy na całym świecie. „Zabójcza siódemka" – jak nazwano demokratycznych polityków z Izby Reprezentantów, którzy przed senacką ławą przysięgłych będą udawać prokuratorów i próbować pogrążyć prezydenta – będzie bowiem nalegać na to, aby na świadków wzywać wysokich rangą amerykańskich dyplomatów, którzy byli zaangażowani w tzw. aferę ukraińską. Według demokratów prezydent Trump miał bowiem uzależnić pomoc wojskową dla Ukrainy od rozpoczęcia śledztwa w sprawie podejrzanej działalności na Ukrainie Huntera Bidena, syna Joe Bidena, który jest jednym z prawdopodobnych konkurentów Donalda Trumpa w tegorocznych wyborach prezydenckich. Prezydent został więc przez demokratów oskarżony o nadużycie władzy w celu uzyskania osobistych korzyści politycznych, a także o utrudnianie dochodzenia w Kongresie, które prowadzili politycy dominującej w Izbie Reprezentantów opozycyjnej Partii Demokratycznej. Zdaniem demokratów zachowanie Trumpa wobec władz w Kijowie przypominało wymuszenie okupu przez szefa mafii. Demokraci zapominają jednocześnie, że syn Joe Bidena – Hunter – za rządów administracji Obama-Biden pracował za duże pieniądze w zarządzie ukraińskiej firmy gazowej Burisma, która była oskarżana o korupcję na długo, zanim odbyła się rozmowa Trumpa i Zełenskiego.

Przyciśnięty do muru, a jednocześnie przekonany o swojej niewinności prezydent Trump nakazał więc ujawnienie kluczowych wątków swojej rozmowy z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, co w oczywisty sposób zaszkodziło globalnym interesom Ameryki. Obecnie żaden przywódca innego kraju podczas rozmowy z amerykańskim prezydentem nie może być bowiem pewny, że to, co powie w „cztery oczy", nie stanie się szybko wiedzą publicznie dostępną i nie stanie się ważnym argumentem w rękach krajowej opozycji.

PUCZ DEMOKRATÓW

Na szczęście dla Ameryki i wielu jej sojuszników już pierwszego dnia „procesu" republikanie – mający większość w Senacie – odrzucili wnioski zgłoszone przez lidera demokratów w tej izbie Chucka Schumera o przekazanie na potrzeby procesu nagrań oraz dokumentów z Białego Domu, Departamentu Obrony, Departamentu Stanu oraz Biura Zarządzania i Budżetu, które mają związek z kontaktami administracji prezydenta z władzami w Kijowie.

Demokraci kombinują, jak mogą. Ponieważ brakuje im bezpośrednich dowodów winy Trumpa, to szukają jakichkolwiek poszlak i sugestii. Przegłosowany przez nich impeachment oznaczać więc może, że na świadków zostanie wezwany np. były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, neokonserwatysta John Bolton, szef kancelarii Trumpa Mick Mulvaney, a także pełniący obowiązki ambasador w Kijowie William Bill Taylor (weteran wojny w Wietnamie z ogromnym doświadczeniem w dyplomacji), specjalny wysłannik na Ukrainę Kurt Volker, a także kluczowi doradcy ds. Rosji w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Do zamknięcia tego wydania „Do Rzeczy" lider większości republikańskiej w Senacie Mitch McConnell nie wykluczył takiej możliwości. Dokładne grillowanie dyplomatów z pewnością ucieszy wrogów USA.

Kłopot jest tym większy, że relacje amerykańsko-ukraińskie nie są jakimś pobocznym wątkiem, lecz – zwłaszcza od czasu rosyjskiej inwazji na wschodnią Ukrainę i rozpoczęcia bezprawnej okupacji Krymu – jedną z kluczowych kwestii dla bezpieczeństwa Europy oraz świata.

eprasa.pl 2509c326de

Impeachment może doprowadzić nie tylko do ujawnienia niektórych sekretów czy kulisów prowadzenia polityki, lecz także do poważnego kryzysu funkcjonowania amerykańskiego imperium.

Oczywiście, można argumentować, że przecież w styczniu 1999 r. to Partia Republikańska rozpoczęła pierwszy od 130 lat proces impeachmentu wobec prezydenta Billa Clintona. Proces w „aferze rozporkowej" nie wpłynął jednak w znaczący sposób na interesy Ameryki na świecie.

„Monicagate" udowodniła co prawda, że Clinton to cudzołożnik i kłamca, ale przesłuchania dotyczące plam na sukience stażystki z Białego Domu nie ujawniały zbyt wielu tajemnic Stanów Zjednoczonych. O tym, że politycy często kłamią i zdradzają, wiedzą bowiem mieszkańcy wielu krajów świata nawet bez głośnych amerykańskich procesów.

W przeciwieństwie do kłopotów Nixona czy Clintona – wówczas Ameryka była w stanie jednocześnie sądzić prezydenta i trzymać w szachu Sowietów czy prowadzić wojnę w Kosowie – impeachment Trumpa może doprowadzić do rewolucji lub kompletnego impasu w amerykańskiej dyplomacji. Jeśli polityczny kryzys potrwa dłużej, wielu specjalistów od Rosji czy Europy Wschodniej może porzucić pracę w Departamencie Stanu i przejść do sektora prywatnego. Stracić na tym mogłyby takie kraje jak Ukraina czy Polska.

Toczący się w Senacie „proces" z pewnością będzie też zajmował dużą część uwagi urzędującego prezydenta, który już podczas przesłuchań pierwszych świadków w Izbie Reprezentantów nie mógł oderwać rąk od Twittera. Prezydent USA będzie miał więc o wiele mniej czasu niż zazwyczaj na studiowanie raportów dotyczących sytuacji międzynarodowej, które będą trafiać na jego biurko w Gabinecie Owalnym. To osłabienie uwagi oraz pozycji Donalda Trumpa może sprawić, że amerykańska dyplomacja stanie się jeszcze bardziej chaotyczna. Problemy przywódcy Ameryki mogą też chcieć wykorzystać Irańczycy, Chińczycy, dyktator Korei Północnej, autorytarny władca Turcji, afgańscy talibowie etc. Każde potknięcie czy oznakę słabości przywódcy Ameryki szybko na swoją korzyść obrócić też może samozwańczy „car" Rosji Władimir Putin. Prezydent USA – aby nie wypaść na słabeusza przed listopadowymi wyborami prezydenckimi – może też reagować ostrzej niż potrzeba i w ten sposób destabilizować sytuację na świecie. Mimo oskarżenia za Donaldem Trumpem wciąż stoi przecież potęga największego mocarstwa.

Każdy z tych scenariuszy dla świata mógłby okazać się niebezpieczny. Wiedzą o tym doradcy Trumpa i właśnie dlatego w dniu rozpoczęcia „procesu" w Senacie prezydent USA przemawiał w szwajcarskim Davos, choć on sam ma świadomość, że wśród światowych przywódców nie jest uważany za najlepszego prezydenta w historii USA.

Zajęty impeachmentem Trump może nie chcieć zajmować się sprawami świata lub – przeciwnie – zbyt ostro reagować na prowokacje

Polityczny sąd demokratów nad republikańskim prezydentem może również ugodzić w wizerunek Ameryki, która chciałaby uchodzić za wzorzec światowej demokracji i która często domaga się od władz różnych państw ścisłego przestrzegania zasady trójpodziału władzy. W przypadku impeachmentu Trumpa zawiedli nie tylko politycy Partii Demokratycznej (którzy doprowadzili de facto do kongresowego zamachu stanu), lecz także liberalne media, które – ślepe na jakiekolwiek nadużycia ze strony przeciwników prezydenta – nie reagują, gdy lewicowe „elity" za wszelką cenę próbują zakwestionować wyrażoną w wyborach wolę amerykańskiego narodu.

SZYBKIE UNIEWINNIENIE?

Jest jednak szansa, że „proces" potrwa krótko, a jego wynik będzie korzystny dla Trumpa. Chociaż demokraci zrobią wszystko, aby zniszczyć prezydenta lub chociaż zmniejszyć jego szanse na reelekcję, pełniący funkcje przysięgłych senatorowie – wśród których większość mają członkowie Partii Republikańskiej – będą się starali doprowadzić do uniewinnienia Donalda Trumpa tak szybko, jak to tylko możliwe. – Prezydent nie zrobił absolutnie nic złego – podkreślają prawnicy amerykańskiego przywódcy i nazywają działania demokratów „konstytucyjną parodią".

Jak dowodzą adwokaci Donalda Trumpa, pod względem prawnym nietrafione są już same wysunięte przez demokratów zarzuty. Nie są to bowiem przestępstwa kryminalne, więc teoretycznie nie kwalifikują się do tego, aby były podstawą przedterminowego usunięcia prezydenta z urzędu. A według konstytucji USA impeachment powinien dotyczyć przypadków „zdrady stanu, łapówkarstwa lub innych poważnych zbrodni i wykroczeń". Takiego właśnie argumentu skutecznie użyto też w 1867 r. podczas pierwszego impeachmentu w historii USA, gdy nielubiące prezydenta elity próbowały wykurzyć z Białego Domu prezydenta Andrew Johnsona.

W przypadku Donalda Trumpa trudno będzie to udowodnić, choć to politycy, a nie sędziowie czy prawnicy, rozstrzygną, co jest „poważną zbrodnią i wykroczeniem", a co po prostu decyzjami dotyczącymi polityki zagranicznej, które prezydent ma pełne prawo podejmować. Poza tym większość w Senacie i tak mają republikanie, a to właśnie senatorzy zostali zaprzysiężeni w roli ławy przysięgłych. Aby wyrzucić prezydenta z urzędu, potrzeba co najmniej dwóch trzecich głosów. Prosta arytmetyka pokazuje więc, że uniewinnienie urzędującego prezydenta wydaje się więc niemal pewne. I niewykluczone, iż dojdzie do tego już w lutym.

Demokraci wciąż liczą jednak na to, że nawet jeśli nie uda im się usunąć Donalda Trumpa z urzędu, to poraniony w wyniku „procesu" prezydent przegra w listopadzie walkę o reelekcję. Jeden z najgroźniejszych rywali Trumpa – Michael Bloomberg – w 27 stanach USA wykupił spoty reklamowe, podczas których wyraża poparcie dla impeachmentu. – W 2016 r. ostrzegałem, że Donald Trump jest niebezpiecznym demagogiem. Nadszedł czas, aby Senat zadziałał i usunął Trumpa z urzędu, a jeśli oni tego nie zrobią, w listopadzie zrobimy to ja i wy – mówi miliarder marzący o prezydenturze.

Dotychczas impeachment nie wpłynął negatywnie na notowania gospodarza Białego Domu. Przeciwnie – obniżył poparcie dla demokratów. Wielu Amerykanów jest bowiem kompletnie znudzonych zarzutami związanymi z pomocą dla Ukrainy. Zamiast tego woleliby, aby ich przedstawiciele w Waszyngtonie zajęli się sprawami ważnymi dla Amerykanów: gospodarką, bezpieczeństwem czy kwestią ochrony zdrowia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

FOT. ADOBE STOCK

SZWEDZKI ODLOT

To Szwedzi ukuli modne obecnie określenie „wstyd przed lataniem". Chodzi o to, że gdy ktoś wybiera się daleko i leci samolotem, to samolot spala dużo paliwa. A to jest nieekologiczne. Poczucie wstydu towarzyszące podróży samolotem zaczęło na Szwedów działać. W ubiegłym roku odnotowano spadek liczby osób korzystających w tym kraju z lotnisk – z 42 mln osób w roku 2018 do 40 mln osób w roku ubiegłym (spadek o 4 proc.). Najmocniej – o ok. 9 proc. – spadła liczba ludzi podróżujących samolotami na trasach krajowych w Szwecji.

NIEMIECKI ŻART MINISTERIALNY

Na Twitterze ktoś rozpoczął akcję „Zwiedź kogoś w czterech słowach", co polegało na wygłaszaniu czterowyrazowych nieprawdziwych informacji. Akcja internetowa, jakich wiele, niespecjalnie mądra. Ale w tej udział wzięło MSZ Niemiec. Na oficjalnym profilu napisano: „Twoja wiza została zatwierdzona". Ten żart nie spodobał się wielu osobom. Do tego stopnia, że niemieccy urzędnicy musieli za wpis publicznie przeprosić. „Bycie zabawnym widocznie nie jest naszą najmocniejszą stroną" – napisali pracownicy MSZ.

TENISOWA AFERA BANANOWA

„Bananadrama" – to, co wydarzyło się na kortach podczas tegorocznego turnieju Australian Open, ma już własną nazwę w mediach. A chodzi o sytuację z francuskim zawodnikiem Elliotem Benchetritem. Podczas przerwy meczu Francuz zawołał dziewczynkę zajmującą się podawaniem piłek, wręczył jej banana i domagał się, by mu obrała ten owoc. Zareagował sędzia główny, który kazał dziewczynce oddać banana właścicielowi. Francuz się zdenerwował i skrytykował sędziego. Ale banana obrał już sam.

MĘŻCZYZNA, CZYLI „OSOBA"

Lokalne władze hiszpańskiej Aragonii stworzyły dla swoich urzędników podręcznik „Język inkluzywny z perspektywą gender". Opracowanie ma pomóc urzędnikom w tworzeniu pism. A te mają wykluczać „seksizm". Urzędnikom zaleca się więc, by nie używali już więcej brzydkich określeń takich jak „mężczyzna" czy „kobieta". Należy pisać „osoba" albo „gatunek ludzi". Źle widziane jest też pisanie „chłopiec" czy „dziewczynka". Zamiast tych strasznych określeń urzędnicy Aragonii mają używać słowa „criatura" – znaczącego stworzenie, niemowlę czy istotę.

FAŁSZYWY KRÓL, DATKI PRAWDZIWE

Indonezyjska policja zatrzymała parę, która przekonała blisko pół tysiąca osób, iż są władcami nieistniejącego państwa, i zebrała od nich łapówki za przyszłe stanowiska w rządzie. 42-latek i jego 41-letnia partnerka prowadzili na YouTube kanał i pokazywali podrobione dokumenty. Przedstawiali się jako król i królowa państwa Wielkie Królestwo Świata. Ludzie, którzy marzyli o posadach, przekazywali im „datki".

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

ŁUKASZ WARZECHA

Mniej niż funt kłaków

Wraz z wejściem do sporu o sądownictwo Trybunału Konstytucyjnego z Julią Przyłębską na czele bardak (przepraszam, ale nie ma tu bardziej adekwatnego słowa) w polskim sądownictwie wszedł na kolejny poziom. A właściwie – zszedł.

Bo jesteśmy już w tej zabawie blisko dna, czyli faktycznego prawnego dualizmu, gdy jeden organ sądowy będzie mówił „A", a drugi „B", a obywatel jak idiota będzie stał pośrodku. Zacietrzewienie walczących wydaje się nie mieć granic, a horyzont skrócił się do satysfakcji z wymierzenia kolejnego ciosu. Do bitki włączył się ochoczo prezydent, rezygnując całkowicie z przypisanej mu z urzędu roli rozjemcy i strażnika rudymentarnej spójności państwa.

Jesteśmy w momencie w kreskówkach zwykle prezentowanym jako kłąb dymu i kurzu, z którego tylko co jakiś czas wychyla się noga czy ręka któregoś z walczących. Jaki będzie rezultat – nie wiadomo. Wiadomo natomiast, że obserwujemy właśnie największy blamaż elit – i tych politycznych, i tych sędziowskich – po 2015 r. Z obu stron sporu.

Opowieści zaś jednych, że walczą o demokrację i niezawisłość sędziowską, oraz drugich, że walczą o dekomunizację i oczyszczenie sądownictwa – są tyle samo warte, czyli mniej niż funt kłaków. ©℗

eprasa.pl 2509c326de

Michaił Miszustin był wcześniej szefem Federalnej Służby Podatkowej FOT. SPUTNIK/REUTERS/FORUM

Putin odejdzie, ale zostanie

Maciej Pieczyński

Michaił Miszustin, nowy premier Rosji, to doświadczony menedżer, chwalony nawet przez przeciwników obecnej władzy w Moskwie. Nie oznacza to jednak pełnej zamiany autokracji na technokrację. Putin za cztery lata dalej będzie rządził Rosją. Tyle że z tylnego fotela

Miszustin w szkole był sekretarzem organizacji komsomolskiej, komunistycznej młodzieżówki. „Był niemal prymusem. Uczył się bardzo dobrze, utalentowany, zdolny. Grał na gitarze, pisał wiersze, występował w szkolnym kabarecie. Mogę o nim powiedzieć same dobre rzeczy" – wspominała w rozmowie z agencją RIA Novosti Marina Czerkasowa, obecna dyrektor szkoły, w której uczył się niedawno mianowany premier Rosji. „Literat i matematyk jednocześnie" – taką, według rządowych mediów, miał wśród nauczycieli opinię. Spośród licznych pasji i zainteresowań, które Michaił Miszustin przejawiał już w szkolnych latach, najtrwalszym i najbardziej korzystnym z punktu widzenia późniejszej kariery okazał się hokej. Sport niezwykle popularny w najbliższym otoczeniu Władimira Putina. Miszustin należał do rady nadzorczej klubu hokejowego Dynamo Moskwa, w której skład wchodzili również tak wpływowi ludzie Kremla jak szef FSB Aleksander Bortnikow czy obecny minister obrony Siergiej Szojgu. Obecnie zasiada w radzie nadzorczej innego moskiewskiego klubu hokejowego – CSKA. W równie doborowym towarzystwie m.in. szefa koncernu naftowego Rosnieft Igora Sieczina.

Jednak swojej pozycji na kremlowskim olimpie Miszustin bynajmniej nie wywalczył sobie na lodzie. Przez 10 ostatnich lat pełnił funkcję szefa Federalnej Służby Podatkowej. Za sukcesy, które odniósł na tym stanowisku, chwalony jest nie tylko przez media rządowe, lecz także opozycyjne. – To zdolny administrator, w odróżnieniu od Miedwiediewa, który nic nie robił – mówi „Do Rzeczy" Leonid Radzichow-

eprasa.pl 2509c326de

ski, niezależny komentator polityczny. Miszustin nie tylko radykalnie zwiększył ściągalność podatków, lecz także stworzył system pozwalający praktycznie w czasie rzeczywistym śledzić jakąkolwiek aktywność finansową w kraju. Latem zeszłego roku wprowadził rozwiązania, dzięki którym fiskus zbiera potrzebne informacje przez Internet. Dzięki temu biznes jest już w dużo mniejszym stopniu nękany kontrolami podatkowymi – nie są one bowiem już potrzebne. „Właśnie z inicjatywy Miszustina został wprowadzony podpis elektroniczny.

Federalna Służba Podatkowa jest jedną z najbardziej rozwiniętych pod względem cyfryzacji instytucji w Rosji" – zauważa Maksim Blant, dziennikarz ekonomiczny Radia Swoboda. Sukcesy na tym polu można wytłumaczyć tym, że Miszustin karierę zaczynał jeszcze na początku lat 90. w Międzynarodowym Klubie Komputerowym, który zajmował się wdrażaniem w Rosji zagranicznych technologii. Tuż przed upadkiem Związku Sowieckiego ukończył Moskiewski Instytut Maszyn i Urządzeń, na kierunku projektowania wspomaganego komputerowo. Właśnie to doświadczenie sprawiło, że Miszustin trafił w 1998 r. do rządu, nazywanego wówczas „rządem młodych reformatorów", gdzie już wtedy zaczął się zajmować wdrażaniem systemów informatycznych w służbie podatkowej. Pracę urzędnika łączył z działalnością naukową. Napisał doktorat o mechanizmie państwowej administracji podatkowej, zrobił habilitację na temat opodatkowania majątkowego w Rosji. W tym czasie pracował już w biznesie. Był prezesem i partnerem zarządzającym prywatnej spółki OFG Invest, wchodzącej w skład współpracującej m.in. z Deutsche Bank Grupy UFG, założonej przez Borisa Fiodorowa (wcześniej również szefa służby podatkowej – Miszustin był jego zastępcą, a potem następcą) i amerykańskiego finansistę Charlesa Ryana.

ELITA ZASKOCZONA

Zmiana na fotelu premiera Rosji była zaskoczeniem nie tylko dla komentatorów, lecz także dla samych przedstawicieli kremlowskiej elity. Najpierw Putin, podczas spotkania ze Zgromadzeniem Federalnym (obie izby parlamentu), ogłosił plan zmian w konstytucji. Ich głównym przesłaniem ma być zmniejszenie uprawnień prezydenta na korzyść władzy ustawodawczej.

– W myśl zaproponowanych poprawek do konstytucji parlament m.in. zwiększy swoje uprawnienia w zakresie formowania rządu, co obecnie należy w zasadzie wyłącznie do prezydenta. W tym sensie rzeczywiście mamy do czynienia z pewnym, przynajmniej formalnym, rozproszeniem władzy między różne organy. Parlament będzie zatwierdzać zarówno nowego premiera, jak i skład rządu – mówi dr Maria Domańska, główny specjalista zespołu rosyjskiego w Ośrodku Studiów Wschodnich. – Niewątpliwie osłabieniem urzędu prezydenckiego jest ograniczenie kadencji do dwóch (zamiast „dwóch z rzędu"). Tym samym kolejny prezydent nie będzie mógł wrócić na urząd po przerwie, jak to miało miejsce w roku 2012. Prezydent zyskuje natomiast jeszcze większą niż dotychczas kontrolę nad sądami. Zgodnie z tymi zmianami będzie mógł wnioskować m.in. o odwoływanie przez parlament sędziów (wcześniej odwoływanie sędziów leżało w kompetencji samych gremiów sędziowskich) – dodaje.

Trzy godziny po zaproponowaniu zmian w konstytucji Dmitrij Miedwiediew złożył dymisję rządu, żeby „umożliwić prezydentowi podjęcie decyzji, niezbędnych dla realizacji inicjatyw, zapowiedzianych w wygłoszonym orędziu". Pojawiły się głosy, że Miedwiediew, jako przynajmniej kreujący się na liberała, odszedł, ponieważ był przeciwny obietnicom socjalnym złożonym przez Putina przy okazji prezentacji pomysłów zmian w konstytucji. Tę tezę pośrednio potwierdził w rozmowie z dziennikarzami rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow. Jednak kreowany od dawna, zwłaszcza na Zachodzie, wizerunek Miedwiediewa jako liberała, który Putinowi się nie kłania, to zdaniem wielu komentatorów tylko fasada, pod którą krył się wierny, lojalny współpracownik jedynego realnego władcy Rosji. Rzekome wolnorynkowe nastawienie byłego już premiera ma raczej wymiar karykaturalny. Fundacja Walki z Korupcją Aleksieja Nawalnego swego czasu szeroko nagłaśniała podejrzane interesy niezwykle bogatego polityka.

– Dmitrij Miedwiediew zużył się politycznie. Stał się dla Kremla obciążeniem wizerunkowym. W sondażach miał niższe poparcie niż cały rząd ogółem. Ponadto bardzo niepopularna reforma emerytalna, ogłoszona w 2018 r. przez Putina, obciążyła również Miedwiediewa jako premiera. Właśnie dlatego, aby propagandowo zademonstrować społeczeństwu, że nadchodzi

REKLAMA

eprasa.pl 2509c326de

rzekome „nowe otwarcie", wyczekiwane przez obywateli zmiany, potrzebna jest nowa, nieskompromitowana twarz – tłumaczy dr Domańska.

Doktor Łukasz Jasina z Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych przypomina, że były już premier to jeden z najdłużej trwających przy Putinie polityków, jeszcze z czasów petersburskich. Jego zdaniem dymisja wcale nie musi oznaczać, że Miedwiediew popadł w niełaskę. – Nie wiadomo, czy poszedł w odstawkę, czy może tylko na urlop. Ja osobiście typuję tę drugą możliwość. Jak będzie, okaże się za kilka miesięcy. Wydaje się jednak, że jeden z najwierniejszych ludzi Putina nie powiedział jeszcze ostatniego słowa – mówi „Do Rzeczy" ekspert PISM. W jego opinii może się dosłownie powtórzyć wariant z lat 2008–2012, kiedy to premier i prezydent zamienili się miejscami. – Uważam, że Miedwiediew wciąż jest realnym kandydatem na prezydenta Federacji Rosyjskiej – komentuje.

Tak czy inaczej, polityka z krwi i kości, ostatnio niepopularnego, ale za to rozpoznawalnego i niezwykle doświadczonego człowieka Putina, zastąpił chwalony przez wszystkich technokrata, za którym, co podkreślają nawet przeciwnicy, nie ciągną się żadne skandale korupcyjne. A przynajmniej żaden z nich nie został jeszcze nagłośniony.

PREMIER „TECHNICZNY"?

– Putin postanowił postawić na czele rządu osobę uważaną za bardzo efektywnego menedżera, profesjonalistę. Właśnie dlatego wybór padł na Michaiła Miszustina, który zmodernizował służbę podatkową, tworząc z niej dobrze funkcjonujący organ e-administracji – mówi „Do Rzeczy" dr Maria Domańska z OSW. – Nie jest to gracz polityczny. Typowy technokrata, który, co istotne, nie wzbudza kontrowersji wśród przedstawicieli różnych frakcji kremlowskich elit. Otrzymał on konkretne zadanie: efektywnie poprowadzić prace nowo sformowanego rządu na początkowym etapie przygotowywania zmian na szczytach władzy w Rosji. Nie wiadomo, czy jest to premier czysto techniczny. Być może odejdzie, jak tylko wykona powierzone sobie zadania lub poniesie porażkę. Może jednak również pozostać przy władzy na tym czy innym stanowisku – dodaje.

Według Jasiny Miszustin to premier „techniczny". – Wciąż nie wiadomo, kogo Putin desygnuje na prawdziwego, politycznego premiera, z realną władzą – komentuje. – Nikt nie może być pewny swojej pozycji. Przed wyborami w 2008 r. wicepremier Iwanow był absolutnie przekonany, że to właśnie on zostanie kandydatem obozu władzy na prezydenta. Nawet przyznał to publicznie w jednym z wywiadów, po czym Putin się rozmyślił. Dlatego też również obecnie nie wiadomo, jakie ruchy poczyni wciąż urzędujący prezydent. Być może powtórzy się sytuacja z lat 2008–2012 i Putin stanie na czele rządu. A być może całe te szumne zapowiedzi reform i zmiany systemu władzy to próba wysondowania opinii elit władzy i społeczeństwa, i dopiero na podstawie tych reakcji Putin podejmie ostateczną decyzję? – zastanawia się. I dodaje: – Byłbym niezmiernie zdziwiony, gdyby to właśnie Miszustin został kandydatem na prezydenta. Jest to figura o zbyt małym znaczeniu na szachownicy rosyjskiej polityki. Swoim formatem przypomina licznych, słabo umocowanych politycznie, premierów sprzed epoki Miedwiediewa.

Zmiana w rządzie nie powinna oznaczać radykalnych zmian w polityce zagranicznej Moskwy. Miszustin nie jest ani „gołębiem", ani „jastrzębiem". Nie jest w ogóle postrzegany w takich kategoriach, ponieważ jest kompletnie nierozpoznawalny – w kraju i na Zachodzie. Może za to posłużyć jako argument wizerunkowy. Rosja być może chce pokazać, że dąży do zmian, do modernizacji, a postawienie na efektywnego technokratę to zabieg, który ma zmiękczyć zachodnią opinię publiczną. – Politycy lubią zrzucać odpowiedzialność za kierowanie państwem na technokratów. Zwłaszcza w obliczu trwałego kryzysu czy częściowych trudności gospodarczych. Władza odwraca uwagę opinii publicznej od własnej nieudolności i stara się pokazać, że robi, co w jej mocy, by było lepiej, powierzając władzę profesjonalistom. To dość powszechna praktyka, jak widać, również w Rosji – mówi dr Jasina. – Stawiając na technokratę, Kreml pokazuje światu: „Zobaczcie, Rosja nie zajmuje się teraz podbojami, tylko gospodarką, reformami, rozwiązywaniem problemów wewnętrznych" – uważa.

W CO GRA PUTIN

Zgodnie z konstytucją kadencja obecnego prezydenta kończy się w 2024 r. Gdyby Putin chciał, z pewnością zmieniłby ustawę zasadniczą tak, aby móc urząd objąć ponownie. Zamiast tego zaproponował osłabienie władzy prezydenckiej na rzecz parlamentu, co w medialnej propagandzie chwalone jest jako wielkoduszny gest oddania władzy „ludowi". Do konstytucji ma być jednak wpisana również instytucja Rady Państwa, która ma wyznaczać główne kierunki polityki wewnętrznej i zagranicznej, zapewniać koordynację organów władzy. I to właśnie tam, zdaniem wielu komentatorów, przeniesie się ośrodek realnej władzy Putina. – Co ciekawe, Radę Państwa ma powoływać prezydent, ale na razie poprawki nie wskazują, kto będzie jej przewodził. Putin, stając na czele tego organu, może więc okazać się niezależny od urzędującej głowy państwa. Pozostawi tym samym w swoich rękach możliwość kontroli nad pozostałymi ośrodkami władzy, pełniąc funkcję swego rodzaju superarbitra. Nawet jeśli nie będzie na bieżąco kreował polityki, zachowa przynajmniej decydujący wpływ na jej główne kierunki. Będzie w stanie zablokować każdą niewygodną dla siebie decyzję – komentuje dr Domańska z OSW. Jej zdaniem częściowa zmiana ustroju to gra pozorów.

Chodzi o to, by stworzyć iluzję konkurencji na szczytach władzy, wrażenie „równowagi sił", a być może, dopuszczając do stanowisk młodych, ambitnych, do tej pory niezwiązanych z polityką technokratów, uformować nową elitę oddanych Putinowi ludzi. – Jedno jest pewne: urzędujący od 20 lat z przerwami prezydent nie zrezygnuje z władzy, nie zejdzie z politycznej sceny. Najważniejszym jego celem jest pozostawienie sobie wpływu na władzę po odejściu z urzędu prezydenta. Z pewnością rozważa wiele różnych wariantów, a objęcie funkcji szefa Rady Państwa to tylko jeden z nich. Nie wiadomo nawet, czy dotrwa do końca obecnej kadencji, czy nie zrezygnuje w jej trakcie, by objąć inne stanowisko – komentuje ekspertka OSW.

– Putin, jako były oficer tajnych służb, jest specjalistą od taktyki, ale kompletnie nie potrafi wypracowywać długofalowych strategii. Dlatego, gdyby nawet zapytać go w tej chwili, jak docelowo będzie wyglądał ustrój Rosji po jego odejściu z urzędu prezydenta, nie potrafiłby, sam przed sobą, udzielić odpowiedzi. To wszystko rozstrzygnie się w praktyce. Z pewnością jednak zachowa władzę – przekonuje Leonid Radzichowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

Kalwiński pastor Wang Yi
FOT. EARLY RAIN COVENANT CHURCH/FACEBOOK

Z członkiem Kościoła Wczesnego Deszczu Li Wenem
rozmawia Łukasz Czarnecki

Męczennicy Państwa Środka

30 grudnia 2019 r., zaledwie po czterodniowym procesie przed sądem w chińskim Chengdu, kalwiński pastor Wang Yi, jeden z czołowych chińskich aktywistów broniących praw człowieka, pisarz i myśliciel, prawnik, wieloletni wykładowca uniwersytecki, założyciel i przywódca niewielkiego, lecz dynamicznie się rozwijającego Kościoła Wczesnego Deszczu, został skazany na dziewięć lat więzienia za – jak to określiła prokuratura – „próbę obalenia ustroju".

Wyrok jest kolejnym aktem ciągnącego się od roku dramatu. Duchowny został aresztowany w czasie nocnej łapanki w grudniu 2018 r. Od tego czasu parafianie nie mieli z nim kontaktu, a rodzina

eprasa.pl 2509c326de

pastora była przetrzymywana w areszcie domowym.

Data rozpoczęcia procesu będącego hańbą dla sprawiedliwości przypadkowo zbiegła się z liturgicznym wspomnieniem pierwszego męczennika chrześcijaństwa – św. Szczepana. Trudno nie uznać jej za symboliczną. Wyznawcy Chrystusa są dziś w Chinach prześladowani z zajadłością podobną do tej, z którą stykali się pierwsi chrześcijanie w Cesarstwie Rzymskim.

O pastorze, procesie i szykanach spadających na wiernych za Wielkim Murem rozmawiamy z członkiem Kościoła Wczesnego Deszczu panem Li Wenem (nazwisko zmienione dla bezpieczeństwa rozmówcy).

ŁUKASZ CZARNECKI: Jest pan członkiem Kościoła Wczesnego Deszczu, chińskiej kalwińskiej kongregacji zaliczającej się do prześladowanych przez Pekin tzw. kościołów podziemnych. Jak powstała wasza grupa i jaki ma charakter?

LI WEN: Do Kościoła przyprowadził mnie znajomy. Kiedy usłyszałem kazanie pastora Wang Yi, byłem pod dużym wrażeniem. W Chinach nie każdy duchowny ma dość odwagi, by mówić tak otwarcie i bezkompromisowo jak on. Postanowiłem więc uczęszczać na jego nabożeństwa. W naszym Kościele, podobnie jak wszyscy inni chrześcijanie, wierzymy w Trójcę Świętą. Pastor w swoich kazaniach zawsze podkreślał, że każdy człowiek jest grzesznikiem i nawet prezydent Xi Jinping nie jest tu wyjątkiem. Dlatego powinniśmy żałować za nasze grzechy i starać się je wynagrodzić Bogu. Mówił też, że wiernych do świątyni ściągają nie kazania konkretnego pastora, ale wezwanie samego Jezusa.

Sam Wangy Yi dokonał konwersji na chrześcijaństwo i został ochrzczony w roku 2006. Wcześniej był prawnikiem i wykładowcą uniwersyteckim. Odważnie bronił ludzi prześladowanych przez rząd z powodu ich walki o prawa człowieka. Jako duchowny działał dalej na rzecz swobód obywatelskich. 4 czerwca w rocznicę masakry na placu Tian'anmen przewodniczył modlitwie za cały kraj. Nie muszę chyba tłumaczyć, że w komunistycznych Chinach taka aktywność nie należy do najbezpieczniejszych zajęć.

Założyciel waszego Kościoła – pastor Wang Yi – został pod koniec grudnia po błyskawicznym i ewidentnie pokazowym procesie skazany na dziewięć lat pozbawienia wolności. Jako jego parafianin zna go pan osobiście. Co może pan o nim powiedzieć?

Pastor dobrze wiedział, że pewnego dni przyjdą po niego. Powiedział nam kiedyś, że jeśli Bóg będzie chciał widzieć go uwięzionym, to podporządkuje się jego wyrokowi. Wierzę, że Bóg jest z pastorem Wang Yi w tym nieszczęściu. Gdziekolwiek teraz trafi, nadal będzie głosił Ewangelię i nauczał ludzi o Jezusie. Kiedyś powiedział nam, że musimy być gotowi na to, że możemy trafić do więzienia, i nawet w takiej sytuacji świadczyć o Bogu. Jego postawa napełnia nas dumą. Jasną sprawą tej ponurej sytuacji jest to, że choć pastora skazano na dziewięć lat więzienia, to przynajmniej wiemy, że żyje. A póki życia, póty nadziei. Zostaje tylko podziękować za to Bogu.

Jak właściwie powinniśmy rozumieć zarzuty „próby obalenia ustroju", które ciążą na duchownym?

Przecież nikt z nas nie chce niczego obalać! W Chinach każdy, kto nie zgadza się z Komunistyczną Partią Chin, może zostać oskarżony z tego paragrafu i skazany. W swoich kazaniach pastor mówił, że państwa świata zostały ustanowione przez Boga, a jeśli rząd jest zły, to należy to uznać za karę za grzechy. Zawsze żywił nadzieję, że chińscy przywódcy się nawrócą, i często modlił się w tej intencji.

W Chinach rzeczywiście liczba chrześcijan wzrasta, a komuniści boją się, że chrystianizacja społeczeństwa osłabi ich władzę. Rząd zwalcza zresztą nie tylko chrześcijaństwo, urzędnicy atakują wszystkie religie i wmawiają ludziom, że Bóg nie istnieje.

Oprócz coraz dynamiczniej rozwijających się „Kościołów podziemnych" istnieją też oficjalne, kontrolowane przez Komunistyczną Partię Chin organizacje chrześcijan. Jaka jest podstawowa różnica między tymi koncesjonowanymi grupami wyznaniowymi a kongregacjami, takimi jak Kościół Wczesnego Deszczu?

Mam spore wątpliwości co do tego, czy te oficjalne Kościoły można jeszcze w ogóle nazwać chrześcijańskimi. Urzędnicy ingerują w kazania duchownych i zmuszają ich do usuwania z nich tego, co jest nie po myśli partii. Posuwają się nawet do takich absurdów, jak próby naukowego wyjaśniania opisanych w Biblii cudów. W ten sposób chcą przekonać ludzi, że Jezus nie był wcale Synem Boga, tylko zwyczajnym człowiekiem.

Jeden z moich przyjaciół założył zbór w swojej okolicy. Na ścianie świątyni widniało hasło: „Kochaj Boga i kochaj ludzi". Przyszedł urzędnik i kazał zmienić napis na: „Kochaj państwo i kochaj chrześcijaństwo". Ba, miejscowi funkcjonariusze posunęli się nawet do tego, że nad ołtarzem obok krzyża powiesili obrazy przedstawiające Mao Zedonga i Xi Jinpinga. Przecież to bluźnierstwo i obraza dla naszej wiary!

Jak wygląda codzienność wyznawców „Kościoła podziemnego"? Z jakimi prześladowaniami spotykają się w życiu codziennym?

W przeciągu zaledwie czterech lat pomiędzy rokiem 2012 a 2016 aresztowano mnie trzy razy. Na posterunku policjanci chcieli mnie zmusić do podpisania oświadczenia, że wyrzekam się wiary w Jezusa. Odmówiłem, więc zostałem ciężko pobity. Bili mnie tak, że omal nie umarłem. Te wydarzenia sprawiły, że postanowiłem opuścić Chiny i wyemigrować do Polski.

9 grudnia 2018 r. policja ponownie wkroczyła do naszej świątyni w Chengdu w prowincji Syczuan. Budynek dokładnie przeszukano i zatrzymano ponad sto osób. Mnie na szczęście nie było już w Chinach, ale moi przyjaciele, z którymi utrzymuję kontakt, powiadomili mnie, że byli torturowani. Wielu wiernym skonfiskowano paszporty i dowody osobiste, by uniemożliwić im ucieczkę za granicę.

Policja zaczęła wymuszać na członach kongregacji przeprowadzki do rejonów oddalonych od centrum miasta. Część z nich odmówiła, więc z dnia na dzień odcięto im prąd oraz bieżącą wodą i pourywano zamki w drzwiach wejściowych.

Mieszkając w Chinach, padł pan osobiście ofiarą szykan ze strony władz...

Jak wspomniałem, trzy razy mnie zatrzymywano. W czasie tortur policjanci wybili mi dwa zęby, do dzisiaj nie wróciłem w pełni do zdrowia.

Wierni są szpiegowani, a moim rodzicom grożono. Oni nigdy publiczne nie deklarowali swej wiary w Chrystusa, ale szykany ich i tak dotknęły.

Jednemu z moich przyjaciół odebrano czworo jego adoptowanych dzieci tylko dlatego, że jest chrześcijaninem. Inny przyjaciel uciekł na Tajwan i poprosił tam o azyl, bo obawiał się, że go spotka coś podobnego.

Chrześcijańskie dzieci poddaje się w państwowych szkołach praniu mózgów, by zamienić je w ateistów.

Największą na świecie organizacją skupiającą chrześcijan jest Kościół katolicki. Można by się spodziewać, że mimo różnic doktrynalnych pomiędzy nim a kongregacjami takimi jak Kościół Wczesnego

eprasa.pl 2509c326de

Deszczu, będzie występował on jako obrońca prześladowanych wyznawców Chrystusa. Tymczasem rektor Papieskiej Akademii Nauk – abp Marchelo Sánchez Sorondo – zasłynął wygłoszeniem pochwały Chin jako moralnego przywódcy świata i kraju realizującego chrześcijańską naukę społeczną. Jak pan to skomentuje?

Istnieją oczywiście pewne różnice między nami a katolikami, ale nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie, wierzymy w końcu w tego samego Boga. Nie rozumiem, dlaczego świat katolicki i Chiny coraz bardziej zacieśniają stosunki. Być może Kościół katolicki jest oszukiwany przez partię komunistyczną. Chciałbym, żeby wszyscy wiedzieli, że prześladowania religijne w Chinach trwają i się nasilają. Jedyna nadzieja w modlitwie, wszyscy jesteśmy w ręku Boga, więc będzie tak, jak on postanowi.

Rok 2019 był bardzo ciężki dla chrześcijan za Wielkim Murem. W koncesjonowanych świątyniach zaczęto na polecenie władz usuwać tablice z Dekalogiem i wieszać zamiast nich cytaty z wypowiedzi przewodniczącego Xi Jinpinga. Z kolei w grudniu chińskie ministerstwo edukacji przeprowadziło czystkę na liście lektur szkolnych, usuwając z czytanych przez uczniów szkół podstawowych książek powstałych w kręgu cywilizacji zachodniej słowa: „Bóg", „Chrystus" i „Biblia". Czy odnosi pan wrażenie, że walka władz Państwa Środka z chrześcijaństwem się nasila?

Tak, to prawda. Teraz w Chinach Biblia jest nielegalną książką. Po raz drugi zostałem zatrzymany przez policję, ponieważ w moim plecaku znaleziono Pismo Święte. Kilka dni temu przeczytałem informację, że władze chcą zrewidować chińskie tłumaczenia Biblii i Koranu, by były one zgodne z linią partii. To okropne. Ludzie, którzy nie słyszeli Ewangelii, stracą szansę na zbawienie.

Ponieważ Partia Komunistyczna jest ateistyczna, myślę, że to, co się dzieje, można postrzegać jako bitwę między Bogiem a Antychrystem. Wszystko, co możemy zrobić, to modlić się i domyślać, czego Bóg od nas pragnie. Jak powiedział św. Paweł: „W dobrych zawodach wystąpiłem, bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem". Wszyscy jesteśmy tacy jak on, wszyscy biegniemy w zawodach. Naszym zadaniem jest strzec wiary, a wszystko inne należy już do Pana Jezusa.

Wyznawcy Chrystusa nie są jedyną grupą religijną prześladowaną przez Komunistyczną Partię Chin. Głośno też o realizowanym przez Pekin w Xinjiangu kulturowym ludobójstwie na tamtejszych muzułmanach, których masowo zamyka się w obozach reedukacji za przewinienia, takie jak choćby poszczenie w ramadan. Skąd bierze się ta wściekła nienawiść chińskiego rządu do mniejszości religijnych?

Nie chcę rozmawiać o polityce, ale myślę, że rząd chce stworzyć społeczeństwo stricte komunistyczne. Nie dopuszczają wolności przekonań, ponieważ trudno jest kontrolować swobodnie myślących ludzi. Dwa lata temu Chiny zmieniły konstytucję tak, aby pozwolić Xi Jinpingowi być głową państwa właściwie w nieskończoność. Chrześcijaństwo opowiada się za wolnością, równością i miłością. To stoi w kontrze względem ideologii Partii Komunistycznej, więc ta chce wyeliminować wszystkie religie.

Głęboko współczuję muzułmanom z Xinjiangu. Niestety, wielu ludzi na Zachodzie, a nawet w samych Chinach, wciąż nie wie nic o tych zbrodniach. Wierzą w kolportowane przez komunistów kłamstwa i sądzą, że chiński rząd postępuje słusznie. Mam nadzieję, że w końcu się obudzą i zrozumieją, jak straszliwy ucisk cierpimy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

GRUPA PKP

II KONGRES ROZWOJU KOLEI
PRZYSZŁOŚĆ I PERSPEKTYWY

O przyszłości i perspektywach polskiej kolei po raz drugi

29 stycznia 2020 roku na stadionie PGE Narodowy w Warszawie odbędzie się druga edycja Kongresu Rozwoju Kolei – Przyszłość i Perspektywy. Wydarzenie ponownie zorganizują Spółki Grupy PKP: PKP S.A., PKP Polskie Linie Kolejowe S.A., PKP Intercity S.A. oraz PKP CARGO S.A.

Pierwsza edycja Kongresu Rozwoju Kolei odbiła się szerokim echem nie tylko wśród przedstawicieli branży kolejowej, lecz także przedsiębiorców czy polityków. W wydarzeniu uczestniczyło ponad 700 osób. W Kongresie wziął udział Prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki, ministrowie, posłowie, senatorowie, przedstawiciele samorządów, instytucji naukowych oraz świata biznesu. Merytoryczny poziom debat spotkał się z bardzo pozytywnymi opiniami. Relacje z wydarzenia były obecne niemal we wszystkich wiodących i branżowych środkach masowego przekazu.

Kongres Rozwoju Kolei stał się istotną platformą wymiany wiedzy i doświadczeń związanych z rozwojem transportu kolejowego w Polsce. Powstało nowe pole do dialogu w tej dziedzinie pomiędzy przedstawicielami świata polityki, biznesu, samorządu i nauki.

Ze względu na pozytywny odbiór 1. edycji Kongresu Grupa PKP dostrzegła potrzebę kontynuacji wydarzenia. Sprawdziła się formuła, według której organizatorami były cztery Spółki Grupy PKP: PKP S.A., PKP Polskie Linie Kolejowe S.A., PKP Intercity S.A. oraz PKP Cargo S.A.. Tym razem tematyką wydarzenia będą inwestycje kolejowe. Spółki Grupy PKP, organizując Kongres, chcą pokazać, jak dzięki inwestycjom kolej zmienia się i rozwija, zyskując coraz mocniejszą pozycję transportową w Polsce oraz w Europie, a nawet na świecie.

II Kongres Rozwoju Kolei odbędzie się 29 stycznia 2020 roku na Stadionie PGE Narodowy w Warszawie. Partnerem Kongresu jest PKP Linia Hutnicza Szerokotorowa sp. z o.o.

Swój udział w wydarzeniu zapowiedzieli m.in. przedstawiciele władz państwowych i samorządowych. Udział w Kongresie jest bezpłatny. Zapraszamy do rejestrowania się za pomocą strony internetowej:

https://kongresrozwojukolei.pl/

Organizatorzy PKP POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE Spółka Akcyjna · PKP POLSKIE LINIE KOLEJOWE S.A. Zarządca narodowej sieci linii kolejowych · PKPCARGO · PKP INTERCITY

Partner PKP Linia Hutnicza Szerokotorowa sp. z o.o.

eprasa.pl 2509c326de

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z Markiem Lusztynem, prezesem Banku Pekao SA

rozmawiają Piotr Gabryel i Jacek Przybylski

eprasa.pl 2509c326de

Chcemy zbudować najlepszy bank w Polsce

„DO RZECZY": W Pekao zajmował się pan m.in. fuzją z Bankiem BPH. Tymczasem w Polsce do kupienia jest mBank, wystawiony na sprzedaż przez Commerzbank. Czy Bank Pekao SA stanie do tej konkurencji?

MAREK LUSZTYN: Z perspektywy Pekao taki bank jak mBank to bardzo interesujący cel ewentualnego przejęcia. Jeżeli uznamy, że taka transakcja generowałaby dodatkową wartość dla naszych akcjonariuszy, to obowiązkiem zarządu będzie jej zarekomendowanie. Jest jednak zbyt wcześnie, aby mówić o szczegółach.

Pekao jest jednym ze zrepolonizowanych banków. Czy warto prowadzić dalej repolonizację gospodarki, w tym sektora bankowego, nawet jeśli w polskich warunkach oznacza to przeważnie renacjonalizację?

Nie zgodziłbym się, że przejęcie Pekao było renacjonalizacją. Jeśli popatrzymy na strukturę akcjonariatu banku, to spora część akcji jest w rękach prywatnych inwestorów, w tym zagranicznych.

Wielu naszych klientów pozytywnie zareagowało na repolonizację sektora bankowego. Zanim zostałem prezesem zarządu Pekao, pełniłem funkcję szefa ryzyka rynkowego na całą grupę UniCredit. Byłem pierwszym Polakiem na tym stanowisku od 16 lat, wcześniej – od 2001 r. do 2017 r. – było ono piastowane przez Włochów. Następnie byłem odpowiedzialnym za ryzyko wiceprezesem w zrepolonizowanym Pekao.

Klienci, z którymi się wówczas spotykałem, mówili, że z kilku powodów bardzo się cieszą, iż Pekao wróciło w polskie ręce. Pierwszy powód to krótszy proces decyzyjny. Zgodnie z wymogami europejskiego nadzoru w międzynarodowych grupach bankowych ekspozycje kredytowe powyżej pewnego poziomu muszą być opiniowane przez centralę, np. w Mediolanie, we Frankfurcie, w Madrycie czy Nowym Jorku. Proces decyzyjny jest więc dłuższy. Przed repolonizacją nasi klienci obawiali się również, że wniosek kredytowy jest analizowany przez osoby, które nie znają specyfiki polskiego rynku, przez co na ich decyzje mogły wpływać doświadczenia dotyczące krajów o odmiennej sytuacji. Już po repolonizacji wielu klientów mówiło, że cieszą się, iż teraz decyzje kredytowe nie tylko zapadają szybciej, lecz także są podejmowane przez ludzi, którzy lepiej rozumieją lokalną specyfikę.

Jeśli popatrzylibyśmy na strukturę własnościową w krajach Europy Zachodniej, to sektor bankowy jest w większości w lokalnych rękach. To rynki rozwijające się – i to na wczesnym etapie rozwoju – charakteryzuje to, że zdecydowana większość kapitału jest w zagranicznych rękach, choćby ze względu na braki lokalnego kapitału. Wraz z rozwojem ta struktura właścicielska stopniowo się zmienia, co jest kolejnym dowodem na to, że polska gospodarka efektywnie zmierza w kierunku modelów krajów Europy Zachodniej.

Warto też podkreślić, że z badań prowadzonych przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy po poprzednim światowym kryzysie finansowym wynika, że wysoki udział krajowego kapitału jest bardzo istotny w czasach dekoniunktury i bardzo pomaga w łagodzeniu negatywnego wpływu z zewnątrz na poziom krajowego PKB.

MFW jednoznacznie obalił więc mit – który przed laty próbowano w Polsce rozpowszechnić – że kapitał nie ma narodowości.

Tak. Przedsiębiorcy często obawiają się, że analitycy z innych krajów w razie kryzysu nie patrzyliby na wyniki ich firm przez cykl gospodarczy i ograniczyliby im dostęp do finansowania w najtrudniejszych okresach.

Nasi klienci podkreślają jednocześnie, że dzięki repolonizacji zyskali pewność, iż Pekao – jeden z najstarszych polskich banków, który w zeszłym roku obchodził 90-lecie istnienia – będzie z nimi na dobre i na złe. Zarówno w czasach dobrej koniunktury, jak i w czasach trudnych. To daje poczucie bezpieczeństwa co do możliwości finansowania ich firm w długim okresie. Mówią nam o tym nie tylko najwięksi klienci, lecz także przedstawiciele małych i średnich firm, które są bardzo istotnym elementem polskiej gospodarki i fundamentem dalszego rozwoju Pekao. Chcemy, aby małe i średnie przedsiębiorstwa, czyli często firmy rodzinne, preferowały właśnie nasz bank.

PKO BP istnieje już ponad sto lat. Zamierza pan rzucić rękawicę starszemu bratu?

Na spotkaniu z czołową kadrą menedżerską powiedziałem, że mamy ambicje budować najlepszy bank w Polsce. Tego się trzymamy.

Pekao jako jeden z nielicznych polskich banków wypłaca blisko trzy czwarte rocznego zysku w formie dywidendy. Zamierza pan utrzymać taką politykę?

Bank Pekao przez wiele lat był bankiem dywidendowym i chcemy, aby nim pozostał. W scenariuszu wzrostu organicznego, zgodnie ze średnioterminową polityką dywidendową, bank planuje przeznaczyć na wypłatę dla akcjonariuszy między 60 a 80 proc. jednostkowego zysku netto za 2019 r. To jedna z najwyższych dywidend w polskim sektorze bankowym. Według założeń polityki

eprasa.pl 2509c326de

do akcjonariuszy trafi między 50 a 75 proc. zysku za 2020 r. W dłuższym terminie planujemy przeznaczać na dywidendę co najmniej połowę zysku.

Po kilku latach deflacji szybko rośnie inflacja, która w grudniu osiągnęła 3,4 proc. Trzymanie pieniędzy w banku dla przeciętnego Kowalskiego oznacza więc realną stratę. W nieruchomości strach już inwestować ze względu na możliwą bańkę. Co w takim razie robić z oszczędnościami?

To trudne pytanie, przed którym stoi większość świata zachodniego, borykająca się z problemem ujemnych realnych bądź nawet ujemnych nominalnych stóp procentowych. Ten problem zaczynamy obserwować również w Polsce. Mamy do czynienia z najniższym poziomem stóp w historii naszego kraju. Polski rząd może teraz pożyczać pieniądze wyjątkowo tanio, co jest kolejnym dowodem na to, jak szybko Polska zbliża się do czołówki krajów rozwiniętych. Dla przeciętnego Kowalskiego taka sytuacja jest jednak rzeczywiście trudna i zmusza go do poszukiwania alternatyw dla typowych lokat bankowych, które tradycyjnie były postrzegane jako najbezpieczniejszy sposób zarabiania. Ponieważ jako bank zarządzamy jednym z większych towarzystw funduszy, polecałbym klientom zwrócenie uwagi na szerszy wachlarz możliwości inwestycyjnych. Trzeba jednak zawsze pamiętać o określeniu horyzontu inwestycyjnego oraz możliwym do zaakceptowania ryzyku.

Tak niski poziom stóp procentowych prowadzi do tego, że cały świat w poszukiwaniu wyższych zwrotów z kapitału przesuwa się w kierunku wyższego ryzyka.

Od czasu do czasu w przestrzeni publicznej pojawiają się informacje o słabości któregoś z banków. Czy polski system bankowy jest bezpieczny?

Tak, jest on jednym z najbezpieczniejszych systemów bankowych w Europie. To wynik bardzo ostrożnej polityki prowadzonej od lat przez polski nadzór bankowy. I bardzo bezpiecznych buforów kapitałowych, które polskie banki zobowiązane były utrzymywać. Ponadto – zwłaszcza na tle rynków zachodnich – banki w Polsce cieszą się relatywnie atrakcyjną rentownością.

Tak jak w każdym sektorze gospodarki, również w sektorze bankowym występują firmy, które mają problemy z rentownością, efektywnością i jakością zarządzania. Takie firmy albo się restrukturyzują, albo są przejmowane przez większych konkurentów, albo upadają. To, co odróżnia sektor bankowy, to fakt, że deponenci powierzają nam swoje oszczędności, o których bezpieczeństwo musimy dbać. Ważne jest więc, aby banki, które mają strukturalne problemy z rentownością, były przejmowane przez efektywniej działające instytucje.

Bankowość to rodzaj biznesu, który w dużej mierze jest biznesem opartym na skali. I chociaż polski system bankowy był początkowo mocno rozdrobniony, to od lat obserwujemy coraz większą konsolidację. Jednak jeżeli spojrzymy na pięć największych banków w Polsce, to poziom koncentracji jest niższy niż w krajach Europy Zachodniej. Mamy więc przestrzeń do dalszej konsolidacji, a wyzwania, przed którymi stoi polski sektor bankowy, na pewno taką konsolidację będą napędzały.

Czy poza mBankiem widzi pan jakieś instytucje finansowe, które warte byłyby przejęcia przez Pekao?

Nie mogę komentować szczegółów strategii wzrostu nieorganicznego.

A czy powrócą rozmowy o fuzji Pekao i Aliora?

Nie prowadzimy obecnie żadnych rozmów na ten temat.

Sektor bankowy w Polsce został ostatnio dotknięty dwoma wyrokami TSUE w sprawie kredytów frankowych i kwestii zwrotu prowizji w razie wcześniejszej spłaty kredytów konsumpcyjnych. Jak te wyroki wpłyną na wyniki Pekao?

Polski nadzór bankowy bardzo wcześnie przewidział problem kredytów frankowych, dzięki czemu banki, które miały istotną ekspozycję na kredyty denominowane w walutach obcych, musiały utrzymywać dużo wyższe bufory kapitałowe i miały mniejsze zdolności do wypłaty dywidendy niż te, które takiego problemu nie miały.

Pekao – który od zawsze był zarządzany bardzo konserwatywnie – był jednym z niewielu banków, które nie udzielały kredytów denominowanych we frankach. W 2007 r. przejęliśmy wydzieloną część Banku BPH, która w portfelu miała niewiele kredytów frankowych. Była to świadoma decyzja zespołu, który pracował wówczas nad tą fuzją. Ja też byłem wtedy członkiem tego zespołu i cieszę się, że kilkanaście lat później te strategiczne decyzje pozwalają bankowi Pekao mieć bilans, pozycję kapitałową i profil ryzyka, które sprawiają, że jesteśmy jednym z najbezpieczniejszych banków w Polsce. W związku z tym zarówno wyrok frankowy TSUE, jak i wyrok dotyczący zwrotu prowizji nie mają znaczącego wpływu na nasz wynik finansowy.

Czy jako prezes zamierza pan utrzymać ten konserwatywny sposób zarządzania?

Na spotkaniu z menedżerami powiedziałem, że zmieniając fotel z szefa ryzyka na prezesa całego banku, będę walczył o wyniki komercyjne tak, jak walczyłem o koszty ryzyka. Jednak ze względu na to, że Pekao zawsze był zarządzany konserwatywnie, utrzymanie tej strategii pozostaje też moją ambicją.

A jak ocenia pan wpływ na sektor finansowy podatku bankowego?

To obciążenie powoduje, że z punktu widzenia inwestorów zagranicznych polski sektor bankowy jest wyceniany trochę niżej niż sektory bankowe krajów ościennych. Wyceny polskich banków – z których najlepsze przynoszą stopę zwrotu w okolicy 9–10 proc. – są jednak wciąż dużo wyższe niż banków w Europie Zachodniej. Paradoksalnie wprowadzenie podatku bankowego miało pozytywny wpływ na banki w Polsce. Tak duży bodziec kosztowy sprawił bowiem, że zostaliśmy zmuszeni do dużo większej efektywności niż banki w innych krajach, co przełożyło się m.in. na to, że banki, które mamy, należą do najbardziej nowoczesnych i innowacyjnych w Europie.

Trzeba też zauważyć, że banki w Polsce bardzo korzystają na transferach socjalnych, które zwiększyły siłę nabywczą statystycznego Polaka i jego zdolność kredytową. Dzięki temu obserwujemy bardzo duży popyt np. na pożyczki konsumpcyjne, co pozytywnie wpływa na dochodowość polskiego sektora bankowego.

Zmieniają się zamożność Polaków oraz sposób, w jaki korzystają z usług banków. Jaka jest cyfrowa strategia Pekao?

Klienci banków na całym świecie w dużo większym stopniu chcą mieć możliwość zdalnego dostępu do usług finansowych. W Pekao bardzo intensywnie inwestujemy w nowe technologie oraz najlepszych specjalistów z zakresu analizy danych, dzięki czemu możemy zmieniać się dla naszych klientów. Już nawet 20 proc. nowych kont jest otwieranych on-line, w tym przy użyciu formuły

eprasa.pl 2509c326de

Prezydent Andrzej Duda i prezes Pekao Marek Lusztyn podczas otwarcia Domu Polskiego w Davos FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

„na selfie", którą wprowadziliśmy jako pierwszy bank w Polsce.

Również nasza aplikacja mobilna PeoPay cieszy się niesłabnącą popularnością i jest doceniana przez specjalistów na całym świecie. W ciągu najbliższych kilku tygodni chcemy pokazać klientom nową wersję PeoPay, która oferować będzie jeszcze więcej funkcjonalności i udogodnień. W ciągu najbliższych trzech lat zaplanowaliśmy ponad 30 dużych projektów związanych z zaawansowaną analityką danych obejmujących np. proces kredytowy, cross-selling, selektywną akwizycję klienta czy zindywidualizowane podejście do wyceny produktów.

Zakładamy, że udział klientów aktywnie korzystających z bankowości mobilnej zwiększy się z 40 do 70 proc. Jest to więc główny obszar, w którym bankowość będzie się rozwijała, i chcemy być liderem tego rozwoju.

Jednocześnie nie zamierzamy stawiać sobie jako celu likwidacji sieci oddziałowej. Widać bowiem wyraźnie, że pogłoski o śmierci bankowości oddziałowej były przedwczesne. Nasi klienci doceniają możliwość dotarcia do banku różnymi kanałami, zarówno zdalnie, jak i poprzez oddział. Chcemy, aby nasze placówki były tam, gdzie potrzebują ich nasi klienci. Ostatnio w Warszawie na Kruczej otworzyliśmy naszą placówkę w nowym formacie, która najlepiej pokazuje, jak wygląda nowe Pekao.

Jak ocenia pan wpływ dyrektywy PSD2 na rozwój bankowości? To zagrożenie dla dużych banków czy wręcz przeciwnie?

Dyrektywa PSD2 jest korzystna dla tych instytucji, które są bardziej zaawansowane cyfrowo, a może być zagrożeniem dla tych, które nie są w stanie tak szybko jak konkurenci dostosowywać swoich systemów i sposobów oceny ryzyka klienta. Ponieważ aspirujemy do tego, aby być liderem, jeśli chodzi o rozwój technologiczny w bankowości, patrzymy na PSD2 jak na szansę dającą nam jeszcze lepsze możliwości akwizycyjne.

Od 1996 r. PKB na mieszkańca w Europie Środkowej i Europie Wschodniej wzrosło o 114 proc. Wydaje się jednak, że potencjał rozwoju krajów regionu powoli się wyczerpuje, a kraje CEE czeka okres spowolnienia. W ramach Światowego Forum Ekonomicznego w Davos Pekao zorganizowało debatę, podczas której kluczowe pytanie brzmiało: Jak wyzwolić nowy potencjał wzrostu Starego Kontynentu? Jaka jest pana recepta?

Żeby utrzymać wysokie tempo wzrostu, uniknąć tzw. pułapki średniego dochodu i zabezpieczyć rosnące ambicje swoich społeczeństw, kraje Europy Środkowo-Wschodniej muszą przyjąć nowy model gospodarczy. Państwa regionu powinny przekształcić swoje gospodarki konkurujące niskim kosztem pracy w model wysoce innowacyjny, oparty na wiedzy i technologii.

Aby możliwe było wyjście z roli „zakładu montażowego" i rozwinięcie silnych specjalizacji w perspektywicznych niszach high-tech, w których firmy z Europy Środkowo-Wschodniej mogą pojawić się nie tylko jako podwykonawcy, lecz także jako prawdziwi liderzy, konieczne są: automatyzacja procesów w celu zmniejszenia presji na rynek pracy i poprawy efektywności, szeroko pojęta digitalizacja sektora prywatnego i publicznego oraz większy nacisk na badania i rozwój, a także na promocję i wsparcie ekspansji zagranicznej firm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

Łukasz Zboralski

Gorzka prawda

Rząd chce, by Polacy pili mniej niezdrowych słodzonych napojów. Pomóc ma nowy podatek. To nie jest nowe na świecie narzędzie. Jak sprawdziło się tam, gdzie już go użyto?

Ministerstwo Zdrowia postanowiło zmienić prawo, by wpłynąć prozdrowotnie na zachowania Polaków. W początkowym pakiecie zmian zaplanowano nałożenie dodatkowej opłaty na producentów, którzy dosładzają napoje, ale też na sprzedających napoje alkoholowe w opakowaniach o małej pojemności (chodzi o tzw. małpki wódki) oraz na reklamujących suplementy diety.

W ubiegłym tygodniu okazało się już, że przedstawiciele koncernów farmaceutycznych skutecznie zawalczyli o własne interesy i po spotkaniu Rady Dialogu Społecznego resort zdrowia wycofał się z opodatkowywania reklam suplementów. Chociaż w projekcie zmian ministerstwo uzasadniało, że suplementy są coraz częściej przez Polaków kupowane, a nie powinny być traktowane jako substytut zróżnicowanej diety, to nagle stwierdziło, iż chce zobaczyć, jak „branża sama się reguluje". To oznacza m.in., że do budżetu nie trafi nawet planowane 100 mln zł.

W projekcie pozostało więc nałożenie dodatkowej opłaty na producentów „małpek" oraz napojów z dodatkiem monosacharydów, disacharydów i oligosacharydów. Podatek zapłacić mają także producenci napojów zawierających kofeinę, taurynę czy guaranę. Przy czym już wiadomo – a dopiero w tym tygodniu projekt ma trafić pod obrady Rady Ministrów – że opłata dla producentów dosładzanych napojów będzie miała element stały i zmienny, by zachęcać ich do zmiany składów produktów na bardziej zdrowe. Według ostatnich ustaleń producenci mają płacić 50 gr za litr dosładzanego napoju oraz dodatkowo 5 gr za każdy gram cukru powyżej 5 gr na 100 ml. Za substancje aktywne w napojach producenci mają płacić 10 gr podatku za litr.

Polski „sugar tax" ma przynosić ok. 2,5 mld zł wpływu do budżetu rocznie. W przypadku podatku od słodzonych napojów 98 proc. wpływów ma zostać przekazane do NFZ, a 2 proc. ma pokryć obsługę pobierania tego podatku. Z kolei w przypadku „małpek" nowa opłata w połowie zasili NFZ, a w połowie budżet gmin, na których terenie odbywa się sprzedaż alkoholu.

Najważniejszym pytaniem jest to – czy podatek prozdrowotny od żywności naprawdę może zmienić zachowania żywieniowe Polaków?

SŁODKI SMAK ŚMIERCI

Aby odpowiedzieć sobie na takie pytanie, najpierw należałoby stwierdzić, czy mamy problem w Polsce z otyłością. Niestety – mamy. Ministerstwo Zdrowia podsumowuje to bardzo skrótowo w uzasadnieniu projektu nowelizacji.

Od kilku lat polskie dzieci zaliczane są do najszybciej tyjących w Europie. Już ok. 10 proc. polskich dzieci w wieku od roku do trzech lat ma nadwagę lub otyłość, a zagrożone nadmierną masą ciała jest kolejne ponad 18 proc. z nich. Z kolei najnowsze wstępne wyniki badań prozdrowotnych młodzieży w wieku 11–15 lat (badanie HBSC z 2018 r.) wskazują, że nadmierna masa ciała występuje u 29,7 proc. chłopców i 14,3 proc. dziewcząt.

Z dorosłymi jest jeszcze gorzej. W ramach Narodowego Programu Zdrowia na lata 2016–2020 Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego – Państwowy Zakład Higieny przeprowadził badania na

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 2509c326de

losowej, reprezentatywnej próbie 3 tys. Polaków. Wynik? Zbyt wysoka masa ciała prawie u 60 proc. mężczyzn i ponad 40 proc. kobiet. Otyłość stwierdzona u ponad 11 proc. dorosłych mężczyzn i kobiet.

Dlaczego tak tyjemy? Ministerstwo wskazuje, że epidemię współczesnej otyłości, zwłaszcza wśród młodego pokolenia, wiąże się ze wzrostem spożycia cukrów prostych w diecie mieszkańców krajów wysoko rozwiniętych – a chodzi głównie o ciągły wzrost konsumpcji napojów słodzonych. Ich spożycie w ciągu ostatnich 30 lat wzrosło o 300 proc., a opakowania, w których trafiają na rynek, zwiększyły objętość trzykrotnie (badania American Academy of Pediatrics). Słodkie napoje stanowią ponad 50 proc. cukru w diecie dzieci. Picie dziennie jednej porcji takiego napoju (150 kcal) w ciągu roku może powodować przyrost masy ciała nawet o 7 kg.

Nie bez kozery na ministerialnym celowniku znalazły się też napoje energetyczne. Te, oprócz tego, że są słodkie, zawierają substancje energetyzujące. Według resortu nie są to napoje „obojętne dla zdrowia".

Szacuje się, że w Polsce w konsekwencji nadmiernego spożywania napojów słodzonych cukrem umiera rocznie przedwcześnie ok. 1400 osób. Ludzie pijący takie napoje żyją o 15 lat krócej niż średnio osoba w ich wieku, która tak się nie odżywia.

ŚLADEM WĘGIER, FRANCJI, FINLANDII

Czy podatek może spowodować, że ludzie będą zdrowsi? Odpowiedź brzmi: tak. I wiadomo to już od dekady. Światowa Organizacja Zdrowia już w 2010 r. opublikowała przegląd dotyczący wpływu polityki fiskalnej na sposób żywienia się ludzi, stan ich odżywienia i rozwój chorób przewlekłych. Uznano, że polityka fiskalna ma duży potencjał w kształtowaniu zdrowych wyborów żywieniowych ludzi („The Effect of Fiscal Policy on Diet, Obesity and Chronic Disease: A Systematic Review", Bulletin of the World Health Organization, 2010).

Jeszcze dobitniej świadczą o tym doświadczenia krajów, które taką politykę zaczęły prowadzić wcześniej niż Polska. W 2011 r. Dania wprowadziła dodatkowy podatek na tłuszcze nasycone w żywności, a Węgry opodatkowały dodatkowo produkty spożywcze, które niosą potwierdzone ryzyko zdrowotne – np. mają wysoką zawartość cukrów.

Węgrzy sprawdzili działanie nowego podatku (jest obliczany na podstawie zawartości cukru, soli i metyloksantyny w opakowaniach jednostkowych produktów spożywczych) już po roku jego obowiązywania. Okazało się, że aż 26–32 proc. osób zaczęło spożywać mniej takich produktów. Choć, co należy odnotować, oprócz ceny na zachowania ludzi wpływała też większa świadomość zdrowotna – co też jest efektem zmian fiskalnych wprowadzanych przez kraj, bo o nich wówczas się szeroko dyskutuje. Węgierski podatek szybko zmusił też producentów do zmiany składu produktów. 30 proc. usunęło zupełnie niekorzystne składniki w produktach, a 70 proc. obniżyło ich zawartość.

40 proc.

TYLU PRODUCENTÓW ZMIENIŁO SKŁAD PRODUKTÓW NA MNIEJ SZKODLIWY PO WPROWADZENIU PODATKU NA WĘGRZECH

W 2014 r. Węgrzy po raz drugi sprawdzili, jak podatek wpłynął na konsumpcję w dłuższej perspektywie. Ze wstępnych badań wynikało, że ludzie częściej wybierają tańsze i przy tym często zdrowsze produkty. A przy tym przez pierwsze cztery lata zmian na Węgrzech nowy podatek przyniósł w przeliczeniu ponad 800 mln zł do budżetu, które przeznaczano na cele opieki zdrowotnej i edukacji.

Podobne prozdrowotne reformy fiskalne wdrożono we Francji (od 2011 r. obowiązuje tam podatek od napojów słodzonych), w Estonii, Portugalii czy Meksyku. Polityka fiskalna jest też głównym narzędziem brytyjskiego programu walki z otyłością dzieci i młodzieży. Na Wyspach od 2018 r. obowiązuje „sugar tax" i opłata ta dotyczy wszystkich napojów bezalkoholowych (innych niż naturalny sok owocowy, sok warzywny, mleko i niektóre napoje alkoholowe) pakowanych lub importowanych do Wielkiej Brytanii, które zawierają dodatek cukrów i co najmniej 5 g cukrów ogółem (zarówno naturalnie występującego, jak i dodanego) na 100 ml.

We wszystkich tych krajach odnotowano pozytywne skutki regulacji. Po wprowadzeniu zmian w Meksyku odnotowano spadek konsumpcji napojów słodzonych o 10 proc. przy jednoczesnym wzroście konsumpcji mleka i wody mineralnej (o 7 proc.). Przy czym – co zauważyli badacze publikujący w „American Journal of Public Health" („Legal and Administrative Feasibility of a Federal Junk Food and Sugar-Sweetened Beverage Tax to Improve Diet", 2018) – zarówno w Meksyku, jak i na Węgrzech największe zmiany zachowań zauważono w grupie ludzi o najniższych dochodach, którzy są największym konsumentem niezdrowej żywności.

Odnotujmy jeszcze, że po wprowadzeniu nowych regulacji spadek popytu na słodkie napoje we Francji wyniósł 3,3 proc. w 2012 r. i 3,4 proc. w 2013 r. Podobnie wyglądało to w Finlandii – spadek popytu o 0,7 proc. w 2011 r., 3,1 proc. w roku kolejnym i 0,9 proc. w roku 2013.

TO DOPIERO POCZĄTEK

Badacze zauważają, że choć spadek spożycia niezdrowej żywności jest już pewnym efektem takiej polityki, to bezpośrednie dowiedzenie wpływu nowych regulacji na występowanie otyłości czy cukrzycy zajmie jeszcze lata (takich zmian w społeczeństwie nie da się szybko zaobserwować). Trudno jednak uznać, że mniejsze spożycie niezdrowych produktów nie jest zjawiskiem pozytywnym. A przede wszystkim na pewno pozytywna jest moc wpływania państwa na to, co producenci oferują ludziom – na Węgrzech w sumie 40 proc. wytwórców zmieniło skład swoich produktów na zdrowszy.

W wielu krajach myśli się już zresztą w szerszej perspektywie niż tylko „sugar tax" od słodkich napojów. Wspomniana już Finlandia zawalczyła z tłuszczami, a Meksyk już w 2013 r. opodatkował również przekąski i słodycze, w tym m.in. masło orzechowe.

W Wielkiej Brytanii dyskutuje się publicznie, czy nie należy pójść dalej niż sam podatek od słodzonych napojów. Lekarze domagają się m.in. zakazu dodawania soli i cukru do żywności dla niemowląt. W Polsce, dzięki projektowi Ministerstwa Zdrowia, ta dyskusja dopiero się rozpoczyna.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Szkodliwy samozachwyt

Trwa spór, czy dotychczasowy poziom akceptacji dla startującego programu PPK (Pracowniczych Planów Kapitałowych), wahający się dziś ok. 40 proc., można uznać za wysoki czy umiarkowany, nawet jeśli do efektów jego wprowadzania zaliczyć (a zaliczyć trzeba) także i to, że napędził on wielu nowych klientów innemu, wcześniej istniejącemu programowi – PPE (Pracowniczym Programom Emerytalnym).

Ja skłaniam się ku uznaniu tego poziomu za wysoki, czyli ku temu, że program wdrażania PPK osiągnął sukces, i to nie byle jaki. A nie było to zadanie proste, z co najmniej dwóch podstawowych powodów.

Po pierwsze, po fatalnym, wręcz katastrofalnym doświadczeniu z własnymi oszczędnościami odłożonymi na starość w otwartych funduszach emerytalnych (OFE) – doświadczeniu, które zgotowali Polakom poprzednio rządzący, czyli rząd Tuska – wielu z nich z rezerwą traktuje i jeszcze długo (już zawsze?) traktować będzie wszelkie tego rodzaju inicjatywy rządzących. Z rezerwą graniczącą z kompletnym brakiem zaufania do nich.

Po drugie zaś, obecnie rządzący (a więc także urzędnicy wprowadzający – w ich imieniu – w życie projekt PPK) mają tym większą trudność w przekonaniu do swych racji, czyli do sensu brania udziału w PPK, gdyż tkwią w pułapce, w którą sami się zagnali.

Jak bowiem owi rządzący mają skutecznie przekonywać obywateli, że powinni oni pilnie zacząć odkładać na dodatkową emeryturę – gdyż ta, którą otrzymają za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat (jeśli w ogóle otrzymają), będzie żałośnie niska – skoro ci sami rządzący jednocześnie uparcie twierdzą, że stać nas na przeforsowane przez nich obniżenie wieku emerytalnego (z 67 lat dla kobiet i mężczyzn do na powrót 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn), a nadto nie tylko radykalnie podwyższyli wysokość minimalnej emerytury, lecz także wypłacają „trzynaste" emerytury i obiecują wypłacać również „czternaste"?!

Jak – w sytuacji, gdy rządzący od lat uporczywie twierdzą, że pod ich rządami „jest tak dobrze", zapewniając przy tym, że w przyszłości, dzięki ich rządom, „będzie jeszcze lepiej" – mają przekonać ludzi, by ci zrezygnowali – i to już dziś – z wydawania na bieżąco wszystkich swoich dochodów i zaczęli część z nich odkładać na starość? Tym bardziej że za głośne mówienie prawdy o tym, jak za 20 lub 30 lat, które przecież szybko zlecą, naprawdę będą wyglądać emerytury Polaków – a pod względem tzw. stopy zastąpienia będą jednymi z najniższych na świecie – jak słychać – łatwo stracić okołorządową posadę. A innej prawdy przecież nie ma.

Kto w tej sytuacji i jak ma skutecznie przekonywać Polaków, by byli zapobiegliwi? Aby już dziś oszczędzali na starość, jeśli chcą mieć za co wówczas żyć? ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

W co wierzą ekonomiści

Minione stulecie było poligonem doświadczalnym różnych wzajemnie sprzecznych i konkurujących ze sobą teorii ekonomii, które zostały wdrożone w praktyce i miały przemożny wpływ na życie miliardów ludzi. Większość miała swoje pięć minut, a następnie zbankrutowała. Wyznawcy tych teorii nienawidzą i zwalczają się wzajemnie oraz poszukują polityków, którzy uwierzą, że dany zestaw rekomendacji ekonomicznych pozwoli na ich reelekcję. Oto w dużym skrócie te najważniejsze.

Keynesizm zakłada, że wzrost wydatków rządowych może zapobiec recesji. Rząd zwiększa wydatki np. na inwestycje, co generuje popyt na towary i usługi, w wyniku czego firmy zatrudniają nowych pracowników, którzy wydają swoje pensje, jeszcze bardziej zwiększając popyt. W efekcie wzrost gospodarczy przyspiesza. Ta teoria uznaje politykę pieniężną za mało efektywny sposób wpływania na koniunkturę.

Monetaryzm, którego głównym orędownikiem był Milton Friedman, postuluje, że rząd nie powinien mieszać się do gospodarki, ważne jest, aby utrzymać stały wzrost podaży pieniądza, a rynek doprowadzi do najbardziej efektywnej samoregulacji. Ta teoria zakłada, że gdy inflacja jest bardzo niska, firmy są zmuszone do zwiększenia efektywności, rośnie produktywność, a dzięki temu prosperity.

Ekonomia podażowa i jej najbardziej znany ekonomista Robert Mundell postulują, że należy obniżać podatki, dzięki czemu więcej pieniędzy pozostaje w rękach sektora prywatnego, który wydaje pieniądze bardziej efektywnie niż rząd. Co więcej, mechanizm określany jako krzywa Laffera powoduje, że wzrost aktywności po obniżce podatków z nawiązką rekompensuje spadek dochodów podatkowych, w efekcie mamy silniejszą gospodarkę i zdrowe finanse publiczne. Wiele teorii zajmuje się relacją inflacji i bezrobocia. W szczególności uważa się, że jest wybór między inflacją i bezrobociem, bo inflacja powoduje ograniczenie płac realnych, co pozwala firmom na wzrost zatrudnienia.

Banksteryzm zakłada, że banki centralne powinny działać na rzecz rozwoju sektora finansowego przez dostarczanie taniego finansowania bankom. Banki i inne instytucje finansowe spekulują na rynkach aktywów finansowych, podnosząc ceny aktywów, co nakręca koniunkturę.

Socjalizm bazuje na własności państwowej i centralnym planowaniu, postulując, że mądrzy planiści lepiej będą zarządzać gospodarką niż chaotycznie działające rynki.

Algokracja to najnowsza teoria, która stosuje socjalistyczne metody mierzenia i planowania, ale w algokracji zajmują się tym gigantyczne firmy technologiczne zamiast centralnych planistów. Elity partyjne zostają zastąpione ultrabogatymi elitami technologicznymi.

Dzisiaj mamy dominację algokracji. Co będzie jutro? ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 2509c326de

TEST „DO RZECZY": PANASONIC OLED GZ950

Znakomita jakość obrazu, wyjątkowo wierne oddanie barw, wsparcie zarówno dla technologii HDR10+, jak i dla Dolby Vision oraz stosunkowo atrakcyjna cena – to największe zalety testowanego modelu japońskiej firmy Panasonic.

Wzornictwo jest wyjątkowo proste. Sprzęt wygląda elegancko, ale niczym specjalnym się nie wyróżnia. Solidna i ciężka podstawka również pełni jedynie praktyczną funkcję i nie skłania do zachwytów. Obietnica „Hollywood w Twoim domu" – jak do kupna tej serii zachęcają japońscy marketingowcy – zostaje jednak spełniona, gdy włączymy telewizor i spojrzymy na wyświetlany przez ten telewizor obraz. W najtańszym modelu OLED z 2019 r. Japończycy zachowali znane z dużo droższych modeli wysokiej jakości matrycę oraz bardzo dobry procesor HCX Pro. Efekt jest znakomity. Obraz wyświetlany na ekranie o rozdzielczości 3840 x 2160 pikseli (czyli 4K) jest ostry jak żyleta. Warte zauważenia są znakomity kontrast, żywe, a jednocześnie naturalne kolory, głęboka czerń oraz rewelacyjne kąty widzenia. Wielkim plusem jest też wsparcie dla konkurujących o widzów technologii: HDR10, HDR10+ oraz Dolby Vision. Na pochwałę zasługuje też efekt HDR.

Do wyboru jest kilka różnych trybów wyświetlania obrazu: od sportu (dzięki odświeżaniu matrycy na poziomie 120 Hz oraz redukcji smużenia model ten bardzo dobrze sprawdzi się w domu kibiców) do „prawdziwego kina" (to najlepszy tryb do oglądania filmów). Testowany telewizor nadaje się również dla graczy. Wszystko działa płynnie oraz szybko, bo specjalny tryb wprowadza telewizor w tryb z niskim opóźnieniem na poziomie 21 ms.

Cieszy również wsparcie dla technologii dźwięku obiektowego Dolby Atmos. Dźwięk płynący z wbudowanych głośników (2x15 W + 2x10 W) jest zaskakująco przyzwoity. Głośniczki potrafią grać wystarczająco głośno, a przy okazji oferują nawet nieco basów. Oczywiście czuć, że to dźwięk z płaskiego telewizora, więc aby móc cieszyć się naprawdę kinowymi wrażeniami, konieczna jest inwestycja w dodatkowy sprzęt audio.

Po stronie plusów można też zapisać stosunkowo niską cenę. Za model 65-calowy trzeba zapłacić 9,5 tys. zł. To oczywiście koszmarnie dużo pieniędzy jak za telewizor, ale jednocześnie naprawdę niewiele jak za sprzęt z dobrą matrycą OLED.

A wady? Chociaż telewizor jest przedstawicielem flagowców, wyposażonym w najnowszą technologię, toporny pilot wygląda tak, jakby zaprojektowano go w latach 90. Jest co prawda oddzielny przycisk dla fanów Netflixa, ale zarówno rozmiar, jak i design rozczarowują. Nieco przestarzale wygląda także interfejs My Home Screen 4.0 i choć w praktyce bardzo dobrze spełnia swoją funkcję i zapewnia szybki dostęp do serwisów typu Amazon Prime Video czy YouTube, to pod kątem atrakcyjności wizualnej odstaje od południowokoreańskiej konkurencji.

Mimo tych minusów model GZ950 to bardzo dobra propozycja dla tych, którzy marzą o telewizorze z matrycą OLED, ale nie chcą na niego wydawać kilkunastu tysięcy. ©℗

Jacek Przybylski

ZREGENERUJ MIĘŚNIE

Dobry masaż sporo kosztuje i bynajmniej nie jest aż tak relaksujący, jak się uważa. A mięśnie warto rozciągać i rozluźniać. Pomóc z tym może MOVKIN – czyli pistolet do masażu mięśni głębokich. Przyda się zarówno korzystającym z siłowni, jak i mającym problem z chronicznym bólem pleców czy barków.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Działa metodą impulsów elektrycznych, przez niektórych zwaną „udarową" i pozwala na „rozplątanie" bolących mięśni już w ciągu ok. 10 min. Niewielkich rozmiarów aparat, działa bez hałasu.

Koszt: ok. 350 zł, zamawiać można na portalu Indiegogo, dostawa w lutym.

POWRÓT DO PRL

Wraz z ekoszaleństwem świat odkrywa coś, co w Polsce przerabialiśmy w latach siermiężnego PRL. Tyle że w naszym przypadku wynikało to bardziej z braku produktów i technologii, w przypadku Zachodu z mody. O czym mowa? O drewnianych klockach, podobnych do tych sprzed lat. Drobna różnica? Klocki MAGNETIC WOODEN TOYS to jak sama nazwa wskazuje klocki wyposażone w magnesy, co pozwala układać je w sposób teoretycznie przeczący zasadom grawitacji.

Zestaw to 18 drewnianych klocków „uzbrojonych" w magnesy o kształtach podstawowych figur geometrycznych. Można z nich układać domy do dołu dachami, ludzików z głową na ramieniu... Czyli coś, co maluchy lubią najbardziej. I uwaga – niby nic wielkiego – a jednak projekt zyskał na portalu Kickstarter dużą popularność; zebrano już kwotę kilkukrotnie większą od wymaganej do uruchomienia produkcji.

Zestaw można zamówić, wpłacając ok. 200 zł na wspomnianym Kickstarterze. A dostawa w kwietniu. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl 2509c326de

Dawid wytrwały

FOT. LISI NIESNER/REUTERS/FORUM

Łukasz Majchrzyk

Dawid Kubacki przejął w tym roku zimę. Wygrał Turniej Czterech Skoczni i został jednym z narciarskich trzech królów, obok Adama i Kamila

Dwaj pierwsi „królowie" to oczywiście Małysz i Stoch, którzy wcześniej zwyciężali w najbardziej prestiżowym turnieju w skokach narciarskich. Wielu polskich kibiców pamięta na pewno zimy z Małyszem, niedzielny rosół przy konkursach Pucharu Świata i dmuchanie pod narty, choćby w ekran telewizora, gdy skoczek z Wisły zdobywał kolejne tytuły.

Były obawy, że Małysz długo nie będzie miał następcy, ale na szczęście szybko pojawił się Kamil Stoch, który w niektórych aspektach nawet Małysza prześcignął. Został złotym medalistą olimpijskim, co skoczkowi z Wisły się nie udało, choć kilka razy był bardzo blisko.

Kiedy teraz, po kilku latach wielkich sukcesów, trochę słabszy moment ma Stoch, to na szczyt wdrapał się Kubacki i już na dobre wywalczył sobie na miejsce w sercach polskich kibiców. Najlepszym dowodem jest to, że zaczęły powstawać o nim memy. Jest ich cała seria – są takie, które na cel biorą jego rywali, a że groźnego rywala trzeba obśmiać, więc bohaterem jest świetny Japończyk Ryoyu Kobayashi.

Najlepiej karierę Kubackiego opisuje jednak inny obrazek, a właściwie kompozycja. Na pierwszym zdjęciu stoi polski skoczek z pucharem za zwycięstwa na igielicie, a pod spodem widnieje napis: „Wszyscy: Kubacki potrafi wygrywać tylko latem". Drugie zdjęcie to Kubacki z nartami i podpis: „Dawid Kubacki: Potrzymaj mi piwo".

SOLIDNE PODSTAWY

Można wytykać palcami tych, którzy w wielkie sukcesy Polaka już nie wierzyli, ale prawda jest taka, że mieli ku temu solidne podstawy. Kubacki od dawna osiągał świetne wyniki w letnich konkursach, które pod względem prestiżu są daleko w tyle za zimowymi, a gdy przychodziło do prawdziwego skakania, to gdzieś dyspozycję gubił.

Długo czekał na powrót do formy, który zapewniłby mu regularne stawanie na podium w zawodach Pucharu Świata – w marcu skończy już 30 lat, a to kiedyś był wiek, w którym skoczkowie powoli myśleli o schodzeniu ze sceny. Często na skoczni rządzili ci, którzy wielki talent objawiali jeszcze jako nastolatkowie: Matti Nykanen, Gregor Schlierenzauer lub tuż po 20. roku życia – Stefan Kraft, Sven Hannawald,

eprasa.pl 2509c326de

nawet Małysz i Stoch. Może dlatego, kiedy Kubacki kroczył na przełomie lat 2019 i 2020 po zwycięstwo w Turnieju Czterech Skoczni, to nie było po nim widać wielkiego zdenerwowania. Nie odcinał się od świata, dalej rozmawiał z dziennikarzami i rozdawał autografy kibicom.

Spokój to jego znak rozpoznawczy w różnych sytuacjach. Kiedyś po jednych z zawodów w felietonie dla „Gazety Wyborczej" zaatakował go Wojciech Kuczok. Kubacki przed każdym skokiem wykonuje znak krzyża, a pisarz i publicysta napisał: „Sportowcy manifestujący wiarę podczas transmitowanych zawodów obrażają moje uczucia ateistyczne, choć mniej mnie drażnią tacy, którzy po odniesionym sukcesie dziękują Bogu, niż ci, którzy wzywają go na pomoc przed startem". Kubacki podszedł do tego spokojnie, nie wdawał się w polemiki, stwierdził, że jest wierzący, a dzięki temu, że wykonuje znak krzyża, czuje, jakby miał na skoczni dodatkowe wsparcie.

Naczekał się, przeżywał chwile zwątpienia i wreszcie może powiedzieć, że się opłaciło Kubacki pierwsze zawody zimowego Pucharu Świata (w Predazzo) wygrał tuż przed 29. urodzinami. Wtedy dopiero mocniej zaznaczył się w świadomości kibiców. Adam Małysz w studiu TVP pod skocznią był wyraźnie wzruszony, komentując wyczyn swojego młodszego kolegi. Może przypomniało mu się, że sam, zanim zaczął odnosić wielkie sukcesy, musiał przeżyć chwile zwątpienia i nawet zastanawiał się nad porzuceniem sportu? U niego przyszło to wcześniej, ale też cierpliwości mógł mieć mniej, bo przed małyszomanią skoki w Polsce były na zupełnie innym poziomie – pieniędzy było bez porównania mniej.

CIĘŻKA PRACA

Kubacki do sukcesów doszedł, tak mówią ci, którzy śledzili jego karierę, przede wszystkim konsekwencją i ciężką pracą. Jak powiedział w wywiadzie dla Sport.pl Zbigniew Klimowski, jeden z jego pierwszych trenerów, obecnie członek sztabu kadry A, Kamil Stoch był diamentem, który należało oszlifować, a Kubackiemu sukcesy przychodziły ciężej.

Podobne zdanie ma też Józef Jarząbek, do którego najpierw trafił Kubacki. – Kiedy psuł skok za skokiem, nie narzekał, tylko zaciskał zęby – wspominał Jarząbek w rozmowie z portalem Tvpsport.pl. Młodzi ludzie często nie wytrzymują próby charakteru i gdy pojawiają się trudności przy uprawianiu sportu, czasami rezygnują. Kubacki był inny. Koncentrował się na pracy, nawet gdy mięśnie bolały.

Pomagali mu również rodzice, którzy konsekwentnie dowozili syna na treningi z Szaflar do klubu LKS Ząb, gdzie trenował również Stoch. Dawid robił postępy, ale nie było u niego wielkich wybuchów talentu, które przykuwałyby uwagę. Trafił jednak do reprezentacji juniorskiej. Warto stawiać na takich, u których widać zawziętość, bo wielkie zmarnowane talenty polskie skoki w ostatnich latach też widziały.

Wystartował w mistrzostwach świata juniorów, potem stanął na starcie zawodów o Puchar FIS, skąd do splendoru zwycięzcy zawodów Pucharu Świata jeszcze daleko, ale od czegoś trzeba było zaczynać.

Dawid Kubacki przyznaje, że modelarstwo to dla niego odskocznia i coś, co pomaga się odprężyć. Czasami zabiera jakąś „zabawkę" na zawody

Na jakiekolwiek sukcesy zimą czekał długo. Pierwszy raz na starcie zawodów Pucharu Świata stanął na początku 2009 r., ale punkty zdobył niemal trzy lata później – w grudniu 2012 r. Pierwsze podium zimą to kolejnych pięć lat czekania. Wcześniej przyszły sukcesy indywidualne w letnich zawodach i medale w drużynie.

Kiedy obok siebie miał Stocha, Żyłę, Macieja Kota, szło mu znacznie lepiej – stawał się ważną częścią reprezentacji. Potem było jeszcze lepiej, w 2017 r. zdobył z drużyną złoty medal mistrzostw świata, choć łyżeczką dziegciu może być to, że oddał najkrótszy skok z reprezentantów Polski. Wreszcie rok później przyszedł wspaniały występ w Pjongczangu i drużynowy brązowy medal. Ciągle brakowało jednak tego, by cała uwaga skoncentrowała się na nim, błysku, który pozwoliłby wygrać w najważniejszych zawodach.

ODBLOKOWANY

W 2015 r. został nawet zesłany przez ówczesnego trenera Łukasza Kruczka do kadry B i właśnie tam udało się zawodnika odblokować. Wszystko przez zmianę techniki skoku, bo wcześniej Kubacki odbijał się bardzo wysoko, ale szybko spadał. Teraz moc wybicia została, ale sylwetka układa się inaczej, opór powietrza jest mniejszy i można odlecieć dużo dalej. Do tego dochodzą detale, które tyko najlepsi znawcy, byli skoczkowie potrafią rozpoznać. Najważniejsze jest jednak to, że są efekty.

Udało się Kubackiemu okiełznać aerodynamikę na skoczni, zapanować nad własnym ciałem. Próbuje też na innych polach. W Nowym Targu i okolicach znają go jako pasjonata latania i modelarstwa na tyle dobrze, że burmistrz wręczył mu po medalu olimpijskim voucher na kurs szybowcowy.

Pasję do latania polski skoczek ma w sobie od dawna. Podobno, kiedy zobaczył w telewizji słynnego japońskiego zawodnika Kazuyoshiego Funakiego (który skakał pięknie, stylowo), to uparł się, że on też tak chce latać, i w końcu trafił na treningi. Podczas zabaw na podwórku potrafił przypiąć sobie do ramion tekturowe skrzydła i zbiegać z górki. Na szczęście nie miał bardziej szalonych pomysłów.

Teraz, gdy czas mu na to pozwala, uczy się szybować, zalicza kolejne etapy kursu. Zdarzyło mu się nawet podziwiać Tatry z lotu ptaka. Na kurs przyszedł podobno już ze sporą wiedzą, i to nie tylko dzięki temu, że latał na skoczniach dużych oraz mamucich. Bardzo wiele o aerodynamice nauczył się, sklejając modele. Odwzorowuje je pieczołowicie, pomniejszone w odpowiedniej skali. Nad jednym egzemplarzem pracował (pracuje nadal?) już od kilku lat i ciągle nie może go skończyć. Wciągnął się też w przygotowywanie modeli śmigłowców. Kiedyś podobno złożył jeden egzemplarz z części, które zostały mu po innych modelach. Śmigłowiec latał, a Kubacki pęczniał z dumy.

Sam przyznaje, że modelarstwo to dla niego doskonała odskocznia i coś, co pomaga się odprężyć. Ma w domu pracownię, czasami zabiera też jakąś „zabawkę" na zawody.

Kubacki to człowiek bardzo zapracowany i chociaż często buja w obłokach, to jednak nie oderwał się zupełnie od ziemi. Założył nawet firmę Dawid Kubacki MUSTAF, która działa w branży reklamowej. Nazwa firmy jest dość osobliwa, a wzięła się z przydomku, który Kubacki kiedyś dostał, ale skąd i dlaczego zaczęto go nazywać „Mustaf", tego już chyba nikt nie pamięta albo nie chce zdradzić. O klientach firmy na razie niewiele wiadomo, ale w razie czego pomysł na życie po zakończeniu kariery jest gotowy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

Za pancerną szybą

Katarzyna Pinkosz

– Staram się nie poznawać już kolejnych osób z mukowiscydozą, bo kiedy umierają, to strasznie boli – mówi 31-letnia Marta. W Kanadzie są 70-latki z mukowiscydozą. W Polsce średnia długość życia to ok. 30 lat

FOT. ARCHIWUM PANI MARTY

Marta: szczupła, wysoka, atrakcyjna blondynka – początkowo nie widać po niej oznak choroby, jednak już po 10 minutach rozmowy pokasłuje. Przy 50 proc. pojemności płuc (tyle ma dziś) dłuższa rozmowa męczy, podobnie jak wejście na piętro czy nawet długi spacer. Jeszcze kilka lat temu pojemność jej płuc wynosiła 67 proc. Co roku ubywają kolejne 2–3 proc., mimo że Marta skrupulatnie przyjmuje wszystkie zalecone leki i stara się maksymalnie dbać o płuca, stosując zabiegi fizjoterapeutyczne, chodząc na spacery, a nawet na siłownię. Wie, że gdy pozostanie jej 25–30 proc. pojemności płuc, jedynym ratunkiem pozostanie ich przeszczepienie.

Mukowiscydozę zdiagnozowano, gdy miała 14 lat. Wcześniej lekarze nie pomyśleli, że to właśnie ta choroba może być przyczyną uporczywego pokasływania, trudnych do leczenia i nawracających zapaleń płuc, oskrzeli, słabego przybierania na wadze. Przyczyną mukowiscydozy są mutacje w genie CFTR: organizm produkuje duże ilości gęstego śluzu. Zalega on w płucach i oskrzelach, utrudnia oddychanie, jest pożywką dla bakterii (stąd częste infekcje). Blokuje też przewody wyprowadzające z trzustki enzymy trawienne, więc organizm nie jest w stanie przyswoić dostatecznej ilości kalorii i składników odżywczych. – Wyrocznią, jeśli chodzi o długość życia, jest stan płuc. Ponad 90 proc. chorych umiera z powodu powikłań choroby oskrzelowo-płucnej – mówi prof. Dorota Sands, kierująca Centrum Leczenia Mukowiscydozy Szpitala w Dziekanowie Leśnym, prezes zarządu Polskiego Towarzystwa Mukowiscydozy.

ŚMIERTELNA CZY PRZEWLEKŁA

50 proc. pojemności płuc pozwala jeszcze Marcie na pracę: jest wychowawczynią w przedszkolu. Dzieci dają jej siłę; przyzwyczaiły się też, że nie biega za nimi i czasem musi odpocząć. Zanim wyjdzie do pracy, godzinę zajmuje jej rehabilitacja oddechowa: inhalacje lekiem rozszerzającym oskrzela i antybiotykiem, zabiegi fizjoterapii, konieczne, by usunąć wydzielinę zalegającą w oskrzelach po nocy. Takie same zabiegi musi wykonać wieczorem, a jeszcze podpiąć się pod kroplówkę i przyjąć dodatkowe 1500 kcal (mimo przyjmowanych enzymów trzustkowych organizm przyswaja za mało kalorii i składników odżywczych z diety). Dwa razy w roku idzie do szpitala na dwa tygodnie antybiotykoterapii. Pobyt w szpi-

eprasa.pl 2509c326de

talu jest też konieczny, jeśli przedłuża się infekcja – leczenie antybiotykami w domu zwykle nie wystarcza.

Leki łagodzą objawy, nie poprawią jednak pojemności płuc. – Walczę o siebie, ćwiczę, bo jeśli usiądę na kanapie, mój stan pogorszy się dużo szybciej – mówi Marta. Gdy niedawno z powodu infekcji miała zaostrzenie choroby, pojemność płuc spadła jej do 43 proc. – Nie miałam siły obejść bloku, wejść na piętro, w domu starałam się leżeć. Infekcja skończyła się pobytem w szpitalu, dużymi dawkami antybiotyków i miesiącem zwolnienia z pracy – opowiada.

W leczeniu mukowiscydozy w ostatnich latach dokonały się ogromne zmiany. – 50 lat temu była to choroba, na którą umierały małe dzieci. Dzięki wczesnemu rozpoznawaniu w badaniach przesiewowych, coraz doskonalszemu leczeniu objawowemu, stworzeniu ośrodków leczenia, w których chory jest pod opieką zespołu specjalistów, długość życia znacznie się wydłużyła. Dodatkowo w ostatnich latach pojawiły się leki przyczynowe, korygujące defekt warunkowany genetycznie. W wielu krajach mukowiscydoza zaczyna być powoli uznawana za chorobę przewlekłą, a w Kanadzie są już osoby z tą chorobą mające 70 lat – mówi prof. Sands.

LEKI PRZYCZYNOWE

W Europie są już dostępne dwa leki działające na określone mutacje genetyczne mukowiscydozy, a w USA w 2019 r. został zarejestrowany trzeci. W Polsce nie jest dostępny żaden, również ten na mutację G 551D, którą ma Marta. – Pamiętam wizytę pięć lat temu u pani doktor. Powiedziała, że wygrałam los na loterii, bo są setki mutacji w mukowiscydozie, a wynaleziono lek właśnie na moją! Rozpłakałam się ze szczęścia. Gdy już się nacieszyłam, pani doktor powiedziała mi złą wiadomość: leczenie jest kosztowne. Mimo to stwierdziłam, że zrobię wszystko, żeby je dostać. Niestety, minęło już pięć lat, a nadal go nie mam – opowiada Marta.

Lek, który mógłby jej pomóc: iwakaftor, pierwszy lek przyczynowy zarejestrowany w mukowiscydozie, skuteczny w przypadku obecności tzw. mutacji bramkujących, jest już finansowany w 26 krajach świata. Niedawno otrzymał jednak negatywną ocenę Prezesa Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, mimo wcześniejszej pozytywnej opinii Rady Przejrzystości agencji. Przeciw negatywnej ocenie zaprotestowali eksperci, m.in. prof. Dorota Sands, prof. Halina Batura-Gabryel (konsultant krajowy ds. chorób płuc), dr Andrzej Pogorzelski (konsultant krajowy ds. chorób płuc dzieci). Eksperci napisali, że lek jest innowacyjny, wysoce skuteczny, uznawany za przełom i rekomendowany przez wszystkie międzynarodowe standardy leczenia. Badania kliniczne dowiodły, że jego stosowanie pozwala na poprawę funkcji płuc co najmniej o 10 proc., zmniejszenie częstości zaostrzeń choroby oskrzelowo-płucnej, poprawienie parametrów funkcjonowania trzustki. „W praktyce klinicznej pacjenci z mukowiscydozą nie mieli dotąd możliwości uzyskania takiej poprawy w zakresie parametrów funkcji płuc" – napisali eksperci.

– Wzrost pojemności płuc o kilkanaście procent to bardzo dużo, już kilka procent może być zauważalne, pacjent może przestać odczuwać duszności przy codziennych czynnościach, może pracować. Refundacja nie byłaby dużym obciążeniem dla budżetu, gdyż w Polsce jest tylko ok. 10 osób, które mają mutację, na którą lek działa – zaznacza prof. Sands.

Eksperci zarekomendowali ministerstwu objęcie refundacją leku, a jednocześnie zaapelowali do producenta o obniżenie ceny i ustalenie takich instrumentów dzielenia ryzyka, które pozwolą na udostępnienie leku pacjentom z Polski. – W Polsce wiele się poprawiło, jest coraz doskonalsze leczenie objawowe, lepsze warunki w szpitalach, chorymi coraz częściej zajmuje się zespół specjalistów. Między innymi krajami a Polską tworzy się jednak coraz większa przepaść wynikająca z braku dostępu do leczenia przyczynowego. Ustawia to nasze leczenie na innej prędkości niż w innych krajach. Wyniki długości przeżycia naszych chorych zdecydowanie nie są satysfakcjonujące, dlatego konieczne jest wprowadzenie leczenia przyczynowego – mówi prof. Sands.

W Europie są już dostępne dwa leki działające na określone mutacje genetyczne mukowiscydozy

ODETCHNĄĆ Z ULGĄ

W sprawie Marty lekarze pisali pisma do Ministerstwa Zdrowia z prośbą o indywidualne leczenie. – Za każdym razem to była nadzieja, a potem cios. Chyba już lepsza byłaby świadomość, że nie ma dla mnie leku, niż fakt, że o tym, czy będę dużej żyła, decydują pieniądze. I to takie, których nie jestem w stanie zgromadzić – mówi Marta.

Dwa miesiące temu rodzice i siostra namówili jednak Martę do walki o życie i desperacką próbę zebrania pieniędzy. W występy i kiermasze w ramach akcji „Pomóż Marcie odetchnąć z ulgą" zaangażowały się dzieci z przedszkola. – Tłumaczyłam, że jak bawię się z nimi, to w pewnym momencie muszę odpocząć i że jak zdobędę lek, to będę mogła bawić się z nimi cały czas, bo będę miała tyle siły co one. Reakcje dzieci są niesamowite: jeden z sześciolatków powiedział, że uzbierał po świętach 67 zł i odłożył je dla mnie na lek. Cieszę się, że tyle osób mi pomaga, jednak suma jest ogromna. Czy podołamy? – martwi się Marta.

Ma narzeczonego, planuje ślub. Nie chce jednak decydować się na dziecko. Nie chce, żeby cierpiało, jeśli mukowiscydoza zbyt wcześnie odbierze jej życie.

Barbara Dziuk, posłanka, sejmowa Komisja Zdrowia

Podziwiam i – na ile to możliwe – będę wspierać Martę w walce o godne życie. Sytuacja, kiedy pacjent otrzymuje diagnozę choroby cywilizacyjnej, to już dramat, a w tym przypadku pełna życia młoda kobieta dowiaduje się, że cierpi na chorobę rzadką, która bez leczenia właściwymi, drogimi lekami wyniszcza organizm. Ten przykład w bardzo drastyczny sposób pokazuje, jak potrzebne jest wsparcie dla chorych, u których już w momencie rozpoznania zaczyna się wyścig z czasem o życie. Musimy wspierać osoby z chorobami rzadkimi. Ich rodziny są bezsilne wobec cierpienia, któremu nie można ulżyć.
Dzięki pracy wielu środowisk Ministerstwo Zdrowia przyjęło strategię dla chorób rzadkich. Jest jeszcze wiele do zrobienia, natomiast obrany kierunek pozwoli na dalsze prace i pomoc dla osób do tej pory skazanych na wykluczenie społeczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 2509c326de

RYCERZE I WARCHOŁY

Jak Persa zabił Diabła Łańcuckiego

JACEK KOMUDA

Pod koniec sierpnia 1610 r. tereny dzisiejszych Bieszczad stały się obszarem polowania, w którym uczestniczyły tysiące szlachty, sług, chłopów i żołnierzy. Szukano Stanisława Stadnickiego zwanego Diabłem Łańcuckim, jednego z największych awanturników i okrutników, o którym pisałem wcześniej w jednym z felietonów. Przegrawszy prywatną wojnę z Łukaszem Opalińskim, starostą leżajskim, straciwszy Łańcut i umocniony dwór w Wojutyczach pod Samborem, Diabeł zaciągnął w Siedmiogrodzie 3 tys. sabatów, czyli dzisiejszych Szeklerów, służących jako najemnicy. Na ziemię przemyską i sanocką padł strach, a Opaliński wysłał szpiegów i sługi, rozmieścił na pogórzach Dynowskim i Przemyskim oraz w Bieszczadach sieć posterunków mających wyśledzić i schwytać pałającego chęcią zemsty pana z Łańcuta.

Stadnicki tymczasem wrócił do Polski wcześniej, z gromadą sług i czeladzi, liczoną nawet na sto koni. Z dnia na dzień topniała, w miarę, jak opuszczali go kolejni poplecznicy. Diabeł bowiem przegrał już wszystko, co miał do stracenia; Łańcut i włości leżały w ruinie, jego żona i dzieci były w rękach Opalińskiego. Pozostała mu tylko zemsta, której dokonać miały zwerbowane oddziały sabatów. Dlatego kluczył i wymykał się Opalińskiemu, czekając na maszerujących wolno sabatów. Dotarł do Starego Sambora, potem uszedł do Rybotycz nad Wiarem, wreszcie – lasami do Iskania pod Dubieckiem. Stąd wyprawił się do Tarnawki, do włości księżnej Anny Ostrogskiej, wspierającej jego wroga prywatnymi oddziałami. Tu kazał odrąbać głowy tutejszemu młynarzowi i jego synowi, po czym wyprawił się pod Łańcut i wreszcie cofnął się bliżej Starego Sambora, nie mogąc

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

doczekać chwili, kiedy poprowadzi armię przeciwko znienawidzonym sąsiadom.

20 sierpnia zaszył się w Tarnawie pomiędzy Chyrowem i Dobromilem, dziś po ukraińskiej stronie granicy. Stąd wysłał kilku ludzi na zwiad, w kierunku Jarosławia. Ci jednak zdradzili i zawiadomili Opalińskiego o miejscu pobytu pana. Starosta natychmiast posłał tam oddział konnych Kozaków, który wcześniej nadesłała w posiłku księżna Ostrogska. Był wśród nich Tatar, niejaki Persa, który niespodziewanie został bohaterem tego dramatu.

Kozacy wpadli do Tarnawki, gdzie spostrzegł ich chłopiec będący sługą Stadnickiego. Zawiadomił przebywającego we dworze pana, ten jednak myślał, że nadchodzą sabaci, więc nie zareagował; dopiero w ostatniej chwili rzucił się do ucieczki. Wskoczył na konia i dopadł pobliskiego lasu, gdzie zeskoczył i schował się pod kłodą. Kozacy pognali za wierzchowcem, jednak przeoczyli miejsce ukrycia jego pana. Dopiero kiedy wracali, Stadnicki niespodziewanie wychylił się z kryjówki i został dostrzeżony.

Kozacy rzucili się na niego z szablami; w gęstwinie doszło do walki, w której Diabeł odniósł 10 ran od cięć i ciosów. Bronił się desperacko i krwawo, a miał wówczas 59 lat, wiek jak na tamte czasy już podeszły. Ludzie księżnej mieli nielichy problem z zarąbaniem Diabła, byłego rotmistrza i uczestnika wojen batoriańskich. Wreszcie wspomniany Persa zastrzelił Stadnickiego z półhaka, celując w serce – poniżej lewego ramienia na piersi – jak podają akta grodzkie. W ten sposób zakończył wieczną wojnę Stadnickiego z sąsiadami. Jak podaje Władysław Łoziński, po śmierci zerwał z zabitego kaftan, w którym miały być zaszyte dwa tysiące czerwonych złotych. Następnie odrąbał trupowi głowę, którą zawiózł staroście. „Łajał mu Opaliński – pisał Walerian Nekanda-Trepka – i żałował, że go [Stadnickiego] żywo – mogąc to – nie wzięli. Dał jednak kontentacją Persie, że Persa zdostatniał z owego łupu". W taki właśnie sposób zwykły szary Tatar – zapewne wywodzący się z zamieszkałych na Ukrainie ordyńców – stał się bohaterem i panem bratem. Jak bowiem pisze Trepka, dostał nie tylko nagrodę, lecz także Stanisław Lubomirski, starosta sandomierski, wyrobił mu nobilitację u króla. W podzięce za zabicie Diabła nadano mu nazwisko; został szlachcicem jako Dymitr Macedoński, choć sejm raczej nie potwierdził tego przywileju.

Śmierć Diabła Łańcuckiego nie powstrzymała sabatów, którzy 28 sierpnia wkroczyli na teren Rzeczypospolitej. Ponieważ ich wódz już nie żył, powetowali sobie nieudaną wyprawę rabunkami i gwałtami w okolicach Sambora i Dobromila, aby nie wracać do Siedmiogrodu z pustymi rękoma. Jednak dzięki Dymitrowi Macedońskiemu ich pobyt był krótki. Gdyby Stadnicki dożył ich przyjścia, niechybnie poprowadziłby ich na Leżajsk, Przeworsk, dokonując okrutnej i krwawej zemsty na staroście Opalińskim i jego sojusznikach. Zemsty, o której pamiętano by przez całe lata. ©℗

eprasa.pl 2509c326de

KARKÓWKA Z KAPUSTĄ I ANANASEM EWY WACHOWICZ

To przepis, który pochodzi z... fotela dentystycznego. Ładnych parę lat temu, gdy byłam na kontroli u mojej dentystki, tradycyjnie rozmawiałyśmy o kulinariach. Opowiedziała mi wtedy o takim przepisie, w którym karkówkę wkłada się do pieca z kapustą i ananasem, i obiad gotowy.

Postanowiłam przygotować taką potrawę w moim programie „Ewa gotuje" i od tamtej pory to jeden z ulubionych przepisów moich widzów – banalnie prosty i przepyszny. Wspaniale smakuje z chlebem, ziemniakami. Receptura zatoczyła spore koło. Kilka lat temu znajomy rzucił pracę w korporacji i wybudował pensjonat Hańczowa 28. Często od niego słyszę: Ewa uwielbiam twoje przepisy, ale najlepszy to karkówka pod kapustą. Goście się zajadają niezmiennie od lat. Od wielu osób to słyszę, bo to potrawa, której najczęściej mi gratulowano, i prosty przepis, którym można zabłysnąć.

Składniki:

- 1,5 kg karkówki
- 800 g kapusty
- 1 puszka ananasa
- sól
- pieprz
- kolendra
- ½ łyżki smalcu

Ziemniaczki jak młode:

- ziemniaki
- woda
- mleko
- 2 ząbki czosnku
- sól
- koperek

Przygotowanie:

Mięso umyć, osuszyć papierowym ręcznikiem, po czym natrzeć solą i pieprzem młotkowanym z kolendrą (można kupić taką mieszankę lub samemu – w moździerzu – utłuc ziarna pieprzu z ziarnami kolendry). Można też natrzeć zwykłym, mielonym pieprzem.

Następnie włożyć do lodówki na co najmniej dwie godziny (a jeszcze lepiej na całą noc). Patelnię rozgrzać, dać tłuszcz i obsmażyć mięso ze wszystkich stron. Przełożyć do gęsiarki (lub do dużego naczynia żaroodpornego).

Kapustę kiszoną podzielić na porcje, dobrze odcisnąć (w przeciwnym razie kwaśny smak zdominuje potrawę) i lekko posiekać. Tak przygotowaną kapustą obłożyć mięso.

Ananas wyjąć z puszki, pokroić na kawałki (można też kupić konserwę z pokrojonym ananasem). Sokiem z puszki zalać mięso, a ananasem posypać kapustę. Przykryć i wstawić do piekarnika na ok. 2 godz.

Upieczone mięso pokroić na plastry, podać z ziemniakami i kapustą z ananasem – jako dodatkiem.

Ziemniaki obrać. Zalać wodą i mlekiem – pół na pół. Dodać czosnek w łupinach. Przyprawić solą. Ugotować. Przed podaniem posypać koperkiem. ©℗

oprac. raw

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Ewa Wachowicz jest prezenterką i producentką telewizyjną.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jedz ryby, ale nie jedz

Każdy to wie. Ryby są zdrowe. Zawierają... tak – wszystko to, o czym przeczytali państwo wiele razy w poradnikach, rubrykach zdrowotnych gazet, czego dowiedzieli się państwo z ulotek rozdawanych u lekarzy. Ryby są smaczne, lekkie, zdrowe. Hasło XXI w.: Nie jedz mięsa, uratuj planetę itd. Jedz ryby! Na przykład łososia. Łosoś, jeszcze do niedawna symbol luksusowego dania, dzisiaj jest do dostania w każdym supermarkecie: wędzony, surowy. Zdemokratyzował się, wymienił role z dorszem – ten do niedawna uchodził za rybnego proletariusza („Jedzcie dorsze, g... gorsze" – mówiło PRL-owskie porzekadełko), teraz wspiął się na wysoką półkę.

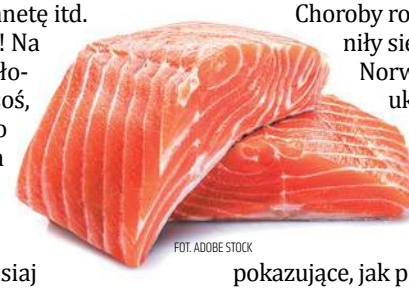

FOT. ADOBE STOCK

Wiadomości nie są jednak takie dobre. Już kilka lat temu dziennikarze badający hodowle łososia w Norwegii alarmowali, że jest to ryba, która powinna być opatrzona znakiem trupiej czaszki. Francuski dziennik „Le Monde" ostrzegał już w roku 2013. W roku 2016 francuscy dziennikarze Nicolas Daniel i Louis de Barbeirac odbyli wędrówkę od Norwegii do Wietnamu, do Szwecji i Danii. Spotkali się z norweskim aktywistą, ekologiem i założycielem Norweskiego Związku Ochrony Przyrody (Green Warriors of Norway) Kurtem Oddekalvem, który od 10 lat monitoruje gospodarstwa rybne w Zachodniej Norwegii i zbiera dowody na to, w jak złych warunkach hodowane są łososie.

„Na małej farmie hoduje się dwa miliony zwierząt. Ryby są chore na martwicę trzustki i zakaźną anemię. Choroby rozprzestrzeniły się w całej Norwegii, ale ukrywa się to przed konsumentami" – mówi Kurt. Ma zapisy pokazujące, jak pracownicy farm wlewają do wody silny pestycyd o działaniu neurotoksycznym. „Sami muszą nosić maski przeciwdeszczowe i kombinezony ochronne, aby nie ulegać wpływom chemikaliów stosowanych do oczyszczania zasobów wodnych. Dno hodowli ryb pokryte jest 15-metrowymi osadami pełnymi bakterii – są to resztki jedzenia, odpady chemiczne, odchody ryb. Poziom zanieczyszczenia jest bardzo wysoki".

Sama widziałam film, na którym pracownicy hodowli w Norwegii robią łososiom zastrzyki ze szczepionki mającej uchronić je przed zarazkami. Ten film mi się przypomina za każdym razem, kiedy jem łososia, a niestety nie umiałam z niego zrezygnować. Taka jest siła prozdrowotnej propagandy połączona z wypieraniem złych wiadomości. Tylko co jeść? Zostają buraki i szpinak. ©℗

eprasa.pl 2509c326de

LEXUS NA PRĄD

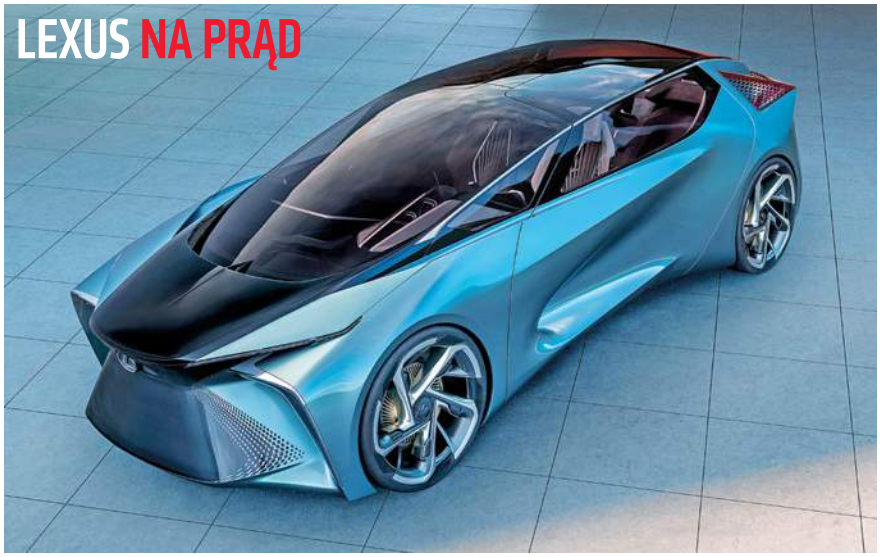

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Futurystycznie wyglądający model LF-30 Electrified z niezależnymi silnikami elektrycznymi przy każdym kole to samochód koncepcyjny, który ma wyznaczać kierunek rozwoju e-aut tej luksusowej marki do końca rozpoczętej właśnie dekady. Uwagę przykuwa zwłaszcza kształt pojazdu, który został pozbawiony klasycznej maski. Pierwszy elektryczny samochód Lexusa, który trafi do seryjnej produkcji – model UX 300e – pojawi się w sprzedaży w Polsce już w tym roku. Niewielki miejski SUV ma mieć napęd elektryczny o mocy 204 KM i maksymalny moment obrotowy wynoszący 300 Nm. Dzięki temu od zera do 100 km/godz. rozpędza się w 8 s. Prędkość maksymalna wynosi 160 km/godz. Według producenta na jednym ładowaniu da się przejechać ponad 360 km.

LUKSUSOWY SUV OD KOREAŃCZYKÓW

BMW X5, Audi Q7, Mercedes-Benz GLE oraz Lexus RX – to najwięksi konkurenci najnowszego samochodu południowokoreańskiego producenta. Portfele najbogatszych klientów zdobyć ma model GV80 marki Genesis, którą z samego Hyundaia wydzielono pięć lat temu i która do tej pory znana była tylko z produkcji ekskluzywnych sedanów. Luksusowy SUV z trzylitrowym silnikiem o mocy 274 koni mechanicznych

i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 589 Nm jest już dostępny w salonach w Korei Południowej. Producent planuje również wprowadzenie dwóch wersji z turbodoładowanymi silnikami benzynowymi: czterocylindrowego o pojemności 2,5 l oraz sześciocylindrowego o pojemności 3,5 litra i mocy 375 KM.

Głównym elementem deski rozdzielczej jest ogromny dotykowy ekran o przekątnej aż 14,5 cala. Bogatych klientów mają przyciągnąć takie udogodnienia jak nawigacja z rozszerzoną rzeczywistością czy system aktywnej redukcji hałasu (znany m.in. ze słuchawek), który tłumi szumy za pomocą odwróconych fal dźwiękowych emitowanych przez głośniki systemu audio.

Wygodę kierowcy zapewnia fotel wyposażony w siedem komór powietrznych, które redukują zmęczenie daleką podróżą. Za komfort pasażerów odpowiada zaś m.in. nowoczesne, elektrycznie sterowane zawieszenie, które dzięki kamerom i informacjom z nawigacji może z wyprzedzeniem przystosować się do warunków na drodze. Genesis w standardzie oferuje także systemy zwiększające bezpieczeństwo pasażerów (wśród nich system awaryjnego hamowania w razie wykrycia ryzyka kolizji, asystent martwego pola lusterek czy system monitorujący ruch z tyłu pojazdu podczas cofania).

Jeśli GV80 odniesie sukces w swej ojczyźnie, to jeszcze w tym roku trafi również na kluczowy rynek amerykański, a później na pozostałe rynki. ©℗

eprasa.pl 2509c326de

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2020

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

eprasa.pl 2509c326de

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Prawda leży w awarii

Dokładnie nie wiem, ale chyba w oczach, no bo jak? Chyba w oczach pojawią się niektórym takie ciągi spadających cyferek i po ich analizie będziemy wiedzieć, kto za tym stoi. Sami z siebie nie mogą przecież wygadywać takich głupot. Ktoś musi za tym stać. O co chodzi? Chodzi, proszę państwa, o to, że prawda leży w awarii, a nic nie jest takie, jakie się wydaje.

Otóż wielka awaria Facebooka (ciekawe, czy to była awaria, czy celowe danie możliwości śmiertelnikom zajrzenia za kurtynę zdarzeń) pokazała, że konta społecznościowe wielu sławnych osób, nie tylko ze świata polityki, są prowadzone przez zupełnie innych ludzi. Krótko mówiąc, ty sobie myślisz, że czytasz wielkie myśli i słowa wielkiego, sławnego człowieka, a tu ktoś zupełnie obcy się z tobą komunikuje, robiąc ciebie w bambuko. Ja tu nie będę wymieniać wszystkich, więc wymienię, że sławna dziewczynka Greta Thunberg, bardzo osobiście zatroskana o stan klimatu we wszechświecie, na stronach Facebooka nie była osobiście zatroskana, bo wiadomości pisał jej ojciec, który wchodził na jej konto. Po prostu ojciec był zatroskany za córeczkę. Ta prawda wyszła na jaw dzięki awarii właśnie, bo się po prostu wyświetliła.

Wszyscy, którzy oglądali film „Matrix" – a oglądali wszyscy – wiedzą o upiornej wizji, że się posłużę cytatem: „Co znaczy: »prawdziwe«? Jak definiujesz »rzeczywistość«? Jeśli mówisz, co możesz poczuć, co możesz powąchać, spróbować lub zobaczyć, to rzeczywistość jest tylko elektrycznymi impulsami interpretowanymi przez twój mózg". Krótko mówiąc, zachodzi podejrzenie, że skoro można się włamać na czyjeś konto, to można by się włamać przy odpowiedniej technologii do czyjegoś mózgu.

Czytam np. moją ulubienicę Sylwię Spurek, która ciągle ma chyba włamania do mózgu. Ostatnio porównała krowy do ofiar Holokaustu, co wywołało oburzenie, ale nie tak duże, bo ona nie jest przedstawicielem konserwatywnej prawicy, tylko postępowej lewicy. To ważna konstatacja i aktualna w czasach ponowoczesności: nieważne, co zrobisz, ważne, do jakiej paczki należysz.

Wróćmy jednak do „Matrixa". A więc gdy słucham wielu np. polityków, jestem przekonany, że mają włamania nieautoryzowane do głów i ktoś niekoniecznie im przychylny mówi do społeczeństwa ich ciałami. Nie jestem pewien, czy wypowiedź pani Małgorzaty Kidawy-Błońskiej dotycząca Jarosława Kaczyńskiego, a która była chyba pomyślana jako krytyka szefa PiS, nie była właśnie takim włamaniem. Ta wypowiedź dla TVN brzmiała: „Jak wiemy, Jarosławowi Kaczyńskiemu nie zależy na świecie, na Europie. Jemu zależy tylko na Polsce". Nie widziałem żadnych cyferek w oczach, ale moim zdaniem trzeba sprawdzić, czy nie doszło tu do awarii. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Patronat ideologiczny

Jak donosi lokalna „Gazeta Wyborcza", Maria Anna Potocka – dyrektor Muzeum Sztuki Współczesnej (MOCAK) oraz Bunkra Sztuki w Krakowie – z dnia na dzień zrezygnowała z wieloletniej umowy patronackiej z Radiem Kraków. Obie instytucje publiczne współpracowały ze sobą w zakresie komunikacji, informując o wystawach, projektach, planach rozwoju. Dlaczego w ogóle o tym piszę? Ponieważ powód zerwania współpracy jest w równej mierze kuriozalny, co charakterystyczny dla kondycji debaty publicznej oraz środowisk artystycznych w Polsce. Kością niezgody okazały się bowiem nie hipotetyczna opieszałość radia, nie niewywiązywanie się z obowiązków czy brak profesjonalizmu, ale… audycja, którą co niedzielę prowadzi abp Marek Jędraszewski. I nawet nie konkretne słowa, jakiś hipotetyczny kontrowersyjny fragment z rozmyślań metropolity krakowskiego, które w rzeczywistości koncentrują się głównie wokół aktualnej homilii, co sam fakt, że cztery razy w miesiącu arcybiskup po prostu w radiu bywa. A przecież wiadomo, że bywać nie powinien.

„Działanie Marii Anny Potockiej odbieram jako próbę ograniczenia wolności mediów. Oczywiście żadna instytucja nie ma obowiązku przyznawać stałego patronatu nad swoją działalnością któremukolwiek z mediów. Życzyłbym jednak sobie, aby decyzja o rezygnacji ze współpracy podejmowana była przede wszystkim na podstawie oceny jej dotychczasowego przebiegu. […] Domagając się de facto eliminacji z przestrzeni debaty publicznej głosu metropolity abp. Marka Jędraszewskiego, Maria Anna Potocka ustawiła się w roli cenzora, który usiłuje nałożyć kaganiec na publiczne media i dyktować, kto może występować na antenie Radia Kraków, a kto nie" – pisze w oświadczeniu redaktor naczelny rozgłośni Mariusz Bartkowicz. Jeżeli myślą państwo, że ktokolwiek w środowisku artystycznym Krakowa wielce się na dyrektor Potocką oburzył, że choć jedna osoba stwierdziła, że wykracza poza swoją rolę, a w radiu jest miejsce i na posłów lewicy, i na duchownych katolickich – to czy muszę dodawać, że były to nadzieje płonne?

Podobnie jak Mariusz Bartkowicz nie uważam, aby istniało coś takiego jak „obowiązek współpracy" jakiejkolwiek placówki z jakimkolwiek medium. Równocześnie abp Jędraszewski nie ma żadnego immunitetu, a jego słowa, bez różnicy – Kowalska czy Potocka – mogą krytykować do woli. Pytanie, czy może to jednak robić szefowa muzeum sztuki w ramach swoich kompetencji? „Czy Pani dyrektor pójdzie teraz za ciosem i wypowie umowę MPK Kraków, ponieważ zarząd spółki zorganizował z arcybiskupem kolędowy tramwaj, a może prezydent Majchrowski nie będzie mógł przyjść do MOCAK-u, bo zaprosił arcybiskupa do Urzędu Miejskiego?" – zapytał dziennikarz Patryk Salamon. Słusznie. ©℗

eprasa.pl 2509c326de

DZIENNIKARSKI POKER

19:00

poniedziałek - środa

Oglądaj również na www.telewizjarepublika.pl

REPUBLIKA

eprasa.pl 2509c326de

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wielbłąd na stepie

W lutym mija już 80. rocznica pierwszych, rozpoczętych w 1940 r. masowych wywózek Polaków, którzy po 17 września 1939 r. znaleźli się pod sowiecką okupacją. Na Syberię lub do Kazachstanu w bydlęcych wagonach wywieziono ponad 1 mln „polskich panów", większość z nich nie przeżyła mrozów, głodu, katorżniczej pracy, a ci, którym przeżyć się to udało, byli na zawsze naznaczeni wielką traumą. Tak właśnie jak niedoceniony i zapomniany pisarz Jerzy Krzysztoń, jedna z najbardziej tragicznych postaci naszej literatury. Pochodził z Grodna, z zamożnej rodziny, jego ojciec, adwokat, już w 1939 r. został aresztowany przez NKWD i słuch po nim zaginął. Zaraz po tym z tłumem rodzin innych „wrogów ludu" wywieziono do Kazachstanu dziewięcioletniego wtedy Jurka, jego brata i matkę.

Zamieszkali w głuchym stepie kazachskim, w ziemiankach z gliny, pracowali w brygadzie układającej kolejowe tory, a Jurek z bratem i innymi dziećmi zbierał kiziak – bydlęce łajno na opał do ogniska, na którym gotowali zupę z pokrzyw i łapszę – zacierki z czarnej mąki oraz otrąb. Myśleli, że tam już umrą, ale wyszli z nieludzkiej ziemi dzięki armii Andersa. Przewędrowali z nią cały szlak, przez Persję, Indie, Afrykę, aż do Anglii, ale już w warunkach o niebo lepszych – mieli kuchnię, opiekę lekarską, a dzieci – harcerstwo, szkoły, naukę angielskiego. Nie obeszło się bez wielkiego nieszczęścia – po wypadku Jurek stracił rękę.

W 1948 r. wrócili do Polski i młody Krzysztoń, jak mówił, niczym biblijny Łazarz zaczął wracać do życia. Skończył na KUL anglistykę, rozpoczął pracę w Polskim Radiu, pisał słuchowiska, a wkrótce książki, które od dawna w sobie nosił, o zsyłce do Kazachstanu. „Wielbłąd na stepie" przeleżał w PIW pięć lat, zrecenzował go negatywnie groźny politruk, płk Zbigniew Załuski, na szczęście przepchał ją jakoś przez cenzurę liberalniejszy Czytelnik. Był rok 1978 i komuna słabła, musiała iść na ustępstwa. „Wielbłąd na stepie" był pierwszą polską oficjalnie wydaną książką o sowieckich zsyłkach, świetną literacko. Wywołał więc sensację i protesty sowieckiej ambasady, która zażądała zniszczenia całego nakładu, ale ten trafił już do księgarń i został błyskawicznie rozkupiony. Krzysztoń napisał też „Krzyż Południa" na ten sam temat. Planował część trzecią, ale nie zdążył. Zawładnęła nim depresja, a potem choroba psychiczna. Leczył się w zakładzie w Tworkach. Terapią miała być również powieść „Obłęd", o obłędzie własnym i polskim. Okazała się ostatnią, załamał go ostatecznie stan wojenny i w maju 1982 r. autor popełnił samobójstwo.

Źródłem jego choroby były nie tylko traumatyczne przejścia, lecz także wieloletnie nękanie Służb Bezpieczeństwa, które – kruchy, wrażliwy – bardzo przeżywał. Zaczęło się już w latach 50. – za „ogólną reakcyjność" – dwukrotnie próbowano go werbować. Zawsze jednak, zdenerwowany, jak podkreślano, zdecydowanie odmawiał. Pomimo tego dręczono go nadal, rewidowano, przesłuchiwano, m.in. za kontakty z zachodnimi tłumaczami, którzy zaczęli się interesować jego książkami i miał szanse na zagraniczne wydania. SB usiłowała mu w tym przeszkodzić, a pomagał jej w tym „przyjaciel" Krzysztonia i jego radiowy kolega, Włodzimierz Odojewski – tajny współpracownik o pseudonimie WO. W odróżnieniu od Krzysztonia zgodził się na współpracę z SB, w zamian za wyjazdy na Zachód, kontakty z wydawcami i tłumaczami, dewizowe honoraria z pominięciem ZAiKS. W wyniku jego donosów wstrzymano Krzysztoniowi paszport i kariery zagranicznej nie zrobił. Odojewskiego natomiast przełożono na ponad 20 języków. Jednak jakim kosztem? Donosił też na Herberta, Iwaszkiewicza, Dąbrowską, Słonimskiego.

Mimo agenturalnej przeszłości nie zawahał się też podczas kolejnego wyjazdu na Zachód poprosić o azyl polityczny, przedstawiając się jako prześladowana, szykanowana ofiara, „polski Sołżenicyn", choć prześladowaniem były jedynie problemy z wydaniem jego powieści „Zasypie wszystko, zawieje". Okłamał komisję przesłuchującą ubiegających się o azyl, a także szefa radia Wolna Europa, Jana Nowaka-Jeziorańskiego, który go zatrudnił. Po 1989 r., gdy wrócił do Polski, choć znalazł się na tzw. liście Wildsteina, zamiast zaszyć się i pracować nad kolejnymi książkami, znów pchał się tam, gdzie nie powinien – został członkiem jury nagrody literackiej im. Józefa Mackiewicza, napisał scenariusz do przygotowywanego przez Wajdę filmu o Katyniu, choć na szczęście, nic z tego nie wyszło.

Gdy w 2008 r. w mojej książce „Kryptonim liryka" ujawniłam jego współpracę z SB, zamiast przyznać się, przeprosić, zapowiadał, że wszystko wyjaśni, ale nic nie napisał, skarżył się tylko w czerwonym „Przeglądzie", że podobnie jak Kapuścińskiego dopadli go, zniszczyli. Odszedł w 2016 r. w niesławie, potwierdzając, że tajna współpraca niszczy głównie tajnego współpracownika. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 2509c326de

fot. Jerzy Gumowski

Fakeologia

Stalinowska mądrość, że rezultaty wyborów bardziej zależą od tych, którzy liczą głosy, aniżeli od tych, którzy głosują, tyczy również wizerunku dziejów, historia bowiem bardziej zależy od tych, którzy ją piszą, niż od tych, którzy ją tworzą. Berło historiograficznych manipulacji dzierży dziś lewicowy Salon, chociaż endecja stara się z nim na tym polu konkurować, same zaś manipulacje to tworzenie nowych (afaktograficznych) bytów. Ewidentne cygaństwo, jak w tej anegdocie o Cyganach, którzy wracają do taboru, widzą umorusane niemiłosiernie dzieciaki, i jeden pyta: *„ — Myjemy, czy robimy nowe?”*. Bo historię można wypucować i wypudrować, wybielić i wykręcić, pisać od początku zupełnie inaczej — z historią można zrobić wszystko. *„Czym się różni historyk od Pana Boga? Pan Bóg nie może zmienić przeszłości”*. XIX–wieczny francuski polityk i historyk, Abel–François Villemain, klarował: *„Historię zawsze można stworzyć na nowo”* (zwłaszcza kiedy się jest triumfatorem — *„Historię piszą zwycięzcy”* głosi stare porzekadło). Analogiczną tezę lansowali XIX–wieczny amerykański filozof James Baldwin (*„Ludzie znajdują się w pułapce historii, a historia w pułapce ludzi”*) oraz XX–wieczny jankeski pisarz John Barth (*„W stopniu większym lub mniejszym sami kształtujemy przeszłość, albowiem czas miniony i sprawy historyczne są dla teraźniejszości gliną do lepienia, od tego nie ma ucieczki”*). Że nie ma, wiedział już sto lat wcześniej Cyprian K. Norwid: *„Ciągle praktykowane fałszowanie historii jest dziełem nieuniknionym, bo fałszujący wiedzą, że historia jest siłą”*. Stąd przysłowiowym *„grochem rzucanym o ścianę”* były, są i będą napominania takie, jakie wygłosił Jose Luis Orella (z madryckiego Uniwersytetu CEU San Pablo) w początkach 2019 roku: *„ — Nikt nie ma prawa interpretować zdarzeń historii według swych politycznych lub światopoglądowych przekonań, fakty winny zostać rzeczą nienaruszalną”*.

Dla Władimira Putina fakty są zbędnym balastem w arcyagresywnych manipulacjach zwanych *„polityką historyczną”*. Od paru tygodni Polska huczy echem jego łgarstw, które komentatorzy tłumaczą m.in. wpływem Siergieja Naryszkina, szefa Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego i zarazem szefa rosyjskich szpiegów (dowodzi Służbą Wywiadu Zagranicznego). Tę mającą tatarski rodowód personę prezentowałem moją powieścią o Putinie **„Lider”** (królującą we wszystkich rankingach bestsellerów za 2008 rok) jako *„prawą rękę Putina ds. «aktywu»”*, i jako uczestnika kremlowskiej narady sztabowej, podczas której pada sugestia, iż prędzej czy później trzeba będzie *„namówić Władimira Władimirowicza, aby jednak zmusił Warszawę do przeproszenia Rosjan za Katyń”*.

Dla mojego pokolenia irytującym procederem notorycznego fałszowania minionych czasów była *„historiografia marksistowska”*, bezczelnie wdziewająca scjentyczną maskę. Przez pół wieku trwania PRL fałszowano historię ojczyzny bez skrupułów, wykoślawiając zarówno dzieje dawnych stuleci, jak też świeże jeszcze dekady, nawet martyrologię okupacyjną (mówię o dwóch okupacjach: niemieckiej i sowieckiej). Monografie akademickie czy ględy publicystyczne trafiały do wąskiego grona *„inteligentów”* (a ci zazwyczaj wiedzieli gdzie sprzedaje się im komuszy *„kit”* historiograficzny); ważniejszym celem było tumanienie *„mas”*. Tu wykorzystywano sztukę, filmową zwłaszcza (zgodnie z tezą Lenina, że ta jest bezkonkurencyjna propagandowo). Mógłbym rzucić furę rażących przykładów, lecz starczy jeden — sadystyczny. **„Stawka większa niż życie”**, **„Kolumbowie”** oraz inne megaoglądalne kinematograficzne robótki peerelowskie nagminnie demonstrowały jak Gestapo bestialsko torturuje bohaterskich lewicowców, tymczasem Gestapo, SD i SS mogłyby brać lekcje u zwyrodnialców komunistycznych z NKWD, UB czy też SB. Aresztowany przez UB członek akowskiej Delegatury Rządu, Stanisław Szopiński, ujrzał w lochu swego byłego dowódcę z Brygady Wywiadowczej Delegatury m. st. Warszawy, Kazimierza Gąsiorowskiego, i tak później wspominał: *„Pan Gąsiorowski miał wszystkie paznokcie pozrywane, płakał, stary żołnierz, który się hitlerowców nie bał, powiedział: podpisuj wszystko, bo ja już wytrzymać nie mogę”*. Kiszczakowska SB kontynuowała tę tradycję pełną… pałką. Jeden z esbeckich katów, Zdzisław Kmietko, po roku 1990 *„szanowany biznesmen”*, opowiedział dziennikarzowi jak w latach 80–ych wewnątrz esbeckich katowni bito prawdziwych (a nie *„koncesjonowanych”*) opozycjonistów. Bito tak, że słychać było *„już nie krzyk człowieka, ale wycie zarzynanego zwierzęcia”*. Po czym spytał retorycznie: *„ — Widział pan kiedyś osobę bitą po stopach?...”*.

Fałszowanie dziejów

Dzisiejszym salonowcom rozumu nie odebrało bicie po stopach, tylko po łepetynach nahajką lewicowości i batutą *„poprawności politycznej”*. Gęby mają, jak zawsze, pełne *„humanistycznych”* frazesów, również wobec historiografii — wyprodukowali choćby pojęcie *„usable history”* (użyteczna historia), tyczące akcentowania/uwypuklania wątków dziejowych pożytecznych niby mosty dla sprzymierzania, a nie dzielenia narodów. W praktyce burzą i mosty, i kamienie milowe, i źródła, i wszelkie tradycyjne świętości, czego dowodem pankontynentalnym jest dechrystianizowanie Europy, a spośród lokalnych — nas, Polaków, szczególnie boli zafałszowująca grubo przeszłość kampania antypolonizmu szerzona przez kręgi żydowskie i filosemickie. Trwa to od dekad:

Wierzchołkami tej kampanii były (i są) już nawet nie pokrętne czy fałszywe interpretacje, tylko ordynarne, plujące faktom w twarz kłamstwa, zmyślenia, kliniczne nieprawdy. Wiosną 1978 amerykańska telewizja NBC wyemitowała fabularyzowane widowisko **„Holocaust”**, ukazujące likwidację getta na terenie Polski przez… polskie wojsko (żołnierze tudzież oficerowie noszą polskie mundury plus rogatywki z orzełkami) rozstrzeliwujące Żydów, bo policja żydowska odmówiła esesmanom wykonania tego rozkazu. Cztery dekady po tamtej emisji paskudnych łgarstw sytuacja nie uległa zmianie gdy idzie o *„polskie obozy zagłady”* i polskie czołowe współsprawstwo *„Shoah”*, czego dowodem Polakożerczy *„historyk”* Jan Tomasz Gross i gorliwa *„grossomania”* jego komilitonów. Wydana staraniem polskich Żydów (tytułowanych akademicko) dwutomowa praca **„Dalej jest noc”** (2018), którą polski Salon uznał za monografię udowadniającą masowe zbrodnie dokonywane przez Polaków na Żydach w trakcie II Wojny Światowej, okazała się — wedle opinii uczciwych polskich badaczy (m.in. dr. Tomasza Domańskiego, jej recenzenta, czy dr. Jarosława Szarka, szefa IPN–u) — *„wydawnictwem wysoce nierzetelnym”*, pełnym *„wybiórczego podejścia do źródeł”* oraz *„ingerencji w tekst źródeł, jak manipulowanie cytatami”* (usuwanie całych fragmentów), wreszcie *„takie prowadzenie narracji, by zbrodnie Niemców przypisywano Polakom”* (2019).

Rodzime (wewnątrzkrajowe) fałszowanie historii przez Salon tyczy nie tylko sfery Holocaustu, lecz i innych spraw, np. dziejów „Solidarności” (exemplum tuszowanie przeszłości *„Bolka”*, czy lansowanie na miejsce Anny Walentynowicz tramwajarki Henryki Krzywonos, według dyrektywy Donalda Tuska, który roku 2009 w Krakowie wskazał Krzywonos jako *„prawdziwy symbol bohaterstwa kobiet «Solidarności»”*). Salon międzynarodowy ma oczywiście wyższe cele aniżeli tylko gnojenie przeszłości Polaków — w ramach tzw. *„tyranii skruchy”* przyświeca mu (prócz wspomnianego umniejszania krucyfiksu) deprecjonowanie cywilizacji *„białego człowieka”* jako machiny ludobójczej, od tysiącleci eksterminującej ludy kolorowe, i jednoczesne przemilczanie faktu, że te egzotyczne ludy praktykowały autentyczne ludobójstwo, realizowane z rytualnym zwyrodniałym okrucieństwem. Mel Gibson, który genialnym filmem **„Apocalypto”** (2006) ukazał makabryczne kultowe bestialstwo Majów (identyczne było Azteków), to brawurowy wyjątek, godny pomnika. Gdzie są dzieła o rzeszach mieszkańców Europy porywanych w niewolę przez piratów berberyjskich z Maghrebu (stulecia XII–XIX)? Kto nagłośni hekatomby produkowane wiek za wiekiem przez Azjatów? Czy kiedyś powstanie *„western”* o sadyzmie amerykańskich Indian? ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 2509c326de

ORLEN

MOC i DYNAMIKA

Polecam paliwo

verva

eprasa.pl 2509c326de